Z. SEGAŁOWICZ



CYLKA Z LASU

V. BRAUNER.

Cylka z lasu

Drukarnia
M. WOŁKOWICZA i S-ki
Włocławek

Z. SEGAŁOWICZ

CYLKA Z LASU

ROMANS

PRZEKŁAD Z ŻYDOWSKIEGO
Pauliny Appenszlakowej

WYDAWNICTWO „SAFRUS"
WARSZAWA - - - WŁOCŁAWEK

BIBLJOTEKA PISARZY ŻYDOWSKICH

POD REDAKCJĄ

SAMUELA WOŁKOWICZA

Dotychczas ukazały się:

NOTATKI KOMIWOJAŻERA
Szolem Alejchema

MOTKE GANEW Szaloma Asza
w przekładzie J. Appenszlaka

„KSIĘGA ZBIOROWA"
utworów pisarzy żydowskich
w przekładzie Saula Wagmana

„Z NIEZNANEGO ŚWIATA"
opowieści chasydzkie i ludowe
w przekładzie Samuela Wołkowicza.

CYLKA I JEJ CIOTKA.

Las.

A wokół lasu ciągną się bory, wielkie, gęste, spokojne, zadumane.

Gdzieniegdzie przerywa się gąszcz, a wówczas niebo zlewa się z ziemią, a ziemia z niebem. Wiją się wstęgami szosy pomiędzy ścianami lasu, połyskują powierzchnie stawów, srebrzą się strumyki.

Tu i owdzie pracują drwale. Padają wielkie pnie drzew, zaś na ziemi pozostaje cmentarzysko podważonych korzeni.

Gwarzcie sobie w poszumie liści dalekie i blizkie lasy!

Wzrok nasz błądzi pomiędzy cienie zielone, ucho podchwytuje dźwięki...

To między sosnami szemrze malutki strumyczek i toczy swe wody mieniące się, jak zielone, szlifowane kamienie, gdyż listowie lasu odbija w nim swą barwę.

Zeschłe gałęzie, kamienie, stare pnie legły

wpoprzek wody, pędzi więc strumyk i zatrzymuje się, bieży i szemrze i mruczy swą mową wodną. Tryl ptaszka, pisk wiewiórki, to pojedyncze, nieliczne głosy.

Cicho tu we dnie i w nocy. Miljony mrówek suną po ziemi. Czarne kropeczki, punkciki w ruchu gorączkowym- kumy ziemi, wspólnicy życia.

Któż to interesuje się mrówkami? Narody znikają z powierzchni ziemi, zanikają gatunki zwierząt, wielkie mamuty należą do przeszłości. Popiół jeno pozostaje po nich, gruz z miast potężnych, ruiny z piramid egipskich...

A tu chodzą sobie spokojnie po ziemi mrówki, punkciki czarne, żyjące ziarenka piasku...

Kogóż to obchodzą mrówki?

Stare spróchniałe drzewo padnie, a z miljona tych żyjących istotek - nie pozostanie śladu.

Lecz narazie każde tchnienie lasu żyje dla siebie i w sobie. Milcząco i wstrzemięźliwie. Milczą cienie. W ciszy jaśnieje kąt lasu i przykuwa do siebie kilka przekradających się promieni. Kiedyż? Kiedyż był początek tego milczenia wieczności i gdzie jej kres?

Jedno jest miejsce w lesie, gdzie życie układa się nieco inaczej.

Stanęły tu trzy domy z przybudówkami, sznury okręcone wokół drzew, a na sznurach schnie bielizna...

Białe koszule, kolorowe, błękitne i czerwone

powłoczki i kiecki. Te barwne plamy już zdaleka widać pośród jednostajnej zieloności lasu.

Wyprzężony wóz, połamane stołki i inny sprzęt domowy.

Wokół cisza.

W jednej chacie okna naoścież otwarte — pozatem ani śladu człowieka. Dwa inne domy o oknach i drzwiach zabitych na gwoździe — jakgdyby opuszczone.

Myślałbyś, że to opuszczona osada leśna — lecz słuchaj! — skąd stuk dochodzi.

Te uderzenia płyną od strony strumyka, ktoś pierze bieliznę.

Strumyczek jest w tym miejscu wąziutki, woda płynie wartkim prądem.

Pięćdziesiąt lat liczyć może kobieta, która kijankami uderza to w jedną sztukę bielizny, to w drugą.

Jest cała mokra i opryskana wodą. Z pod chusteczki na głowie wymykają się siwe kosmyki. Patrzy w wodę, a ujrzawszy odbicie mizernej swej twarzy i siwych włosów — cofa się o krok.

Na chwilę przerywa pracę, nasłuchuje, patrzy przed siebie i nagle głośno poczyna kogoś wołać:

— Cylka, Cylka!

Dwa razy woła, a za drugim razem las odpowiada jej rozgłośnem echem:

— Cyl—ka! Cyl—ka!

Ale Cylka nie odpowiada. Stara znów ima się pracy, rozstrząsa każdą sztukę bielizny i znów płucze w wodzie. „Tiu, tiu“ „Tjk—tak“.

Z drzewa spada szyszka, plusnęła w wodzie, płynie naprzód i ginie w wąskim, szybkim nurcie...

Stara pracuje i wypoczywa. A woda spieszy, spieszy, naprzód i na chwilkę nie chce przystanąć. Ani na sekundę. Jakgdyby zawstydzić chciała ten las — olbrzyma nieruchomego, przykutego wciąż do jednego miejsca.

Wstydź się, stary, wielki lesie!

Mały strumyczek tyle świata już widział a tyś się tu urodził i tu zginąć ci wypadnie. Wstydź się, lesie!

Tak wciąż w kółko. Cisza lasu i praca strumyka...

Nagle pieśń dolatuje z oddali!

„Jedna siadła w oknie—
Druga się przechadza—
— Co u ciebie dziewczę?
— „Mój miły mnie zdradza“

To śpiewa młoda dziewczyna. Ostatnie słowa na skrzydłach echa przelatują ponad drzewa.

„Mój miły mnie zdradza“.

A praczka pracę przerywa i nawołuje:

— Cylko, Cylko, a podejdź—że bliżej!

— Ho, ho, idę!

Z pod drzew wyrasta Cylka, boso, w czerwonej sukienczynie, chyżo przeskakuje strumień i oto już jest — u boku starej.

— Rozwieś choć kilka sznurów — mówi stara gniewliwie.

— Gniewasz się, ciotko? — pyta Cylka i nie czeka na odpowiedź. Chwyta bieliznę mokrą i idzie ku drzewom. A przytem mówi do siebie:

— Ciotka się gniewa, tato się gniewa, pisarz Szlama jest zły i wszyscy są źli i zajęci...

Wzdycha, lecz po chwili znów słychać piosnkę

„Więc pragnie ją pocieszyć
A Ester łka—
— Poczekaj, otwórz wrota—
Wnet minie boleść twa"

A kiedy już bielizna rozwieszona, podchodzi do wody, aby opłukać bose stopy.

Pluszcze się i bryzga z taką złością w wodzie, jakgdyby strumyczek coś zawinił.

Buziak ma okrągły, włosy złote, szare oczy i ciemne brwi.

A podczas gdy grymas wykrzywia jeden kącik ust, w drugim już widać uśmieszek swawoli.

Cylka już liczy chyba dziewiętnaście wiosen, ale psoty jej w głowie, jak u szesnastoletniej dziewczyny.

Ciotka Necha, uporawszy się z robotą pyta:

— Gdzie byłaś, Cylko?

— Szukałam Szlamy, do miasta pono jedzie, chciałam mu list oddać...

— List? A do kogo? — gdera stara do niego?

— Właśnie, że do niego, drażni się Cylka i pluszcze dalej w wodzie. Istną fontannę kropel rozbryzgała dokoła.

— Wcale o tobie nie myśli Sasza, czy brak mu dziewczyn w mieście?

— Powiedzał, że całe miasto odda za mój uśmiech, ciotko...

Powiedz mi, czemu to mój uśmiech tak mu się podoba?

— Gęś z ciebie, malutka, gąska. Jak się komu podobasz, to ze wszystkiem — wszystko w tobie piękne...

— Ciotko, jak tu był ostatnim razem, powiedział mi, że jeśli zechcę, zabierze mnie z sobą i do miasta i zawsze będę z nim razem...

—Głuptasku...

— Nie, ciociu, powiedz, poco tu przyjeżdża? Czy dla interesów ojca? Co? Można przecie wyciąć wszystkie lasy lub z dymem je puścić— jemu tam wszystko jedno. Dla mnie przyjeżdza..

— Głuptasku, a co nato powie jego ojciec, ten bogacz? Co na to jego cała familja? Czy pozwolą mu wziąć za żonę biedną dziewczynę? Daj spokój dziecinko tym bajkom. Pójdź lepiej do izby, czas szykować posiłek. Ojciec i Szlama powrócą niedługo z miasteczka.

Poszły w stronę domu, a las zadumał się i zaśpiewał, śpiewał i dumał, zaś strumyczek toczył dalej swe wody..

Zamyśliła się Cylka, lecz zaraz znów piosnkę zanuciła:

„Osusz prędzej łzy,
nową suknię włóż,
niech pomyśli luby,
że nie kochasz już...

Jak wiatr przeskoczyła przyżbę, oto już jest w domu, znikła z zielonego tła lasu jej czerwona spódnica.

Cisza.

Wokół nigdzie żywej duszy. Drzewa, jakgdyby wyrosły jeszcze w górę — bór pozostał sam ze sobą.

Czy nie stanie za chwilę wartki prąd wody, czy drzewa nie położą się zmęczone, jak syte stado?

Naraz przerywa ciszę pisk wiewiórki, dziki, koci pisk...

A z dąbrowy rozlega się głośne kukanie, ożył las, żyje bez ludzi, bez gwaru...

Listek nie drgnie nawet, tylko tu i owdzie słońce osmala wierzchołki...

Po korze ściekają łzy żywiczne, niczem przezroczyste krople bursztynu...

Tu i owdzie szyszka spada. Dojrzała i świeża, leży na miękkiej podściółce lasu.

Długo, długo trwa ta śpiewająca cisza, póki nie przerwie jej głos Cylki.

Ciotka Necha krząta się koło drzew. na których wisi bielizna. Kiedy rozlega się głos Cylki, ciotka Necha zbliża się do domu, zagląda przez

okno i kiwa smutno głową. Czy gniewa się ciotka Necha, czy trapi ją troska — wzdycha głęboko.

Jakże to bowiem wyrosła Cylka w tym lesie? Pomiędzy milczącemi i samotnemi ludźmi. Ciotka Necha nie jest w istocie jej ciotką. Jest tylko daleką i ubogą krewną, którą ojciec Cylki wziął do siebie, iżby mu chowała małą sierotkę. Matka odumarła Cylkę, gdy była jeszcze zupełnie małą dziewczynką. Ciotka Necha pomagała zaś matce przy kuchni i pracy koło domu. Necha byłą wdową bezdzietną. Nie miała swego domu. Cylkę pokochała, jak własne dziecko. Cylka stała się jej jedyną troską i pociechą, i tylko Bóg raczy wiedzieć, ile wycierpiała, kiedy Cylka pojechała do miasta na naukę. Pozostało jej wtedy jedno zajęcie: czytywała pilnie Pięcioksiąg z komentarzami. W sobotę zwykła pomimo największego upału narzucać na siebie stary szal turecki, otwierała księgę świętą i czytała aż do zmierzchu. Siadywała przy oknie i czytała. A kiedy doszła do historji o matce Racheli i Lei — gorące łzy popłynęły z jej oczu, — zaś bór stary pomrukiwał.

Isar, zarządzający lasem był zawsze ponury i milczący i zdawało się, że nosi w sercu żal za krzywdę, której doznał. Miłował bowiem gorąco swą żonę zmarłą. Zna dobrże Talmud, uczciwy jest aż do podziwu: można mu miljony zaufać. Nieraz ten Isar pomyślał, iż nie zawsze Bóg jest sprawiedliwy.

Jeździł po lasach, brudną książkę rachunkową miał zawsze przy sobie, a w książce tej zapi-

sywał wielkie wpływy swych pracodawców, bogatych kupców leśnych—Lurjów. W mieście powiatowem, w Grodnie mieli Lurjowie wielkie biuro a w niem mnóstwo urzędników i buchalterów... Ale Isar prowadził rachunki sposobem staroświeckim. W podręcznym notesie mieściła się jego kancelarja.

A interesów było wiele i każdy na wielką skalę. Wywożono drzewo zagranicę. Zjeżdżali niemcy z daleka, a milczący żyd łamaną niemczyzną wtajemniczał ich w rodzaj interesu. I wszystkim wydawało się — że stary Isar myśli wciąż o swoich sprawach — zaś wielkie interesy — Lurjów z niemcami traktuje, jako sprawę uboczną.

W sobotę zwykł zaglądać do ksiąg świętych albo przechadzał się po lesie. Lubił dom, póki w nim przebywała Cylka, ale gdy córka wyjechała na naukę do Grodna, jeździł do arendarza Szmula i tam odprawiał sobotę. Necha zostawała wówczas sama w lesie, sama ze swoją księgą. Czasami bywało jej markotno, innym razem, gdy podniosła oczy z nad książki i zapatrzyła się w zieloność gąszczu leśnego—zdawało jej się, że Bóg uczynił i w lesie sobotę. Każdy ruch listka, każda trawka wydała jej się święta. Spowity w sieci promieni, ukołysany świętością dźwięków — drzemał bór.

Jeden człowiek, z którym widywała się codzień Cylka to był Szlama ze smolarni. W Mścibowie mieszkała jego chora żona i liczne dzieci. Żona wiecznie zbiedzona i prawie konająca—cherlała.

z miesiąca na miesiąc i co rok rodziła dziecko. Szlama miał w domu niemało kłopotów. W lesie pracował i milczał.

Cylka używała jego pośrednictwa dla załatwiania sprawunków w mieście. Ale rozmówić się z nim nie można było. Cylka właściwie prowadziła długie rozmowy tylko z ciotką Nechą i nieraz zwierzała jej swe myśli. Ciotka Necha też musiała znosić kaprysy Cylki.

Modliła się często do Boga, aby chronił od złego sierotę.

Nieco dalej w lesie mieszkały dwie rodziny chrześcijańskie: leśniczy i dozorca szosowy. Miesiące mijały a nikt obcy nie zajrzał tu nawet.

Szemrał strumyk a las od świtu do zmierzchu śpiewał i nawoływał.

— Kuku, kuku. Tiu, tiu. Kra, kra.

Cylka znała wszystkie głosy lasu. W drżeniu liści wyczuwała burzę. Lubiła wówczas, kiedy z oddali słychać było grzmot, stanąć pod drzewami i wsłuchiwać się w gromy niebios. Drżeć, lękać się — lecz nie uciekać... Ciotka Necha napróżno wołała dziewczyny, Cylka odpowiadała głośnym śmiechem.

Śmiała się na głos razem z lasem, niechaj grzmi, niechaj pioruny padają z niebios, las trwać będzie i świat nie zginie.

Cylka dopiero znacznie potem pojęła, jak bardzo kochał ją ojciec. Jako dziecko — nie mogła sobie niczem wyjaśnić tego ponurego mil-

czenia ojca. Jedynaczką wszak była i sierotą, dni zaś mijały i łaskawego słowa z ojcowskich ust nie usłyszała: dopiero potem spostrzegła, że ojciec milczy zawsze i nawet ze starym Lurjem zamienia tylko najkonieczniejsze słowa: wiadomo — o interesach.

Przywykła do tego. Niechaj milczy ojciec. Milczą wszak bory, milczy noc i długie dni zimowe. Tyle było milczenia wokół niej.

Cały świat, wielkie miasto, Grodno — wydawały jej się dalekiem i niezrozumiałem echem czegoś obcego. Tylko czasami, chwile te były nieliczne, marzyła o tamtem życiu, o życiu za lasami. Niechaj strumyk bieży naprzód i pozdrawia cały świat. Jej było dobrze uganiać się po lesie i w swoje wielkie, szare oczy wchłaniać wieczną zieloność, wieczną młodość przyrody.

Rodzina Lurjów znana była w Grodnie. O bogactwie ich opowiadano cuda. Dzieci swe kształcili zagranicą i tylko na czas wakacji sprowadzono je na Litwę. Zdarzało się, że cała rodzina, wraz ze służbą i koszami z posiłkiem zjeżdżali do lasu. Ożywiał się wówczas bór. Otwierano dla nich dwa zamknięte domy, dwa razy dziennie linijka jeździła do miasta, zwożąc co najdroższe wina i mięsiwa. Szacunek budzili w okolicy, ale nie należeli do rzędu tych dumnych a nieprzystępnych bogaczy, przeciwnie nie jednego wspomogli łaskawem słowem i hojnym datkiem.

Ciotka Necha z oddaniem i wiernością spełniała wówczas wszystkie ich zachcianki. Nic dziw-

nego — nie byli to pierwsi lepsi ludzie... Szła po zakupy do Mścibowa i spotkanym po drodze opowiadała z radością:

— Przyjechali państwo do lasu...

A z miasteczka niejeden młodzieniec i nawet gospodarz, przychodzili wówczas do lasu, przyjrzeć się, jak to mieszkają bogacze. Cała okolica tylko o nich mówiła — nie mało też honorów zaznawali.

Przyjeżdżali do lasu na wypoczynek, na przyjemne spędzenie czasu.

Lubili małą Cylkę. Wyglądała jak wróżka leśna. Włosy jasne poskręcane w loczki, oczy szare, wówczas jaśniały czystym błękitem, który nie spotyka się w oczach ludzi dorosłych.

Tylko aniołowie i dzieci mają takie oczy błękitne...

Znała każdy zakątek lasu i oprowadzała po nim dzieci Lurjów: do strumyka, do smolarni, na szosę...

Szła naprzód, a za nią biegły dzieci. Miejskie dzieci bały się lasu, a Cylka czuła się tu, jak u siebie w domu. Bosa, z oczami pełnemi słońca spędzała cały dzień letni na bieganinie i zabawach. Dni pobytu Lurjów wydawały jej się świętem. Nawet ojciec ożywiał się nieco — skorszy był do rozmowy, częściej przesiadywał w domu.

Ciotka Necha tylko sarkała nieco: zabierano jej z domu dziecko i tam, u tych bogaczy, traktowano ją może z pogardą...

Lecz lata mijały, dzieci Lurjów podrosły, na letnie wywczasy jeździły zagranicę, a do lasu zaglądał tyłko od czasu do czasu stary właściciel. Był to mały człowieczek z krótką bródką i złotą dewizką na brzuchu. Zabierał zwykle Isara ze sobą na kilka dni. Jeździli po okolicznych lasach, mierzyli, liczyli i zapisywali w księdze.

Gdzieś w pobliżu wycinano duży las. Kiedy wiatr ustawał w dni ciche, dochodził z oddali odgłos piły i jęki drzew mordowanych...

Potem jesienią chłopskie furmanki jeździły gdzieś, wgłąb lasu a wracały powoli, ospale wioząc długie, długie trupy pni...

Zaś Necha prała nad strumykiem. Ciągle prała coś ciotka Necha. Cylka w takie dni uciekała do Mścibowa.

Cylka pamiętała chłopczyka małego, który przyjeżdżał za dni jej dzieciństwa do lasu — był on najdroższem dzieckiem Lurjów. Nazywał się Sasza, ale rodzice w pieszczocie wołali go zdrobniałem imieniem: Saszeńka, Sasz, Saszka. Ileż to zabawek miały dzieci: lokomotywy, wagoniki, koniki drewniane, laleczki, niedźwiadki i całą menażerję.

Chłopczyk wyglądał sam jak niedźwiadek: okrągły, pulchniutki — kołysał się w biegu na małych nóżkach. Był rozpieszczony i kapryśny, ale nigdy złośliwy. Bawił się z Cylką przyjaźnie, ale pewnego razu, gdy nie chciała zostać konikiem, porwal ją za włosy i szarpał boleśnie. Sam zresztą przestraszył się swego okrucieństwa,

ale już było zapóżno — Cylka rozkrzyczała się na cały las — zbiegli się ludzie i Saszka został ukarany.

Podczas następnego lata bawili się ze sobą przyjaźnie, aż do późnej jesieni, kiedy odleciały ptaszki i las stał się poważniejszy, zadumany.

A potem minął rok i znów przeszło lato. W owym roku rodzina Lurjów spędziła lato zagranicą. Ale zato następnego lata znów las rozbrzmiewał wesołymi okrzykami, Sasza był już uczniem i nosił czapkę z lampasem. Na czapce widniały litery: G. G., a Saszka objaśnił Cylce, że litery te znaczą: Grodzieńskie Gimnazjum.

Nie bardzo Cylka rozumiała o co chodzi. Wszystko, co dotyczyło życia poza lasem było jej obce i dziwne.

Potem znów przeszły długie lata i Cylkę dochodziły głuche tylko wieści o Saszce. Przyjęto jej nauczyciela, umiała już czytać i pisać i niejeden wierszyk znała już z pamięci. Nauczyciel był młodzieńcem dwudziestopięcioletnim, spędzał dni całe nad książką i raz do roku jeździł do Grodna, aby zdawać tam egzaminy. Twierdził, że po czasie uda się do stolicy i zostanie „studentem".

Ale okazało się, że do stolicy nie pojechał, gdyż po drodze ugrzązł w Mścibowie, gdzie podbił serce pewnej dziewicy. Ojciec tej panny dodał mu posagu, obiecał utrzymanie. I w ten sposób Cylka została pozbawiona nauczyciela. Było to akurat podczas lata, gdy została sama w lesie z ciotką Nechą, sama pośród drzew wiecznie

szumiących, pośród szeptów leśnych i pomroków strumyka.

Ojciec stawał się coraz bardziej milczący.

Czasami Cylkę ogarniał lęk przed tą zupełną samotnością i wówczas uciekała do miasteczka do znajomych.

Miasteczko leżało o dwie i pół wiorsty oddalone od lasu. Szła pieszo — prosto do swej krewnej. Ale miasteczko, liczące stopięćdziesiąt mieszkańców bojaźliwą Cylkę peszyło i denerwowało.

Każdy człowiek wygląda inaczej. Każdy inaczej mówi i inaczej się śmieje, a ona przywykła oglądać tylko twarz posępną ojca, zmarszczone oblicze ciotki Nechy i złote, miedziane pnie sosen.

Na widok obcego człowieka drżała trwożliwie, jak wiewiórka na odgłos obcego głosu, nadstawiała uszu — wszystko nowe dziwiło i przerażało Cylkę.

Często na głos dawała wyraz zdziwieniu. Wyśmiewano ją:

— Dzika kózka!

— Stworzonko leśne!

Zawstydzona, uciekała napowrót do domu, do ciotki Nechy. A miała już wówczas lat czternaście, wzrost wysoki, chód lekki...

Pewnego dnia, gdy o zmroku wracała z Mścibowa, wyszedł jej na spotkanie ojciec. Zabłysły mu jakoś dziwnie oczy i Cylka ujrzała łzy ojcowe. Co się stało? Cylka drgnęła z przestrachu. Ojciec — milczący i surowy ojciec i te łzy?

Czy stało się co złego?

Lecz Cylka usłyszała po chwili wyjaśnienie:

— Wyglądałaś teraz akurat tak, jak matka twoja...

I długo miłośnie głaskał ją po głowie.

Cylka nie mogła usnąć nocy owej: długo myślała o swej zmarłej matce i o wszystkich ludziach, którzy umarli.

Dlaczego się umiera? Co czeka człowieka po śmierci?

W Mścibowie oglądała zdaleka cmentarz... Czemu zmarłych tak ciężkim kamieniem nakryto? A na cmentarzu tym leży także jej matka, której nigdy w życiu nie widziała.

Umarła... i niema jej więcej na świecie.

Nie widzi już lasu. Cylka litowała się nad matką i nad wszystkimi zmarłymi.

Ciotka Necha opowiada, że umarli zmartwychwstaną. Postanowiła zapytać ciotki, kiedy to się stanie. Wystarczy, że uśmiechnie się do starej, a ta wszystko jej opowie. Ale rano, ciotka wyjechała do Grodna. Pojechała, aby oddać do naprawy perukę — każdego roku wyjeżdżała w tym celu. Długo o tym ważnym wypadku opowiadała potem ciotka Necha.

Ale tymczasem biegając po lesie, Cylka zapomniała o co chciała zapytać ciotkę Nechę. Rzadko jednak zdarzały się chwile rozmyślań i smutku u Cylki. Mijały miesiące, a nawet i lata; żyła życiem lasu i cieszyła się razem z nim. W lesie spotykała dzieci leśnika. Pilnowały one gę-

si, pasących się na małej polance. Dzieci bawiły się świetnie z Cylką, a ona choć znacznie starsza, wesoło z nimi czas spędzała.

Ciotka Necha biadała niejednokrotnie! „Dziecko“ wyrastało wśród obcych i samotności.

A Ojciec na to odpowiadał.

— Trzeba ją wysłać do Grodna na naukę, Lurjowie zaopiekują się nią.

Lecz słowa te jeszcze bardziej niepokoiły Nechę. Za nic nie chciała rozstać się z dziewczynką.

W końcu postanowiono wysłać na początku jesieni Cylkę do miasta.

Cylka czyniła przygotowania do podróży z sercem nieco bijącem.

— Niedługo do miasta jedziesz... mawiał często milczący ojciec.

— Staniesz się panną — dodawała na pocieszenie ciotka Necha.

Cylka zjeżyła się, opuściła główkę i podobna się stała do kwiatka, spalonego od słońca.

W końcu Cylka wyjechała. Zamieszkała w domu Lurjów.

— Zrobimy z niej człowieka — pocieszali starego ojca, kiedy skarżył się, że las mu opustoszał wraz z zniknięciem Cylki.

Zaś Cylka jęła tęsknić. Przed oczyma miała wciąż obraz zapłakanej ciotki Nechy.

— Gołąbko moja, komuż mnie zostawiasz? Zostawiasz mnie na pastwę ciemności — takiemi słowy żegnała odjeżdżającą Cylkę stara ciotka.

Cylka widziała jeszcze, jak ciotka szła długo śladem fury i tarła rękawem oczy. Obrzuciła ostatniem spojrzeniem staruszkę: stanęła obok drzewa, oparta o pień i łkała po cichu, a wokół szumiał las smutny dziś i świąteczny. O pnie drzew owinęły się siecią srebrne promienie słońca. Ostatnie, smutne i jasne promienie.

Obok niej siedział ojciec, jak zawsze milczący.

A kiedy Cylka, jeszcze raz obróciła głowę, nie ujrzała już ciotki jeno szczyt dachu ich domku, który wkrótce znikł z oczu.

Nowe, nieznane krajobrazy przewijały się przed jej oczyma.

Białe kamienie na szosach znaczone liczbami... Samotne drzewa na ugorach. A Cylce każde samotne drzewo przypominało jej milczącego ojca.

Powoli wlokła się furmanka, tylko gdy droga stawała się spadzistą, szkapina żywiej biegła, a wówczas Cylce chciało się przytrzymać ojcowego ramienia i namówić go, iżby wrócił do łasu, do ciotki..

Jakże żal jej było ciotki! Czy da sobie radę, biedaczka, bez Cylki?

Mijali wsie, mijali samotnie, a nagle dostrzega Cylka z oddali zarysy wieżyczek klasztornych, kominów wysokich, a im bliżej, tem więcej dachów widzi.

— Czy to już miasto? — pyta ojca.

Tak — odpowiada Isar, takim tonem, jakgdyby dopiero teraz uświadomił sobie poco i do kogo jedzie. Pogładził Cylkę po głowie. Nagle poczuł wilgoć na swych palcach...

Cylka płacze. Dlaczego? Rozumiał i zdawał się nie pojmować, ale poczuł ukłucie w serce. I jemu zbierało się na płacz.

Lecz Cylka uspokoiła się prędko, obeschły łzy na policzkach. Poczuła się jak wiewiórka, schwytana w potrzask, która gryzie druty klatki nerwowo lub siedzi posępna w kąciku. Cylka jest także schwytana w potrzask.

Dopiero potem, w samem mieście, jęła Cylka okazywać żywy niepokój i lęk, niby sarna pojmana, która lęka się każdego głośniejszego dźwięku.

Bała się śmiałych kroków na froterowanej posadzce w salonie Lurjów. Niezręcznie jej było posługiwać się przy jedzeniu sztućcami Wszystko tu w mieszkaniu połyskiwało, co krok — obrazy i dywany. Nikt jej tu nie zamierzał krzywdzić. Lurjowie byli ludźmi dobrymi, a szczególnie wzruszała ich dola sieroty.

Nazywano ją przed obcymi:

— Sierota z lasu.

Ładna dziewczyna — mawiał poniektóry. — Ale dzikie to, jak zwierzątko — odpowiadał stary Lurje.

A „sierota z lasu" i „dzikie stworzonko" wiecznym lękiem trapione, kryło się po kątach,

uciekało od ludzi, zaś Lurjowie przeciwnie, pochwalić się chcieli swem miłosierdziem — zabierali dziewczynkę ze sobą wszędzie, pokazywali wszystkim.

Pewnego dnia, słysząc z oddali gwizd, jęła uciekać na ulicy.

— Kózko, to lokomotywa gwiżdże!

Cylka słyszała już o istnieniu kolei, ale nigdy jej na oczy nie widziała. Cylka była właśnie w gościnie u krewnych Lurjów, mieszkających w pobliżu dworca kolejowego, kiedy niepokoić ją jęły gwizdy lokomotyw. Podprowadzono ją do okna i wskazano na szereg wagonów. — A to duże, czarne, które puszcza parę i gwiżdże — to właśnie lokomotywa — objaśniono jej. Oczy jej rozwarły się z przerażenia, byłaby uciekła, ale ujrzawszy inne dzieci, bawiące się spokojnie — pozostała.

Lecz nie mogła się pozbyć tęsknoty. Dwa razy przyjeżdżał już ojciec z lasu — przywożąc sukienki, które wyreperowała i wyprała ciotka Necha i zawsze mawiał:

— Gdybyś wiedziała jak smutną jest ciotka...

W pamięci Cylki odżywał wówczas las ze swym strumykiem, i drzewami. Nie raz myślała o ucieczce. Wykraść się i biedz, biedz naprzód aż przybiegnie do lasu. Ale bała się sama wyjść na miasto. Tam w lesie nigdy jej nie zbrakło odwagi — choć o północy poszłaby do Mścibowa — a tu ogarniał ją jakiś lęk.

Umilkła Cylka w mieście. Mówiono że wrodziła się w ojca.

Nawet w towarzystwie Saszy, z którym kiedyś tak wesoło czas spędzała, nie znajdywała upodobania.

Sasza wyrósł już, był mężczyzną prawie, miał swoje zainteresowania. Zbierał marki i po całych dniach nalepiał je, porządkował i układał w albumie. Pozatem spędzał czas w towarzystwie swoich kolegów i zabawiał się kpinami ze swych nauczycieli.

Pamiętał letnie zabawy z Cylką, ale teraz tyle go od niej dzieliło! Czasami próbował się z nią drażnić. Podobało mu się przezwisko Cylki i ciągle dokuczał dziewczynce — Kózko, uśmiechnij że się.

— Kózko, poskacz trochę.

Jeszcze chwilka, a na usteczkach „sieroty z lasu“ pojawi się uśmieszek, zaraz wesoło odpowie, ale oczy nie straciły ponurego wyrazu i zamykają usta i mrożą półuśmiech.

Uznano ogólnie, że Cylka się przyzwyczai. Dzika jest — bo przybyła z lasu. Potrwa nieco czasu, a upodobni się do innych dzieci. Włożono jej inne sukienki.

Domowy nauczyciel zaczął i ją uczyć.

Ale im bardziej przywiązywano się do niej u Lurjów, tem więcej lękliwą i milczącą stawała się Cylka. O zmierzchu znalazłszy sobie cichy kącik, ukrywała się w nim i nie odpowiadała na wołania.

A u Lurjów wesoło było w owej porze. Prawie co dzień schodzili się goście — dzieci i dorośli. Grano na fortepianie, spiewano pieśni.

Takie godziny spędzała Cylka w swoim kąciku. Zagryzła wargi i snuła swe długie dumania.

Myślała o tem, że w lesie strumyk płynie teraz wartko po kamieniach, a drzewa wyciągają swoje ramiona nad wodą, jakdyby ją błogosławiąc. Myślała o tem, że ciotka tęskni za nią i ojciec tęskni i cały las i każda wiewiórka tęsknią za nią, za Cylką.

Jakiż był kres tych dumań?

Pewnego dnia spostrzegli się w domu, że Cylki niema: gdzie się podziała? Szukali jej po mieszkaniu, wołali na schodach, po dziedzińcu, po ulicy — niema Cylki. Przeszukano ştrych, piwnice, zajrzano do studni — nigdzie śladu Cylki.

Dano znać o zaginięciu Cylki do policji.

Wysłano specjalnego posłańca do lasu. Niechaj zawiadomi ojca, że Cylka zginęła. Może, broń Boże przydarzyło się nieszczęście?

Stary Isar przybył do miasta, szukano Cylki wszędzie, całe miasto wzięło udział w poszukiwaniach.

Gdzie Cylka?

A Cylka była na wsi, u chłopów.

Siedziała wówczas w swoim kąciku, kiedy po wszystkich pokojach rozlegały się głosy wesołe. Im weselej śpiewano, tem boleśniejszą, tem głęb-

szą stawała się tęsknota Cylki. I sama nie wiedząc, co czyni opuściła Cylka mieszkanie i wyszła na ulicę. Z ulicy na ulicę, aż przyszła na kraniec miasta. Szła coraz dalej. Wokół ciągnęły się pola, wrony latały nad polami, jeszcze ostatnim błyskiem zachodu świeciło niebo, ale wieczór szybko zapadał.

Cylka szła wciąż naprzód.

Delikatny wietrzyk pogłaskał samotną dziewczynkę i pogonił dalej.

Szła w stronę ukochanego lasu, do ciotk Nechy, do milczącego ojca. Prędko poczuła zmęczenie i gdyby nie nagły lęk, jaki ją opadł, byłaby, omdlała z wysiłku. Szła wciąż naprzód. Zdaleka majaczyła sylwetka lasu. Ale w której stronie jest jej las? Noc już zapadła, gdzie okiem spojrzeć ciemności nieprzeniknione. Skądciś, z odległej ciemnej dali, dochodzi gwizd pociągu, jak głos dzikiego zwierza — Cylka drgnęła i pobiegła naprzód — wystraszona, drżąca. Chciałaby powrócić — ale wokół ciemno.

Nie widzi nikogo, lecz dochodzi ją jakiś szum. To pociąg pomknął w nocy z przeraźliwem „Hu—hu".

Potem następuje cisza, samotność oderwanie od świata.

Suchy liść zaplątał się między nogi, skrzypi, straszy.

Włosy rozwiane opadają jej na oczy. I to straszy: wszystko przyprawia ją o drżenie.

Potem... Potem nie pamięta co z nią zaszło. Obudziła się w chacie chłopskiej, obok niej siedziała wieśniaczka, przychodziły różne kobiety, rozpytywały Cylkę; nie mogła dać odpowiedzi. Na czas pewien utraciła mowę. Nie wiadomo, czem skończyłby się pobyt Cylki na wsi, gdyby nie przypadek, który sprowadził tu jakiegoś handlarza z Grodna. Przypomniał sobie sierotkę, dziewczynkę z lasn, która uciekła od Lurjów i rychło dał znać o tem do miasta.

Cylkę zawieziono do jej rodzinnego lasu. Ujrzawszy ciotkę Nechę padła w jej ramiona i rychło odzyskała mowę. Namówiono Isara, aby jedynaczki już do miasta nie posyłał, bo to może się źle skończyć: dziecko zrosło się nadto z lasem, a takich drzewek przeszczepiać nie należy.

Powoli wracała Cylka do zdrowia, do swych zabaw, do samotnych przechadzek po lesie. Nauczyła się w mieście rachunków, czytała już z książki: znalazła sobie teraz zajęcie — próbowała przeliczyć drzewa w lesie.

Zaczynała: raz, dwa. trzy, cztery, lecz gdy dochodziła do dwudziestu — myliła się w rachubie. Bowiem sosny zlewały się w jedną złotą ścianę i już po rachunkach Cylki.

Ozdrowiała Cylka zupełnie, kiedy — lato miało się ku końcowi. Czekała ją długa, ciepła jesień. Potem nadeszły chłody. Ciotka Necha zamykała starannie drzwi i paliła w piecu. Wieczorami rozlegały się głośne lamenty opustosza-

łego lasu. Cylka wsłuchiwała się w odgłosy lasu, polubiła jego nieprzeniknione ciemności. Zaś ciotka Necha zwykła w takie wieczory snuć długie opowieści biblijne...

II

ZIMA W LESIE.

Pozostała więc Cylka w lesie. Znalazł się także nauczyciel dla niej, zaś ojciec baczną dawał uwagę, iżby Cylka nie oddalała się zbytnio od domu.

Dozorca szosowy, Iwan, wielkie chłopisko z jasną brodą, często zachodził do domu, stojącego nad strumykiem. Prowadził gawędy ze starą Nechą i z Isarem o Cylce, która uciekła z miasta, co wszystkim wydawało się dziwne i niezrozumiane: Iwan wówczas wyłuszczał na tę sprawę swój pogląd.

— — Las ją wołał. Nie utrzyma się w mieście taka wiewióreczka, jak córka wasza. Tęskniła, umarłaby tam chyba z żałości. Tak... Tak... Te sosny i ten strumyk głęboko wryły się w jej serce.

A kiedy Cylka przysłuchiwała się rozmowie pytał:

— Cylka! Chcesz do miasta? Tyle tam jasności...

Uciekała Cylka wówczas, pełna lęku na wspomnienie miasta.

Zaś ojciec gniewał się na Iwana, że wspomniał przy dziecku o mieście.

Wyrastała Cylka, niby młoda sosenka. Uczyła się, lecz prędko zapominała tego, co było w książce.

A jednak pozostało coś w jej pamięci z tych opowiadań nauczyciela i z tego, co w książce wyczytała — nieraz bowiem, błądząc po lesie, stawała zadumana pod drzewem — Myślała:

O wielkim świecie — —

O wszystkich ludziach — —

O śmierci.

Znikąd nie przychodziła odpowiedź na pytania. Las, jak zwykle milczący, tysiącem niemych drzew spoglądał na bosą dziewczynę, której ramiona zaokrągliły się już podczas lata.

W takie chwile cisza lasu i jej własne milczenie stawały się dla Cylki męką. Próbowała wołać, krzyczeć, śpiewać. Oto słyszy echo własnego głosu lecz i echo pragnie przekrzyczeć. Więc jeszcze głośniej woła. Tak bawi się wesoło w lesie Cylka.

Największa to rozrywka — zawody z echem— dla dziewczyny wzrastającej samotnie wśród drzew.

Zaś echo, które mieszka na wierzchołkach drzew i kryje się pomiędzy pniami — echo swawoli z Cylką — póki nie przerwie im zabawy głos ptaka obcego...

Las żyje i milczy, Cylka żyje i śpiewa i jeno czasem zaduma się, posmutnieje, jak wszystko na świeeie.

Czy nie ten sam smutek ogarnia szare niebo? Na drutach telegraficznych, biegnących wzdłuż szosy ptak czarny usiadł zadumany, zaś drzewa leśne wyciągają się wyżej w górę, posępnym oddane dumaniom.

W takie dni posępne biegnie Cylka do Mścibowa albo na pobliski folwark — pokręci się, przyjrzy ludziom i wraca z zapasem nowych piosenek — których echo płynie pomiędzy drzewa.

Noce milczące.

Wiosna i lato mijały szybko, ale przeciągnęła się pora jesieni, kiedy drzwi od dworu zamykano i w wielkim lesie były jeno trzy osoby: ojciec, ciotka i Cylka.

A wokół wicher huczy. Jak zły wilk wyje i straszy ludzi. Wszyscy troje nadsłuchiwali zawodzeń wichru. Starzy przypominali sobie przeszłość, dni radosne, dni minione. Ale mała Cylka wspomnień jeszcze nie miała... Więc myśleć o przyszłości, wierzyć w coś, oczekiwać kogoś?

Chyba najbliższego lata, kiedy znów będzie można biegać boso po zielonej murawie lasu. Pluskać się w strumyku i rozpryskiwać stopami srebrzysty chłód, który wieje od sosen, od cieni.

— Ciotko, czemu wiecznie niema lata? Gdzież się podzieli śpiewacy leśni, dlaczego strumyk umilkł?

Takiemi pytaniami Cylka zarzucała ciotkę w długie dni jesienne.

A kiedy w ciepłem wnętrzu małego domu zebrało się już zbyt wiele żałości i nudy, wtedy Isar wyjeżdżał do miasta „obliczać się“ ze starym Lurje, zaś ciotka imała się cerowania pończoch.

Potem dopiero zjawiał się nauczyciel.

Nosił ówczesnym zwyczajem włosy długie, a wciąż mówił o uniwersytecie. Cylka nie wiele rozumiała ze słów nauczyciela, ale ten nie liczył się z uczenicą, kiedy go nachodziła potrzeba mówienia.

— Kiedy wyjadę na studja do wielkiego miasta — mawiał.

— Więc co?

— Zabiorę cię z sobą i zrobię z ciebie człowieka.

— A czemże jestem?

— Kózką — odparł.

Rozśmieszyła Cylkę ta odpowiedź: jęła beczeć żałośnie, skakać i swawolić.

Aż ciotka, siedząca w pobliżu pieca zacznie ją strofować:

— I nie wstyd ci Cylko nauczyciela?

Nie lubiła Cylka napominań. Zdawało jej się, że Bóg wie jaki grzech popełniła — siadała w kącie nachmurzona. Oczyma jeno wodziła po dużej, jasnej izbie. A kiedy jej zbytnio dokuczano, wymykała się chyłkiem z domu i otulona w wielką chustkę ciotczyną biegła aż do chaty dozorcy szosowego. Znajdywała tam wesołą trój-

kę dzieciaków: dwuch chłopaczków i jedną dziewczynkę. Wszystko troje głowy mieli płowe. Na ścianach izby wisiały obrazy święte, a w izbie unosił się zapach kwaszonej kapusty i jeszcze jakiegoś kwasu.

Cylka bawiła się z dziećmi. W domu była ulubienicą wszystkich.

Gospodyni podawała dymiący sagan kartofli do stołu, zaś rozbawiona czwórka zmiatała z michy ile się dało.

Nagle drzwi się otwierają i w nich ukazuje się głowa starego Isara.

Cylka wypuściła łyżkę drewnianą z ręki i skamieniała.

Zaś ojciec ujmuje ją za rękę i milcząc prowadzi do domu. Nie powie złego słowa, ale Cylka czuje jego gniew — więc siada posępna w kąciku i słucha wiatru. Oczy jej świecą się jak dwa złe ogniki.

Ojciec milczy.

Ciotka Necha siedzi przy pończosze milcząc. Porusza jeno wargami. Po cichu wiedzie rozhowory z Panem Bogiem.

A nauczyciel szpera po książkach.

Sam się uczy, o Cylce zapomina.

Wreszcie nadeszły wrony, spada pierwszy śnieg.

W lesie rozlega się tu i owdzie strzał. To okoliczni dziedzice wyruszyli na polowanie.

Czasami zabłądził strzelec i do ich domku, ogrzał się, posilił herbatą.

Byli to najczęściej rośli mężczyźni z psami u boku.

Czasami przynosili krwawiącego zająca, przewieszonego przez ramię. Cylka drżała wówczas z radości jakgdyby jakaś przyjaźń, jakaś wspólnota łączyła ją z myśliwymi.

Długo mówiła o podobnem zdarzeniu dzieciom dozorcy szosowego.

— Zając był dopiero co zabity, krew miał czerwoną, a psy wciąż go obwąchiwały. Szkoda zająca.

Spoglądała przez okienko na dwór, myślała, czy też zając nie miał brata lub siostry, którzy za nim tęsknią.

I ona przecież tęskniła i z tęsknoty zaciskała swe dziecinne piąstki.

A potem nadchodziła biała zima i drzewa, szronem pokryte, przybierały dziwaczne kształty.

Rano Cylka nie poznawała swego lasu. Drzewa w białych futerkach wyglądały, jak tłum pielgrzymów. Dokąd idą, dokąd pójść pragną drzewa? Ziemia wokół biała i zmarznięta — wszędzie, wszędzie aż za Mścibowem, aż za Grodnem — ziemia jest biała i zmarznięta.

Stoi oto Cylka i duma. Nagle z gałęzi spada garstka tej białości i Cylka budzi się z marzeń.

Pędzi ile tchu w piersi do znanej nam chatki.

W chacie ciepło, lecz Cylka wyciąga z domu białowłosą gromadkę dzieci i idą do lasu.

Chodzą, chodzą po lesie, po białych wysepkach śnieżnych...

Nie wiele mówią ze sobą te dzieci lasu — pracują ich rączki, nóżki, za bary się biorą, jak młode wilczęta.

Naraz ukazują się psy myśliwskie. Pędzą prosto na dzieci. Uciekają maleństwa wystraszone, napełniają las przeraźliwym krzykiem.

Ale psy nic złego nie zamierzają uczynić, obwąchują dzieci i dalej biegną. Lecz z chatki przy szosie już krzyk usłyszano. Bieży matka, ojciec i sąsiedzi. Naturalnie, że cała wina skupia się na Cylce. Taka już dziewczyna duża, a rozumu ani za grosz: na mróz dzieciaki z ciepłej izby wyprowadza.

Więc znów wymysły i pogróżki w stronę Cylki.

A Cylka, jak niepyszna, już się wyniosła precz.

Stoi samiuteńka, otulona w wielką chustę ciotczyną: nie chce jej się wracać do domu, do ciotki i nauczyciela.

Więc dalej po lesie błądzi, kule śnieżne lepi, rzuci w drzewo, krzyknie z uciechy, gdy która trafi do celu.

Odpowie jej echo zmarznięte . „Inaczej latem bywało". myśli Cylka. I ze złości złamie gałązkę na krzaku. Taka ją markotność ogarnie na widok drzew milczących.

Długo błądzi Cylka po zaśnieżonym lesie.

Nagle z oddali słyszy turkot: to ojciec powrócił.

Zoczył ją z oddali i pyta — Czego szukasz w lesie? — do siebie na furę ją zabiera.

Naraz zamyślił się stary: jakże tu „dziecku" tak samotnie żyć...

Może do Grodna pojedziesz, córeczko, teraz tam wesoło, ludzi huk...

Cylka tylko głową przeczy: — Nie.

Wystarczy wspomnienie miasta, aby ją lęk ogarnął. A przy tem tak żal serdecznie ciotki i lasu.

Jakże tu będzie bez niej? Wyjedzie, a tu pustka zostanie w lesie, wiatr będzie jęczał i popłakiwał.

Tak myśli Cylka, jadąc do domu.

Drzwi się otwierają. Głowę wychyla ciotka Necha. Bucha z izby obłok pary.

Zamknęły się drzwi.

Monotonne, milczące życie rozpoczyna się w ciepłej izbie.

Dym z komina błękitnieje pomiędzy szaro białemi gałęziami sosen. Dwa inne domy opuszczone są i zamknięte. Mróz rozgospodarował się na dobre w lesie, zima czuje się pewnie, jakgdyby na zawsze pozostać tu zamierzała. Może tam, za lasami, na pustej przestrzeni pól, wicher jeszcze hula, unosi grudki śniegu, obsiewa niemi wzgórza i bruzdy polne, nie daje spokojnie uleżeć śniegowi. Tu, w lesie jest spokojnie, wszyst-

ko zasnęło snem zimowym. Wszystko w białej pogrążone ciszy. Wierzchołki sosen i miedziane, wąskie podbrzusza pni — niby armaty, naładowane nabojami.

Kilka barwnopiórych ptaszków ugania się po lesie z świegotem. Nawet zimą radosne są i pełne życia.

A oto z za krzaków szarak wybiegł zalękniony, nastawił uszu, słucha ciszy i dźwięków oddalonych, podnosi wdzięczny pyszczek i oblizuje zamarzły śnieg...

Kto mu krzywdę uczyni w tym świecie białego śniegu i zielonego igliwia?

Skądciś, zdala dochodzi echo zbłąkanego strzału.

Zając znika.

Zaczarowane są śnieżne gałęzie drzew, stoją dumnie, niby pochodnie srebrzyste.

Inne wyglądają, jak połamane ramiona świecznika, a jeszcze inne... Spójrz! Ramiona, zwyciężonych przez mróz olbrzymów. Lecz z pod śniegu i lodu spoglądają kępki zieloności — jak oczy Boże — zwiastujące nadzieję nowej wiosny. Przyjdzie wiosna piękna, jak nigdy, wiosna miłości — zielone igiełki sosen uśmiechają się obiecująco.

Przyjdzie wiosna, przyjdzie...

Nawet w powietrzu zimnem od czasu do czasu poczujesz zapach, jak przypomnienie pachnącego zmierzchu wiosennego.

Trzy zaśnieżone domy stoją w lesie, a nieco dalej stajnia. Dym wali z komina jednego domu, a wokół gromady czarnych wron. Połyskuje ich czerń na dookolnej bieli śniegu. Nie kraczą teraz, zajęte wyszukiwaniem pożywienia.

Śpi dom. Dopiero około południa, kiedy słońce zlodowaciałem ramieniem obejmie drzewa, z za uchylonych drzwi wysuwa się w kożuch odziana, z głową owinięta w chustkę, w butach wysokich postać niewieścia. To Cylka.

Idzie w stronę Mścibowa.

A w Mścibowie zimą pierze drą. Cylka ma tam wielu znajomych. W każdym domu ochoczo idzie robota — śpiewa się podczas pracy.

Po świętach „kuczek" rozpoczyna się darcie pierzy i trwa aż do Pesach.

Kobiety i dzieci wyglądają wówczas, jak porosłe pierzem.

Cylce zdaje się, że to z ich domów leci biały śnieg pierza, śnieg, który pokrywa las i szosę.

W Mścibowie piecze się gęsi i zajada skwarki gęsie. Na ulicy mróz siarczysty a w domu ciepło, aż miło, bowiem nie brak drzewa w okolicach Mścibowa.

Drą pierze. Dziewczyny i mężatki. Zapierzona idziesz w gości i po zakupy do miasta.

Czy dziw, że na ulicy odróżnić nie możesz białych puszków pierza od białych puszków śniegu?

Bucha para gorąca z za uchylonych drzwi, a kominy wysyłają w stronę nieba błękitne zygzaki dymu.

Spokojnie i radośnie upływa życie w Mścibowie:

Cylka często przychodzi tu w odwiedziny. Ucieka od swego opustoszałego lasu. Smutne są dnie spędzane w towarzystwie ciotki Nechy, swarliwej, jak stara wrona. Potem milczą obie— długie przechodzą godziny, a żadna słowem się nie ozwie.

Młoda dziewczyna gniewa się na starą kobietę za jej starość i za jej zrzędliwość.

A w końcu Cylka wkłada kożuch, otuli się chustą, wzuje buty i idzie.

Ucieka do Mścibowa.

Spędza dzień cały u Baraszy, starosty, który paszporty wydaje.

Barasza ma syna, Frojka, młodzieńca w butach o cholewach lakierowanych, żartownisia i śpiewaka zawołanego.

Cylka przyjaźni się z siostrą Frojki. Drą pierze razem i śpiewają modne piosenki:

„Co na to świat,
Co na to świat
Gdy dziewczę pieniądz kocha...“

Cylka nawet dobrze nie rozumie treści piosenek, ale tu jest tak dobrze i ciepło.

Piecze się kartofle i coraz to Cylka posila się niemi. Mężczyźni idą do bethamidraszów. O zmierzchu pozostają w domu tylko kobiety.

Długo, długo do późnego wieczora płonie ogień, śpiewa się pieśni, a worek z pierzem roś-

nie, powiększa się. Mieszkał także u Baraszów dziad, czy pradziad— Cylka dokładnie nie wiedziała. Nazywano go „żołnierzem mikołajowskim“.— Wymawiał w dziwny sposób literę „r“ — miał długą, białą brodę i śmiał się często, a wesoło. A kiedy się śmiał — zdawało się, że grzmoty gdzieś w oddali huczą.

Któż tam mógł coś zrozumieć z jego słów?

Lecz miło było czas spędzać w towarzystwie staruszka, kiedy łagodność jego usposobienia spływała na otoczenie — myślało się:

— Jak pięknem jest życie długotrwałe!

Siadywał w kącie pokoju, zaś białe puszki pierza gęsto go obsiadały.

— Dziadunio zupełnie pobielał — śmiały się dzieci.

— Napewno pierzyny mu się przyśnią!

— Sto lat temu, pewno był młodszy!

— Nie każdy z nas dożyje tego wieku — przerywała żarty jedna ze starszych kobiet.

Zdarzało się, że Cylka pozostawała na noc w Mścibowie, a wówczas siostry Frojka aż do północy opowiadały jej różności: zazdrość, zakochanie, miłość — Cylka z trudnością rozumiała te pojęcia.

Nie śmie jednak o wyjaśnienie zapytać.

Barasz ma właśnie sanie i konia. Chłopak Baraszowy zaprzęga niekiedy konia, zacina go batem i do sań spraszając całą gromadę dziewcząt, pomknie naprzód po skrzącym się śniegu.

Dziwnem się wydało Cylce, że Frojka czasami cugli popuści koniowi — dziewczynę najbliżej niego siedzącą uściska i pocznie ją całować. Inne udają, że nie widzą niczego. Cylka jednak patrzy z podełba i widząc, jak dziewczyna tuli się do chłopca, aż zadrgnie cała, zawrze w niej krew, do domu chce jaknajprędzej i prosi Frojka, by konia kierował do lasu.

Frojka posłuszny, odwozi ją do domu.

Zaś Cylka z sanek ledwo wyjść zdolna, nogi jej ociężałe, złość ją porywa, niewiadomo na kogo. A sanie powróciły do Mścibowa.

Zaś Cylka długo przysłuchuje się oddalonym okrzykom.

„Ha ha ha“ — odpowiada las.

Cylka stoi oczy otwarłszy szeroko i rozgląda się wokół. Stoi i słucha ciszy leśnej. Powoli powraca jej spokój.

Mścibowo, konie, Frojka, całujący dziewczyny, pozostali już w pamięci, jak dalekie wspomnienie.

Nagle wyrasta, jak z pod ziemi ciotka Necha'

— Czemu tu stoisz? Wracaj do izby!

Cylka wciąż jeszcze nie słyszy ciotczynego głosu. Dopiero po chwili pojmuje i wraca do domu. Zdaje się, że obcą jest wśród ludzi i wśród świata.

Na samym progu ciotka z wyrzutem zwraca się do Cylki:

— Skąd tyle pierza na tobie?

Czego Cylka dotknie, wnet zostawi na tem pierza.

— Nie gniewaj się ciotko — prosi Cylka.

A ciotka Necha nagle uświadamia sobie, że „dziecko" jest okrągłą sierotą i litość zalewa jej serce.

Czego tylko zapragnie — wszystko zostanie spełnione.

Lecz Cylka o nic nie prosi. Do snu się układa. W izbie zapanowała niczem niezmącona cisza.

Śni się Cylce, że jest w Mścibowie, śni się Frojka i dziewczęta, białe pierzane gąski, które obsiadły domy, drzewa.

Kiedy będzie kres tej bieli?

O świcie budzi się Cylka. Ciemno dokoła. Ciotka Necha odmawia psalmy. Taka żałość, tyle smutku jest w jej głosie.

Cylka rzuca się niespokojnie na łóżku pod pierzyną, przewraca się z boku na bok i za chwilę znów usypia.

Kiedy budzi się po raz drugi, jasno już w pokoju i na dworze.

Drzewa, jak muzykanci zastygli i czekają.

Niechaj tylko dyrygent da znak pałeczką...

Tymczasem mróz ścina oddech, śnieżynka tuli się do śnieżynki i maleńkim, brylantowym oczkiem ogląda towarzyszki.

Cicho. Ani jednego dźwięku, ani szmeru.

Napół śniegiem okryte wielkie świerkowe gałęzie, wyglądają, jak orle skrzydła. Tyle tu tych skrzydeł orlich, a na dole, na samej ziemi, srebrne pazury łap.

Kilka wron nisko nad ziemią przelatuje, a ruch ich skrzydeł ledwo dosłyszalny jest, jak ton cieniutkich strun, wydających ledwo dosłyszalne tony.

Cisza milczy zadumana w sobie, bieli sie srebrzystość śniegu...

Droga do domów zasypana śniegiem. Tylko jedna wydeptana ścieżynka wiedzie do jednego domu, gdzie zamrożone szybki tu i owdzie czarną plamą połyskują.

Jak w izbie ciepło!

Wokół las czuje ciepło domu.

Czy to nie skostniałe gałęzie wyciągają się w stronę ciepłego domu? Śnieg czuje się tu niepewnie. Śnieg boi się każdego cieplejszego tchnienia.

Cylka cały dzień spędza dziś w łóżku pod ciepłą pierzyną a ciotka Necha, jak matka najtroskliwsza niczego jej nie odmówi.

Garnek kipi na kuchni, po izbie spaceruje kwoka i spore już kurczaki, które w obawie przed zamarźnięciem pomieszczono dziś w domu.

— Mroźno dziś — mówi ciotka Necha. Aż żal ojca, który w lesie gdzieś marznie.

Zamyśliła się Cylka.

Ojciec...

Od czasu jak pamięć sięga, zawsze taki sam.

Podejdzie do niej, po głowie ją pogłaska i powie słów kilka, słów bezdźwięcznych prawie.

Niby mróz biały, milczy ojciec.

Długo leży Cylka w pościeli i nadsłuchuje, czy zdala nie dojdzie ją odgłos, szmer choćby... Nie, tylko polana w piecu trzaskają i sypią się iskry.

Patrzy Cylka na ogień płonący.

Nagle z lasu dochodzi oddalony skrzyp. To sanie jadą, wożą chłopi drzewo. A sanie po zlodowaciałym śniegu suną, skrzypią, rzekłbyś nóż o nóż uderza.

Znowu cisza. Zatrzymały się sanki. Wchodzą do izby chłopi z wąsami pokrytemi szronem. Przychodzą ogrzać się nieco.

Fajkę zapalić. Mówią o mrozie, uderzając dłonią w dłoń, nogą o nogę.

— Znaleziono ponoć zmarzniętego człowieka — mówi jeden...

— Jak świat długi niema takich mrozów!

Cylka z pod pierzyny patrzy na chłopów.

Uśmiecha się ten i ów zerkają na Cylkę:

— Patrzcie ją, jak królowa legła pod pierzyną. To ci życie!

— Stara Necho, czemuś to gołąbka nie upiekła dla tej królowej?

— Trzeba jej chłopca przywieźć!

— Zawstydzona Cylka schowała się zupełnie pod pierzyną.

I nie wie o czem chłopi mówią, czy już sobie poszli.

Cóż to jej powiedzieli?

— Chołpca trzebaby jej przywieźć.

I przychodzi jej na myśl, że w Mścibowie gdzie się pierze drze, tam wszystkie jeno dziewczęta wciąż o chłopakach mówią, o kochaniu.

Nagle wysuwa gwałtownie głowę z pod pierzyny. Chłopi już wyszli, ciotka Necha ceruje w kącie pończochę.

Wybucha głośnym śmiechem i jak nie zawoła:

— Ciotko, kiedy mi chłopca sprowadzisz? Chcę mieć narzeczonego, wszystkie dziewczyny mają narzeczonych.

Ciotka Necha podchodzi do łóżka i z poczciwością prawi:

— Znajdzie się dziecino, znajdzie się dla ciebie narzeczony. Bóg da — męża ci znajdziemy. Będziesz miała dzieciaki, będziesz miała dom własny.

Lecz Cylka śmieje się głośno: jeszcze jest dzieckiem, więc śmieszy ją myśl o tem, że będzie miała dzieci.

I ten obcy człowiek, którego nie zna, a który będzie jej mężem.

Nie, nie chce. Nie chce Cylka narzeczonego.

Ciotka Necha przygląda się jej z zainteresowaniem. Jakże to prędko wyrosła Cylka — już doprawdy czas o zamążpójściu pomyśleć. Wca-

le niedawno jeszcze bawlła się z dziećmi dozorcy szosowego. Tamte dzieci także wyrosły: chłopak poszedł już do wojska. Przecież to wcale niedawno uciekła Cylka z Grodna, a cała okolica tylko o niej mówiła.

Teraz dopiero przypomina sobie, że najstarszy chłopak Lurjów, Sasza — spędzając tu lato — towarzyszył po całych dniach Cylce w jej samotnych wędrówkach. Kryli się w gąszczach lasu. Dziewczyna i chłopiec sami w pustym lesie.

Patrzy więc ciotka na Cylkę, wspominając to wszystko.

A Cylka nogę wyciągnęła z pod pierzyny, przeciąga się i kaprysi.

— Nie chcę narzeczonego, nie chcę obcego męża. Chcę wyjść za Saszę. Sasza taki dobry. Zatem przyrzekał mi, że zostanę jego żoną.

— Tak się przedstawia sprawa — kiwa z niedowierzaniem głową ciotka Necha.

— Tak, tak, cioteczko!

— Dziecinko, zimą zapomina się przyrzeczeń, które latem się dawało. Słowa jak ptaszki — uciekają daleko. —

— Nie, nie, nie — woła Cylka. Tylko Sasza, będzie moim mężem. Opowiada takie piękne historje! Jest taki dobry!

Wyskakuje z łóżka, podbiega do komody i wyjmuje paczkę listów.

— Posłuchaj, ciotko!

Ciotka nadstawia uszu. Cylka czyta.

„Cylko, gdybyś wiedziała, jakie nudy w Grodnie! Ale mnie dzień cały upływa na wytężonej pracy. Próbowałem napisać opowiadanie o tobie i o lesie. Nie wiem, czy będę mógł kiedyś o tobie zapomnieć, tak przywiązałem się do ciebie podczas ubiegłego lata. Jeszcze raz dziękuję ci za pocałunek, który podarowałaś mi przy sosnach bliźniaczych...“

— Jakto, całowałaś go?

— Tak, i on mnie także. Czegoś się przestraszyła ciotko, zawsze to chłopcy i dziewczęta całują się.

— Skąd wiesz o tem?

Widziałam to w Mścibowie.

I jakgdyby drażniąc się z ciotką ukrywa głowę pod pierzynę. Myśli i marzy.

Cylka jest sama w lesie, sama pośród drzew, które zdaje się na zawsze zamarzły.

Przybywało coraz to więcej białych dni.

A kiedy w boru, aż nazbyt wielka rozlewała się cisza, zdało się Cylce, że czuje w tej ciszy wielkość białych przestrzeni, które w takich chwilach stawały się nieskończenie potężnemi i dalekiemi. Budziła się w niej ciekawość poznania wielkiego świata, życia ludzi, a jednak do miasta nie tęskniła.

Lecz każde zdarzenie, o którem inni prędko zapominali, w pamięci Cylki pozostawało na długo. Czytywała również książki. Wywierały one na nią niemały wpływ. Żyła własnemi wyobrażeniami, własną fantazją, nie dzieląc się z nikim.

Ciotka Necha miała swój świat. Wciąż jeno mówiła o biblijnej Racheli i Lei, o pobożnych a świątobliwych patryjarchach.

Pewnego dnia, w dzień wietrzny, kiedy śnieg strząsany z gałęzi spadał na ziemię, jak kasza, kiedy kwiaty lodowe na szybach mieszkania odtajały i Cylka wyglądała na biały świat z okna — koło domu przechodził dozorca szosowy.

Wracał właśnie z Mścibowa a Cylka znudzona samotnością wybiegła z domu zapytać, co nowego w miasteczku, u Baraszów.

— W Mścibowie — odparł dozorca — wielki dziś rwetes.

— Co się stało — spytała Cylka.

— Całe miasteczko zebrało się na cmentarzu. Kłócą się ze sobą, krzyczą. Złodzieje ponoć obrabowali groby.,.

— Co takiego? — rozbudziła się w Cylce ciekawość.

Lecz chłop poszedł dalej i Cylka niczego się nie dowiedziała.

Nie odpowiedział na pytanie Cylki, bo uważał ją wciąż za dziecko, z którem dorośli nie wdają się w rozmowę.

Zadumała się na chwilę...

Mścibowo, cmentarz, złodzieje...

Cóż to się stało?

Spoglądała pomiędzy drzewa. Strumyk zamarzł. Niebo wciąż jeszcze szare, ale wokół czuje się niedaleki kres zimy. Krakanie wron nawet

złagodniało. Pomyślała Cylka o radości wiosny i lata, o swobodzie, o gonitwach po lesie. Pomyślała i skoczyła na miejscu. Zawróciła do izby, wyciągnęła z pod łóżka buty ojcowe, wzuła je — bo przecież śnieg już topnieje, można w lesie natrafić na kałużę.

Spieszyła się, spieszyła, aż zauważyła ten pośpiech ciotka.

— Dokąd to spieszysz, Cylka, poco?

— Do Mścibowa — odparła Cylka.

— Co tam się stało? Czemu się spieszysz?

— Nic wielkiego... Iwan opowiada..., że tam na cmentarzu... złodzieje...

Więcej nie słyszała ciotka. Cylka otuliła głowę chustą.

Ciotka podbiegła do drzwi, wołając na nią.

Ale tylko sosny, stare nasze znajome, usłyszały wołanie ciotki.

— Cylka, Cylka...

Lecz sosny dziś zajęte: strząsają śnieg ze swych gałęzi. Strząsają zimę z siebie. Śnieg rozłożył się po ziemi i niepostrzeżenie pełza w stronę strumyka.

Kto wie co stanie się z śniegiem zimowym?

Wraz z wiatrem ucieka zima.

Niedługo, a wyjrzą skrawki ziemi czarnej, ziemi zielonej i starym sosnom przybędzie trochę świeżych igieł. Niby sosen członki żyjące— czerwonawe wiewiórki zeskakują z pni. Cały świat i wszystkie lasy oczekują szczęśliwego dnia.

Wielkiemi, żelaznemi, lodowatemi buciorami przygniotła zima lato, lecz lato wyzwoli się, lato wyswobodzi się niedługo. Niebo zna tajemnicę niedalekich wyzwolin i dlatego uśmiecha się promiennie.

I wietrzyk zna tajnie przyszłości i bieży od drzewa do drzewa i chucha na śnieg uparty, ogrzewa go i roztapia: Z obory dochodzą ryki, porykiwania krów: już nieco cieplej i chce się wyjść na powietrze. Póki jeszcze drogi zamarznięte, spieszno chłopom wywieść wyrąbane drzewa. Czasu już niewiele pozostaje. Rozmiękną drogi, a i robota na polu zacznie się wkrótce.

Cylka przybiegła do Mścibowa, ale nikogo w miasteczku nie znalazła. Wszyscy, wszyscy na cmentarzu.

Więc pobiegła na cmentarz. Był to maleńki cmentarzyk położony na wzgórzu. Kilka nagich, samotnycb drzewek, latem rzucających cień głęboki. Teraz stały, jak umarli, których niema gdzie pochować.

Wszystkie pomniki pod śniegiem, a po cmentarzu chodzą dzieci i starsi.

Skończyły się lamenty. Opowiadają sobie szczegóły zdarzenia. Cylka znajduje swoje przyjaciółki — córki Barasza i od nich dowiaduje się wszystkiego.

— W miasteczku żyła stara wdowa. Trzech synów miała — zdrowe to były chłopiska o szerokich barach. Drżała przed nimi okolica. Z

więzienia przechodzili do więzienia. Wdowa kochała synów — mimo iż byli grzesznikami i nieraz prosiła Boga, aby zlitował się nad nimi. To też co rano zmawiała modlitwę i śpiewała psalmy. A złodzieje kochali matkę, że się modliła za ich dusze, że matka była im oddana, mimo iż wstyd jej przynosili. Czegóż to nie znosiła od sąsiadów? Palcami na nią wskazywali mawiając:

— Wychowała synalków — zbójów istnych!

Kochali złodzieje matkę, bo przecież matką im była. Aż zmarło się starej wdowie.

Synowie wówczas byli daleko. Jeden odsiadywał w więzieniu, inni „pracowali" w mieście.

Cała okolica znała tych synów. Policja nie mogła sobie dać z nimi rady — byli od niej zręczniejsi. A kiedy zmarła wdowa, postanowiono w miasteczku, aby matki takich synów nie pochować na cmentarzu, w sąsiedztwie ludzi uczciwych. I pochowano ją niedaleko parkanu.

Znaleźli się nawet tacy, co wstawili się za nieboszczką: czy winna jest biedaczka, wszak była pobożna i cnotliwa...

Lecz nic nie pomogło. Stara pogrzebana została obok samobójców i grzeszników.

Minął czas pewien po śmierci starej. Dowiedzieli się o śmierci matki synalkowie i przyjechali do Mścibowa. Przyjechali porachować się z tutejszymi gospodarzami. Strach padł na mieszkańców. Próbowano przekupić ich pieniędzmi — byleby tylko wyjechali czemprędzej. Lecz

oni poszli do rabina i zwymyślawszy go — odmówili wzięcia pieniędzy.

— Nie sprzedaje się matki za pieniądze.

I odmawiali nabożnie „kadysz" po swej matce i boczyli się na wszystkich. Przy każdej okazji starali się o urządzenie awantury.

Jeszcze większy lęk ogarnął ludzi. Tacy zbóje, tacy złodzieje! A oni przychodzili do „bethamidraszu" przed wieczorem i zagadywali tego i owego:

— Dlaczego to matce nie należy się miejsce na cmentarzu, skoro była uczciwą kobietą?

— Leży pod płotem...

— Jak grzesznica pochowana.

A otrzymywali odpowiedź:

— Trudno, jak pochowana, tak pochowana.

A inni mawiali:

— Jeśli zasłużyła na to, Bóg da jej miejsce w raju.

A pewnej nocy bracia postanowili zrobić coś niewidzianego.

Wykopali nowy grób. Ciało matki w nowym spoczęło grobie.

A grób ten wykopali w pobliżu miejsca, gdzie najdostojniejsi mieszkańcy Mścibowa na wieczny odpoczynek legli.

Ciężka to była i straszna praca. Złodzieje pracowali ostrożnie. Nigdy serce ich tak mocno nie biło ze strachu.

Może kto zechce im przeszkodzić?

Latarki zaświecili przy pracy i kopali, kopali...

Milcząc pracowali złodzieje, lecz w końcu dopięli swego.

Niechaj wie świat, jak świętą jest matka, ile szacunku trzeba mieć dla matki.

Cylka dowiedziała się o tem wszystkiem i jęła drżeć ze strachu.

Złodzieje, noc, cmentarz...

Błąkała się wśród ludzi, wielkimi butami deptała śnieg, lecz nie słyszała o czem ludzie mówią.

Myślała wciąż, że i jej matka spoczywa na cmentarzu.

Nie wiedziała, który jest grób matki — wszystkie były jednakowo zasypane śniegiem. Dochodziły ją pojedyncze zdania!

— Złodzieje grożą, że jeśli poruszy kto grób, podpalą całe miasteczko.

— Dobrze zrobili złodzieje, nieprawdaż, Clyko?

To Frojke Barasz krzyknął jej to zdanie do ucha. I roześmiał się.

Zawsze śmieje się Frojke i zawsze spogląda płonącemi, zgłodniałemi oczyma na Cylkę.

Ucieka przed nim Cylka, a on za nią, krok w krok, i śmieje się z jej wielkich butów, z jej wyglądu.

— Gdybyś była chłopcem, Cylka, gdybyś była chłopcem, poszedłbym z tobą na wódkę.

Ucieka Cylka. Obrażona i zła.

Długo rozważała Cylka wraz ciotką to niezwykłe zdarzenie. Ciotka Necha twierdziła, że nie wolno było złodziejom tknąć grobu, bowiem, co ziemia przyjęła, tego nie wolno siłą odbierać jej.

Zaś Cylka stawała w obronie złodziejaszków.

— Nie postąpiłabym i ja inaczej — dodała w końcu Cylka.

Mijały teraz długie, monotonne, mgliste i wilgotne dni. Powoli zbliżała się wiosna.

W lesie coraz więcej wilgoci od topniejącego śniegu i mgły. Strumyk rósł wszerz i wzdłuż i pewnego poranku zdawało się, że zbliża się koniec świata. Maleńki strumyk, rozlał szeroko swe wody. Kawał lasu stał pod wodą, a sosny po kolana w wodzie przeglądały się w jej mętnej powierzchni. A na górze wielki szmat błękitnego nieba, a po niem od czasu do czasu przesuwały się białe, wełniste obłoki. Woda sięgała już progu domu Isara.

Cylka stała na progu domu i przyglądała się wodzie, która tu szybciej, owdzie powolniej płynęła. Na powierzchni wody pływały przeszłoroczne liście, stare igły sosnowe i wyschnięte trawki.

Powietrze wokół świeże i wilgotne. Podnosiło ono na duchu, dodawało otuchy wszystkim wokół.

Cylka po raz dziesiąty już wykrzykiwała:

— Chodź ciotko, spójrz na wodę, pójdź, zobacz!

A ciotka wychodziła z wnętrza domu, i gderała dobrotliwie.

— Co takiego? Wody nie widziałam? I wracała do kuchni.

Nie widać było, z jakiej strony przypływa woda. Zdawało się, że wypływa z pod ziemi, a Cylka chciała, ażeby trwało tak wiecznie, aby woda coraz wyżej i wyżej się podnosiła.

Jakby to było zabawne, gdyby musiała wraz z ciotką uciekać przed wodą aż na strych!

Potem przyszedł Szulim, który wybierał się do miasta.

— Pozdrów Saszę, a proś go, niech przyjedzie na lato, czekam na niego.

Uśmiechnął się Szulim:

— A on na ciebie czy także czeka?

Posmutniała Cylka od tego pytania, ale wnet się uspokoiła. Przyjdzie lato... Przyjdzie znowu... Jak dobrze będzie latem...

I spojrzała w głąb lasu: jeszcze widniały z daleka kupki śniegu. W tej chwili opanowało ją pragnienie, aby czemprędzej, chwyciwszy miotłę, wymieść resztki zimy. Prędko jaknajprędzej pozbyć się monotonnych dni.

Niechaj nastanie lato dla Saszy.

Lato dla jej tajemnych życzeń. Dla ciotki, dla milczącego ojca, który wciąż jeździ po lasach. Niechaj nastanie lato dla lasu. Dla wiewiórek, dla ciotki, która przy otwartem oknie będzie Biblję czytać.

Jak w każdą letnią sobotę.

Przez całą noc woda stała na tej samej wysokości, o świcie jęła opadać. Sosny stanęły na suchej ziemi, las oddychał świeżym wietrzykiem, znikły resztki śniegu.

Wszystko zdawało się trwać w oczekiwaniu. I Cylka czekała czegoś.

III

SASZA LURJE.

Od dzieciństwa był on chłopcem dumnym, pewnym siebie, chłopcem, któremu się zdawało, że wszystko na świecie istnieje dla niego i że nie wolno mu niczego odmówić. W szkole łagodniej się z nim obchodzono. Każdy znał jego bogactwo. Był zdolny lecz leniwy, pragnął wszystko otrzymać bez pracy.

Zawsze był dumny. Uczyć się nie chciał, lecz zły był, gdy go jakiś kolega prześcignął i otrzymał lepsze stopnie. Tego nie mógł ścierpieć.

Gdy zbierał kolekcję marek, jego kolekcja musiała być najlepsza. I łyżwy najlepsze. I książki jego musiały być najładniej oprawione.

Jest przecież synem Luriego.

Lurjowie!

Z jakim szacunkiem wymawiano to nazwisko!

Lurjowie — byli bogaci, odznaczali się dobrym charakterem, pomagali ludziom.

Mieli kocz i parę czarnych, cudownych koni. Był to jedyny kocz w mieście, należący do żyda. Odwożono końmi Saszę do gimnazjum i niby mały dziedzic przyjeżdżał do domu. A cała ulica podziwiała: patrzcie tylko, taki mały a dla niego specjalnie zaprzęga się konie! Albo: jedzie w koczu na resorach. Zazdroszczono im i podziwiano ich bogactwo.

Lurjowie!

Interesa prowadzą z kupcami z zagranicy, najwyżsi dostojnicy przychodzą do nich w gości, a mimo to ludzie mało zarozumiali i dom prowadzą, jak każe obyczaj żydowski.

Sasza, ulubieniec rodziny, był jedyną pociechą rodziców.

A mały gimnazista przyjaźnił się z wszystkimi i wszyscy płacili mu przyjaźnią.

·Potem, kiedy z chłopaczka wyrósł młodzieniec zakochał się Sasza w gimnazistce, najpiękniejszej w mieście panience.

Całe miasto tylko o jej urodzie mówiło i nawet oficerowie pokręcali wąsa i uderzali głośniej ostrogami, kiedy szła główną ulicą. A może dlatego, że tyle mówiono o niej pokochał Sasza tę dziewczynę

Była córką ubogich rodziców, zaś Sasza był bardzo bogaty, mimo to nie chciała o nim słyszeć.

— Nie podoba mi się „tłuścioch“ i tyle — Sasza był pełny, okrągły, choć twarz miał sympatyczną i duże. ładne czarne oczy.

„Tłuściochem“ nazywali go wrogowie i największa to była obelga dla chłopca. Tupał wtedy nogami i krzyczał z wściekłości.

— Nie podoba mi się — powiedziała gimnazistka i umawiała się na spacery z innymi chłopcami, a nawet oficerami.

Z każdym pójdzie a synowi Lurjów odmówi,

Była to w jego życiu pierwsza porażka,

Był to powód wystarczający, aby dziewiętnastoletni młodzieniec popadł w melancholję — a wszystko skończyło się zażyciem sporej dozy jakiejś trucizny, która o mało co nie pozbawiła go życia.

Długo jeszcze potem groził samobójstwem, odebrano mu nawet rewolwer, do którego nie miał kul.

Te przeżycia zmieniły Saszę. Schudł, posmutniał, rzucił nauki, uciekał od kolegów.

Potem wysłano go zagranicę, obwożono po Paryżu, Berlinie i Zurichu. Odzyskał równowagę i wstąpił na studja.

W Zurichu i innych miastach Szwajcarji nie mało spotkał znajomych. Był to okres kiedy młodzież z nienawiścią odnosiła się do regimu carskiego. Tworzyły się partje, skupiające się wokół emigrantów rosyjskich. Było wśród tych młodych ludzi mnóstwo żydów, a wszyscy marzyli o

tem, jak pozbyć się carskiego despotyzmu. Każdy dzień przynosił nowe mityngi, odczyty, referaty. Sasza Lurje także brał udział w ogólnej pracy, ale nie mógł się zdecydować na przystąpienie do jakiejś określonej partji.

Pomagał zato od czasu do czasu pieniędzmi ubogim rewolucjonistom.

Wielu z nich myślało, że Sasza do nich należy. Ale na drugi dzień wyjeżdżał on do Berna w nowem „towarzystwie" Lubiły go kobiety, pieniędzy miał poddostatkiem; z Grodna nadchodziły coraz to nowe przesyłki.

Uczył się pilnie i przygotowywał do egzaminów. Wyrósł, zmężniał, wyszlachetniał. Turyści w górach sądzili, że mają przed sobą typ wschodni; jego pewny siebie, nieco ciężki chód zwracał ogólną uwagę. Rzadko zapalał się do jakiejś sprawy, nie zdradzał zaś nigdy zapału zewnętrznym gestem, wtedy gdy inni dawali wyraz uczuciom.

Stanowił zamknięty w sobie świat. Był kimś, kto swem zachowaniem, spokojem i odosobnieniem wzbudzał zainteresowanie.

Jeśli z braku innego zajęcia odwiedzał zebrania — był pilnym słuchaczem i od czasu do czasu zadawał lakoniczne pytania.

Niejednokrotnie słyszano jak dowodził:

— Zbyt wiele ludzi jest na świecie, zbyt wiele... Nie można się podzielić darami Bożemi,

zawsze o to wojny toczyć się będą. A niech się toczą jeśli to ciekawe.

— Ależ Sasza, jeden pracuje dla drugiego, jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego...

Rozumiał, że pragną wciągnąć go w wir dyskusji, a ponieważ nie znosił tego, opuszczał zebranie ze swem zwykłem:

— Plunąć na wszystko!

A przecież mówiono, że gdyby zechciał, byłby znakomitym mówcą, działaczem, wodzem nawet. Niejedna grupa prosiła go. by przystąpił do pracy. Odpowiadał z uśmiechem:

— Czasami podoba mi się świat wraz ze wszystkiemi swemi wadami i bólami, a czasami nie podoba mi się, a wówczas nie znoszę go wraz z tymi, którzy go chcą poprawić.

Nie brali sobie do serca jego ostrych przymówek i odpowiedzi, czasami ten i ów wzdychał: szkoda, młody człowiek zdolny, a żyje bez celu.

Często po otrzymaniu większej sumy pieniędzy z domu, wyjeżdżał do Monte Carlo, wracał z kilkoma frankami w kieszeni wesoły i podniecony.

— Była tam uciecha. W przeciągu jednej godziny zostałem miljonerem, a w przeciągu drugiej nędzarzem. Gorączka mnie paliła, nerwy napięte — jakież wspaniałe przeżycia w tem piekle złota!

Koledzy z lekką pogardą traktowali te wycieczki syna burżujskiego. Nic go chyba w życiu nie zmieni.

A przecież, nie ucząc się wiele, skończył studja i to z lepszym rezultatem niż inni. Nie lubił książek, wyśmiewał moli książkowych, a sam nie wiedząc kiedy, przeczytał i poznał dokładnie wszystkie dzieła klasyczne, interesował się botaniką i astronomją, a to co poznał — pozostawało mu na długo w pamięci. Jeśli dał wciągnąć się w dyskusję, był to oponent, z którym liczyli się wszyscy.

A przecież nic go specjalnie i jedynie nie zajmowało: ani nauka, ani hulanki, ani Monte Carlo.

— Poco właściwie żyjesz? pytali go koledzy.

— Także dziwne pytanie — odpowiadał

— Wszystko w życiu ma swój cel

— A poco jest cel?

— Nie można z tobą mówić, Sasza!

— Więc nie mów...

I spoglądał wówczas na obecnych z miną księcia, któremu w czemś przeszkodzono.

Razu pewnego nieopacznie zaplątał się w przygodę miłosną w rezultacie czego, kolega chrześcijanin ubliżył mu dotkliwie.

A wtedy młody Lurje podniósł rękę i odpowiedział policzkiem.

Gwarno uczyniło się w kolonji. Pojedynek, będzie pojedynek!

Sasza otrzymał wezwanie: mieli zmierzyć się na szpady.

Lecz Sasza odmówil kategorycznie:

— Nie znoszę takich zabaw dziecinnych. Podrapie mnie on, albo ja jego. Nie uznaję tych głupstw.

Więc jeli go molestować:

— Hańbę ściągasz na nas wszystkich, powiedzą, że żyd odmówił, bo stchórzył.

Namawiano go tak długo, aż Sasza dał się przekonać.

— Dobrze przyjmuję wyzwanie, ale nie będę bił się na szpady. Bronią niech będzie rewolwer.

Lecz sekundanci byli temu przeciwni: może się wszystko skończyć nieszczęśliwie. Sasza Lurje nie odstępował. I postawił na swojem.

Opracowano warunki spotkania. Sekundanci starali się je złagodzić. Pewnego poranka, stanęli naprzeciw siebie dwaj obcy ludzie. Sasza Lurje z Grodna i syn ziemianina z Bawarji. Obydwaj mieli broń w ręku. Pierwszy wystrzelił spoliczkowany i chybił. Lurje był spokojny przez cały czas, nawet wówczas, gdy zranił swego przeciwnika. Potem miał wiele przykrości ze strony policji szwajcarskiej. W oczach znajomych wyrósł na bohatera. Sam zaś miał najwyższą pogardę dla swego czynu. Pozostał mu w pamięci zresztą tylko ów piękny poranek, kiedy słońce wzeszło nad górami. Długo w sercu chował wspomnienie owego świtu. Nie mógł sobie darować, że dał się namówić i uległ obowiązującemu przesądowi.

Wkrótce po tym wypadku, wyjechał do Włoch. Włóczył się samotny nad brzegiem morza i w górach. Najmilsze jednak wędrówki odbywał wśród ruin, starych zapadłych zamczysk. Z ciekawością oglądał ruiny i nie wiadomo dlaczego, widok ten sprawiał mu satysfakcję.

Z podróży wrócił już wprost do domu. Wyjeżdżał, jako młody chłopiec, uciekał po pierwszej porażce — nieodwzajemnionej miłości — wrócił, jako mężczyzna, z dyplomem, którego nie próbował nawet użyć dla celów praktycznych.

Przybył wszak do ojca bogacza i tu pozostał.

Po gwarze miast zagranicznych, rodzinne miasteczko wydało mu się wioską maleńką. Wszystko — domy, ludzie, nawet jego dawna miłość — zdały mu się teraz maleńkie. Jakże to mógł się kochać i tak do serca sobie wziąść to kochanie, że myślał aż o samobójstwie? Nie, wówczas był innym człowiekiem.

Co przywiózł ze sobą z zagranicy?

Wykształcenie, które nikomu korzyści nie przynosiło, ani jemu samemu nic dać nie mogło.

Próżnował.

Z sceptyczną pobłażliwością kłaniał się ludziom i odwiedzał ich.

Większą część dnia spędzał, leżąc na kanapie: dużo jadł, wiele sypiał,

Czasami wyciągał z bibljoteki książkę. Przerzucał kilka kartek i zamyślał się. Kto wie, o czem dumał?

Jakiś piękny pejzaż szwajcarski, wspomnienie nocy, spotkanie, przepływało przez pamięć... Lecz czas na spacer.

Nudna jest ta główna ulica w małem miasteczku i panienki, spoglądające na niego z lękliwym szacunkiem. Jakżeto? Tyle lat studjował zagranicą, wykształcony jest, nie byle jak! Rzadko znajdywał towarzystwo do rozmowy, spędzenia czasu i zabaw na Niemnie.

Spotykano go samotnego na ławce w ogrodzie. Nosił nowe ubranie i wiecznie ten sam stary kapelusz, który przywiózł z zagranicy.

Zaś ludziska nie dziwili się niczemu.

Pojechał pierworodny Lurjów na nauki zagranicę — któż bowiem ma jechać na naukę, jeśli nie syn pierwszego bogacza w mieście? Wrócił synalek z dalekich krajów i próżnuje — jakże może być inaczej? Komuż to próżnować, jeśli nie jemu?

Syn Lurjów grywa w karty w klubie z oficerami, a i nieraz podpije sobie z nimi. Niczemu nie dziwili się ludzie. Jednego tylko pojąć nie mogli. Czemu to syn bogacza nosi na głowie ten stary, podniszczony kapelusz? A Sasza, jak na złość: nie rozstaje się z kapeluszem.

Zdaleka już dziewczęta poznawały jego siwy kapelusz.

Najczęściej sam spacerował wąskiemi uliczkami miasteczka.

W sklepach szedł ożywiony handel, matki przemyśliwały nad znalezieniem mężów dla swych

córek, dziewczęta z prowincji, zajęte były wciąż romansami i plotkami.

Raz wesele...

Innym razem składka na biednych...

To znów pożar, bankructwo...

Wiadomo, jak to bywa w takiem miasteczku.

A przecież ten tęgi młodzieniec w szarym kapeluszu, ten, który z nikim nie mówił i niczem się nie interesował — syn Lurjów wniósł coś nowego do ogólnego życia miasteczka.

Jeśli w jego towarzystwie spotykano pannę— wówczas komentarzom nie było końca:

— Ho, ho, spaceruje z szarym kapeluszem...

Uśmiechają się jej miljony ojczulka...

Już ją ścigała zazdrość. Ale Sasza nie myślał o ożenku, zaś miasteczko wraz z jego plotkami, nie wiele go interesowało. Robiło to wrażenie, jakgdyby spadł z góry w przepaść i wydobyć się z niej nie może. Zdawało się, że znajduje się tu w niewoli.

Otrzymywał z Niemiec i Francji mnóstwo pism zagranicznych. Raz na miesiąc przeglądał, przerzucał nerwowo kartki pism i rzucał je...

Nudził się często i nuda zabijała w nim wolę, zabijała odwagę zerwania z tem wszystkiem, porzucenia miasteczka.

Niechaj nadal będzie, jak jest.

Apatja stała się przyczyną niejednego dziwactwa.

Nagle poczuł słabość do psów. Mopsy, jamniki, charty. Długo trwała jego namiętność do hodowania psów. Kupował na mieście szczeniaki, u myśliwych wybierał najbardziej rasowe okazy. Kiedy mu się jeden znudził, zmieniał go na drugiego. Sąsiedzi wyśmiewali jego słabość, rodzice znosili w milczeniu kaprysy. Dla nich był wciąż małym jedynaczkiem, któremu odmówić niczego nie można. Widywano wówczas Saszę zawsze w towarzystwie czworonożnego przyjaciela.

Skoro tyle bogactwa się posiada.

Skoro niema trosk żadnych.

Pozostaje namiętność do psów. Trudno! I te stworzenia także żyć muszą — więc im Bóg zsyła przyjaciół.

Niekiedy pukano do Lurjów i zjawiał się jakiś oberwaniec z propozycją:

— Mam na sprzedaż psiaka, czysta rasa...

— Ja nie kupuję — żartując odpowiadał stary Lurje — ja handluję lasami — to towar dla mojego syna i potem wołał:

— Sasza, przyjdź tu, przynieśli ci towar...

Zaś Sasza oglądał psa i głaskał jego sierść. Lecz trwało to niedługo. Znudziły mu się psy i wówczas charty i bernardy zniknęły z horyzontu. Pozostał znów przy starym, podniszczonym kapeluszu.

Czasami miał słabość do książek. Innym razem nastąpił okres hulanek z oficerami.

A plotki miejskie upatrzyły go sobie na temat.

— Gdyby zechciał zrobiłby najlepszą partję w miasteczku. Ojciec jego starzeje się. Obcy ludzie zarządzają lasami i młynami parowemi...

— Taki próżniak...

— Takie nic dobrego...

A przecież nikt do niego nie żywił żalu. Nazywano go w miasteczku imieniem zdrobniałem, choć nie wszyscy znali go osobiście i choć on niechętnie się do znajomości przyznawał.

Ojciec i krewni nieraz zwracali mu uwagę: Wyrzuć już ten grat...

Mieli na myśli kapelusz. Uśmiechał się dobrodusznie i wzruszał ramionami. A kiedy starego ojca pytano o syna, Lurje odpowiadał:

— Był zagranicą, wydałem nań majątek, a przywiózł ze sobą stary kapelusz...

Mimo to Sasza był ukochanym synem ojca i stary nigdy mu grosza nie skąpił.

Wtedy to Sasza zaczął przegrywać w karty. Dwa dni pod rząd do domu nie wracał, a opowiadano, że i trzy dni z rzędu grać potrafi. Prześpi się na krześle i gra dalej. Jeśli poczuje ból głowy, dostanie zimny okład na czoło i nie przerywa gry.

Wiedziano w domu o tej namiętności Saszy, lecz nikt nie śmiał go ganić!

— Przejdzie — mawiał stary Lurje, który dobrze znał jedynaka.

Pewnego dnia Sasza rzucił karty. Dlaczego? Poczuł, że stają się one najważniejszą częścią jego życia, tego obawiał się najbardziej.

Stać się niewolnikiem namiętności — to prawie — jak być w piekle — a przecież Sasza w gruncie rzeczy lubił życie...

Był z natury leniwy i flegmatyczny, zaś otrzymał wychowanie, które nie nauczyło go walki z życiem.

Nie był jednak głupim. Wszystko wiedział i w duszy śmiał się z sensacji, jaką wywołało ukazanie się jego w miasteczku.

Rzucił więc karty.

Przestał nawet bywać w klubie.

Było to latem, każdego przedwieczerza odbywał samotne przejażdżki łódką po rzece. Palił cygaro, więc już z oddali dostrzegano na wodzie jego łódeczkę.

— Sasza jedzie...

— Płomyk jego cygara już widać...

A jednak nie rozstawał się z szarym kapeluszem.

Dziwny upór. Może ten kapelusz przypominał mu jego czasy studenckie i pobyt zagranicą? Może to był jakiś dziwny upór, przywiązanie do drobnostek.

Po manji karcianej przez kilka tygodni grzebał w swoich książkach, dużo sypiał i jadł.

Spał w nocy i we dnie. Nie wiedział, jaką w domu otaczano troskliwością godziny jego snu. Służba miała zapowie 'ziane, aby chodzić na palcach i nie trzaskać drzwiami. Zaś ojciec wyprowadzał swych kupców aż do ostatniego pokoju,

aby ich rozmowy nie obudziły, broń Boże, jedynaka.

Zaś jedynak próżnował bezustannie i ludzie wokół się zaczęli oburzać na istniejący stan rzeczy.

Wreszcie stary Lurje jął go nagabywać:

— Pojedź ze mną do lasu. Mam majątek ogromny, starzeję się, komu to wszystko pozostawię? Naucz się, pomóż mi...

Sasza wzruszał ramionami i milczał.

Pewnego dnia przystał jednak na propozycję ojca.

Spojrzał na ojca badawczym wzrokiem i jakgdyby do siebie wyrzekł:

— A może — pojedziemy...

Ucieszył się stary ojciec. Miał on swój własny pogląd na próżniactwo syna. Sądził, że jednak w końcu, obudzi się do czynu, że pewnego pięknego poranka, odrzuci szary kapelusz i zapomni o zagranicy i o wszystkich zagranicznych dziwactwach. Sasza jeszcze będzie dzielnym człowiekiem.

Naturalnie, że przeciągało się to trochę.

Ale białe i wygodne kanapki przykuwały do siebie Saszę, a przytem było coś w jego życiu:

Razu pewnego latem, w Lozannie spotkał kobietę... Wspaniala postać, nieco milcząca, w jego guście. Potem, niejednokrotnie jeździł do Lozanny, w końcu machnął ręką. W jednym zdaniu przekreślił swój zachwyt: Zbyt wykształcona...

Pierwszy przypomniał sobie obietnicę daną ojcu.

— Kiedy pojedziemy do lasu.

— Choćby jutro! — stary nie chciał odkładać wycieczki.

Nazajutrz pojechali przez łąki do lasu, paląc cygara i milcząc.

Wreszcie — las. Stary Lurje wszedł do izby Isara, aby odebrać rachunki, zaś Sasza pozostał przy strumyku, otoczonym wokół sosnami.

Las śpiewał. W duszy Saszy obudziła się jakaś tęsknota.

Uśmiechnął się do siebie:

— Ojciec ma lasy, aby je wycinać.

Jak piękne jest życie w lesie, jak spokojnie można tu usnąć.

Sasza oddawał się podobnym dumaniom, gdy przed nim stanęła bosa dziewczyna. Była to Cylka. Sasza podszedł do niej.

— Niedawno jeszcze dziewczynka, jakżeś wyrosła, Cylko!

I las rośnie, niechaj tylko ojciec wasz go nie wycina.

Jakoś wesoło stało się w lesie. Chciałoby się mówić dużo prostych słów.

Ale nie można znaleźć tych słów.

Cylka cofnęła się do strumyką, spojrzała w jego jasną głąb, patrzała i milczała.

Była smukła, jak sosenka i nawet w zwykłej, kretonowej sukienczynie miała w swej postaci coś szlachetnego.

Długą chwilę trwało milczenie. Tymczasem rozśpiewał się las.

— Byłaś kiedyś u nas, w Grodnie? — odezwał się pierwszy Sasza.

— I uciekłam — dodała Cylka spiesznie.

— Dlaczego?

— Lubiłam dawniej las...

— A dziś? — nastawał Sasza.

— Dziś jestem już dorosła. Tęskno i za ludźmi, chciałoby się zobaczyć, jak świat wygląda. Świat jest bardzo wielki i bardzo mały — powiedział Sasza.

— Proszę ze mną tak nie mówić, bo nic nie rozumiem. Jestem prosta dziewczyna — przerwała mu Cylka.

Wtem wyszła z domu ciotka Necha.

— Cylko, trzeba dla gości przygotować coś do zjedzenia, pójdź—że, pomóż mi...

Kobiety zniknęły na progu domu, a Sasza pozotał sam przy strumieniu, toczącym wartko swoje wody.

Zapalił cygaro i pragnął podumać sobie, spokojnie pomyśleć, jak to miał we zwyczaju. Ale jakoś nie sporo mu było dziś z tym dumaniem, spoglądał w stronę domu, który stał w pobliżu. Proste okna, niemalowane okiennice. Szczeliny ścian, zatkane mchem. A z wewnątrz donosił się śpiew, zamilkł i znów zadźwięczał...

Rojzka w oknie siedzi
Ester obok chadza —

— Czemu jesteś smutna?

— Mój miły mnie zdradza...

Obejrzał ją już przedtem oczyma znawcy. Błękitne oczy, złote włosy i smukłe nogi... Oto jak się wyrasta w zielonym lesie!

Nie chciało mu się jeść, wolał przechadzać się po lesie. Szedł, uderzając laską po korze drzew, jakgyby zawiadamiał głośno las: „Jestem".

Nagle błysnęła mu myśl:

— Gdyby taka dziewczyna ukazała się w Nicei czy w Monte! Jakaż uroda świeża! I w spojrzeniu coś żydowskiego. Gdyby nie była żydówką... w tym lesie zdziczałaby zupełnie.

A potem złość go porywa na siebie samego:

— Pocóż myślę wciąż o niej? Chłopięce pomysły!

Nie widział Cylki do wyjazdu, chociaż szukał jej spojrzeniem dookoła. Słońce miało się ku zachodowi i jego odblask czerwono-miedziany biegł za nimi, jakgdyby kto specjalnie wymachiwał płonącą pochodnią.

W mieście, po przyjeździe opowiadał znajomym:

— W lesie mieszka stary żyd, z długą brodą. Ale ma córeczkę...

I Sasza począł często jeździć do lasu, który leżał niedaleko od Mścibowa.

Jeździł na lekkiej linijce. Przebiegała szybko kilka mil.

Czasami towarzyszył ojcu, sprawiając mu

tem nieskończoną radość. Wprawdzie nie próbował pomagać ojcu. spędzał czas, nad strumykiem w towarzystwie Cylki, albo błądząc po długim, zielonym labiryncie lasu. A jednak ojciec chciał stworzyć pozory pracy syna: jedynak, towarzyszący mu w wyprawach do lasu nie jest, powiedzą ludzie, zupełnym próżniakiem.

— Czy wiesz ojcze, że Cylka w Paryżu, albo innej stolicy europejskiej — wywołałaby furorę?

— Co takiego? — pytał niedowierzająco ojciec.

— Ojcze, to jest niezwykłe stworzenie. Człowiek dziki, kobieta-kotka...

Stary Lurje, poczciwy tłusty bogacz, który właśnie rozmyślał o planie, przedłożonym mu przez niemców z Królewca w sprawie budowy tartaku — zdumiał się, zamyślił długą chwilę, zanim zrozumiał słowa syna.

— Jak powiadasz? — zapytał. — Cylka to poczciwa dziewczyna, tylko trochę dzika. Pamiętasz, jak uciekła z Grodna do lasu? Dzika dziewczyna.

Lecz Sasza pożałował, że wdał się z ojcem w rozmowę na temat Cylki i umilkł nagle, wpatrzony w pola dalekie...

Nareszcie zajechali przed dom Isara.

Z za drzew dolatywał śpiew, Cylka śpiewała i dlugo trwało, nim Sasza znalazł jej kryjówkę.

— Znowu jesteś?

Dziwne pytanie.

Sasza czuje się obrażonym.

— Jeśli chcesz, wracam natychmiast, konie czekają.

— A jedź-że, jedź!

Cofa się, a ona wybucha śmiechem.

— Głuptasku!

W ten sposób, jak do dziecka, mówi Cylka do Saszy. Dzika Cylka z lasu, bosa i nierozwinięta — przemawia tak do niego.

A jednak jakże mu miło, jak miło, słyszeć te słowa z jej ust i ten śmiech leśny.

Nie wróci do miasta. Czeka go zajęcie: ciotka Necha wyprała bieliznę, a oboje on i Cylka, rozwieszają ją na sznurach.

Las śpiewa, a oni rozmawiają ze sobą.

— Ciągle pierze twoja ciotka, ciągle się uwija...

— Zawsze taka. Pierze i krząta się.

A tymczasem zaniepokoiła się ciotka Necha Zna ona od dawna i szanuje ten zwyczaj, jak prawo: nie wolno młodzieńca i dziewczynę zostawiać we dwoje.

Jedne są oczy, którym przeznaczono śledzić Cylkę. To oczy ciotki Nechy uważać muszą, aby się Cylce nieszczęście nie przytrafiło.

Chodzi więc młodym po piętach, woła, by wrócili do domu. Nie wiele to pomoże.

Bowiem młodzi mają chęć: pozostania we dwoje. A ciotka słyszała o Saszy nie wiele

dobrego: gra pono w karty, pija z oficerami, hula.

Aż strach, czego to spodziewać się po takim można.

Więc zwróciła się w końcu do Isara:

— Ojcem jej jesteś, uważaj, pomóż.

A Isar wpadł w wściekłość, zwymyślał ciotkę, skrzyczał, jak nigdy dotąd.

Słyszała Necha, jak stary do siebie coś mówił:

— Moje dziecko... nie daj Bóg...

Ciotka Necha jęła żarliwiej odmawiać psalmy.

A las szumiał i szumiał. Na miljonach świeżych igiełek wygrywał wiatr bezdźwięczne melodje.

Na lewo — las. Na prawo — las. Bory. Bory. Cała okolica oplątana była siecią miedzianych sosen.

Gdzieś wycinano dumne, królewskie drzewa, ale radość nie opuszczała mimo to państwa leśnego.

Wiewiórki nawoływały się wzajemnie.

A u stóp drzew wiły się węże strumyków leśnych. Śpij lesie, lulaj lesie. Gwarno jest wśród ludzi, wre praca i ruch, czyni się źle i dobrze. Ale my, srebrzyści gońcy nieskończoności, odbijamy w swych wodach wszystkie lasy, wszystkie miasta i niebo. Idziemy, płyniemy do morza i z morza, biegniemy wzdłuż dolin i gór.

A pocóż to biegniemy i żłobimy koryta i omywamy kamienie? Posłał nas Bóg.

Jesteśmy krwią ziemi, płyniemy jej żyłami i ożywiamy wszystko.

Lasy, lasy...

Jesteście, jak włosy, jak zwoje, sploty, loki ziemi. We włosach ziemi zaplącze się motyl ptaki, — kolorowe drobinki życia w dni jasne śpiewające radość ziemi...

Oto dwoje ludzie, chłopiec i dziewczyna, siedzą w lesie i uczą się mówić. Trzeba znaleźć słowa, aby jedno drugie pojęło. Bowiem są obcy, jakgdyby z dwóch innych części świata pochodzący. Są sobie bliscy. Ale nie rozumieją się wzajemnie, nie umieją mówić tym samym językiem.

Może szum drzew nauczy ich mowy? Może strumyk to uczyni?

Narazie zabawiają się rzucaniem szyszek do wody i śmieją się pełni beztroski.

Wiewiórka pisknie, dzięcioła słychać stukanie.

W drugim domu, w lesie, zamieszkał Sasza. Pozostawał tu często na noc, sprowadził książki z domu, czasami pracował.

Pociągał go las ku sobie, znał już tajemne jego drożynki, zawarł znajomość z dozorcą szosowym — odwiedzał wraz z Cylką lub sam, okoliczne wioski.

Cylka...

Pewnego dnia szli we dwoje: on w szarym, miejskim garniturze i swym kapeluszu, ona w białej sukience, bosa i w chusteczce na głowie za-

wiązanej jak u wieśniaczki. Słuchała jego słów, śmiała się i naraz pytanie:

— Sasza, czy to, co między nami jest, to się kochaniem nazywa?

Przystanął nieco zmieszany. A potem:

— Podobasz mi się Cylko, jesteś dzieckiem natury, jesteś...

— Nie mów mi o niczem innem.

„Czemś innem" nazywała wszystko, czego nie rozumiała.

— Nie Cylko, odparł żartobliwym tonem — narazie to nie nazywa się miłością, może kiedyś...

„Kiedy? Kiedy" — jęła się natarczywie dopytywać, wszystkie dziewczęta w Mścibowie mówią o kochaniu.

— Trzeba się przedtem zakochać — — —

Spojrzała na niego świetlistemi oczyma. Nie zrozumiała jego słów, ale w tej chwili tak bardzo jej się podobał.

Zieleń lasu rzucała cień na jego twarz, czarne, dobre oczy uśmiechały się łagodnie. Myślał o tem, że Cylka nic a nic o miłości nie wie, ale kiedy się obudzi ze swego snu leśnego, zapłonie ogniem...

A Cylka patrzała długo w jego oczy, aby poznać jego duszę.

Szedł powoli, chód miał nieco niedzwiedziowaty. Opowiadał Cylce mnóstwo prawdziwych i zmyślonych historji. Starał się mówić prostym językiem, aby go pojęła.

Czego właściwie chciał od niej?

Czego szukał w lesie?

Nie uświadamiał sobie tego sam dokładnie. Znał ludzi i trochę świata. Nie lękał się nudy: umiał odganiać ją dymem cygara. Lecz w duszy jego drżało kilka strun śpiewających, które szukały oddźwięku.

Znajdywał je, te echa, w samotności, w ciszy, w zadumaniu głębokiem.

Wspinając się po stromych ścieżkach, na szczyty Alp, niejednokrotnie chwytał na struny świeżość poranka, albo ostatnie westchnienie dogasającego dnia...

Ileż myśli budziło się w nim wówczas!

Oparty o skałę, w płomieniach zachodzącego słońca, czasami stawał twarz w twarz ze swą samotnością.

Sam był, nie wszystkim starczyło odwagi, aby wejść tak wysoko. Dlaczego nie mógł zmieszać się z ludźmi, i codziennemi troskami i drobiazgowością.

Zdawało mu się, że jest innym, może wybranym. A potem wyśmiewał swe myśli i schodził w dół, do ludzi.

A może? Może jest jednak innym? Nie takim jak wszyscy? Ucieka od samotności do kart, do kobiet...

A może jest prawdziwym poetą?

Pisał często, ale na wspomnienie tych poetów z długimi włosami i w aksamitnych kutkach, ogarniał go wstyd przed samym sobą. Nie będzie

takim, jak oni, i Sasza drze swoje rękopisy. A jednak, czego szukają rozśpiewane struny jego duszy?

Odpowiadał sobie: „Śpiewają z tęsknoty za czemś“.

Teraz w lesie...

Objęła go zewsząd cisza. Rok, spędzony w kałuży zatęchłej grodzieńskiego życia — zamroził jego ciało.

W lesie, w obliczu dziewczyny bosej o oczach błękitnych, odtajał, obudził się na nowo.

Rozdźwięczały się struny.

Próbował zasłaniać się dymem cygara, kontrolował siebie i coraz częściej przebywał w lesie.

Długo trwa dzień letni, a życie tak blisko podchodzi dziś do niego. Cylka kusiła go bezustannie.

Śledził ją i szedł za nią krok w krok...

Niepokój go ogarniał.

Trwoga niespełnionego pragnienia.

A ona... Niby jabłko dojrzałe, które nie zna swego smaku, ani uroku. Ogień, który podpala, a sam nie płonie.

Czemu nazwali ją dziką? Skąd taka myśl?

Nie może być dziką dziewczyna żydowska.

Sasza miał żal do niej i do siebie. Wyjeżdżał coraz rzadziej z lasu i prędko doń powracał. W domu mówiono już o jego nowej słabości. Rodzice prowadzili pomiędzy sobą niejednokrotnie rozmowy:

— Do lasu jeździ, upodobał sobie córkę Isara—rzekł Lurje.

Zaś matka z niezadowoleniem dodała:

— Córka naszego Isara.

A Lurje już planował:

— Jeśli, broń Boże, przyjdzie mu na myśl ożenek — odrzuci swój szary kapelusz i inne dziwactwa.

Sasza, gdyby usłyszał tę rozmowę, pogniewałby się na rodziców, że do spraw jego się wtrącają.

Urzędziłby awanturę.

Nie daj Boże rozgniewać go. Więc tylko szeptem mówiono o nowej słabości...

Pewnego dnia, rano, kiedy Cylka jeszcze spała, wszedł do drewnianego domu w lesie stary Isar.

— Jesteś wszak uczciwym człowiekiem. Wiem, że w Boga nie wierzysz, ale serce chyba masz dobre..

Sasza spokojnie spojrzał mu w oczy.

— Nie mam więcej, jak tę jedyną córkę...

Załamał się staremu głos. Prędko wyszedł z pokoju.

— Isar—krzyknął Sasza, podbiegając do okna.

Spostrzegł, jak stary ociera oczy...

— Przysięgam wam, Isar...

Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego przysięga. Isar odszedł w milczeniu, a Sasza spoglądał na las, skąpany w słońcu poranka. Promienie

słońca były teraz bliższe i dłuższe, niż za dnia Żywiczny zapach sosen napełniał powietrze i chociaż Sasza był nieco zmieszany tą niespodziewaną wizytą, na sercu uczyniło mu się lekko i rzeźwo.

Niecierpliwie oczekiwał ukazania się Cylki.

Dzień był już w pełni. Pastuch sprowadził z łąki krowy, które czekały niedaleko od domu. Dwie krowy, bronzowe, jak pnie sosen.

To podobieństwo barw uderzyło Saszę.

— Las pozostawia ślady.

Włosy Cylki, także przypominają pnie sosen w słońcu.

Z Mścibowa nadeszła ciotka Necha: wracała z targu. Przechodziła obok domu. Na powitanie Saszy, odpowiedziała chłodno.

— Czemu gniewacie się na mnie, ciotko Necho!

— Nie jestem zła, Sasza — i zniknęła w głębi domu.

„W Boga nie wierzę, ale serce mam dobre"

Tak powiedział Isar.

A jeśliby spojrzał lepiej,dojrzałby, że i w Boga mogę uwierzyć.

„Ale mam dobre serce"

Dobrze jest mieć dobre serce. I odczuwać świeżość takiego poranka. I...

Stanęła na ganku ojcowego domu i mruży oczy od blasku słonecznego. Przeciąga się, niby niby kotka i nie widzi, że syn Lurjów, który po-

wrócił z zagranicy i tak często tu przyjeżdża... Poco przyjeżdża tu Sasza?

Stoi zdala i patrzy na nią i podziwia jej ruchy, pożera spojrzeniem każdy ruch nieosłoniętych ramion.

Oto kobieta. Czy nie śnił o takiej w swych najskrytszych snach?

Nagle zawołała:

— Ciotko, ciotko, krowy czekają — i biegnie i krząta się gdzieś w stodole. Potem zanuci piosenkę. Zamilknie.

A las wciąż śpiewać nie przestaje.

IV

FROJKE.

Ojciec Frojki w Mścibowie cieszy się poważaniem: jest wszak starostą, wydaje paszporty a także sprawuje urząd bóżnicznego „gabe"

Frojke jest jedynakiem, pociechą ojca. Ma dwie młodsze siostry — przyjaciółki Cylki z lasu.

Frojke skończył już lat dwadzieścia, dzięki ojcowskim zabiegom uniknął służby wojskowej, zaś stary Barasz ogląda się już za odpowiednią kandydatką na żonę dla Frojki.

Przychodzą już swaci do domu, ale Frojke śmieje im się wprost w oczy.

Nie brak dziewcząt żydowskich i polskich w Mścibowie: Frojke zaś czuje się u siebie w miasteczku, niby książe udzielny.

Jest to smukły, przystojny chłopak o szelmowskim wyrazie oczu i zaokrąglonej twarzy. Nie zaznał dotąd żadnych trosk.

Latem spaceruje po Mścibowie i osiedlach podmiejskich w błyszczących butach. Zimą nosi ciemną, haftowaną koszulę, bekieszę i czapkę karakułową. Chłopi nazywają go „paniczem“.

Jest dobrym jeźdzcem, umie pić.

Ma swoją kompanję: należy do niej starosta i pisarz gminny. Odwiedza często komisarza w Wołkowysku.

Ojciec nie żałuje mu pieniędzy, ale Frojke ma również własne zródło dochodów: każdy odpłaca mu się hojnie, gdy wyrządzi jakąś grzeczność u komisarza.

Ze wszystkimi jest na stopie poufałej, nikogo się nie boi, ojciec niema z niego pociechy. Zdarzało się nieraz, że po jakimś skandalu ojciec proponował mu wyjazd do Ameryki, gdzie ma bogatych krewnych, lecz Frojke odpowiadał:

— Poco mam jechać, gdy mi tu jest dobrze?

I w towarzystwie swych kompanów udaje się na pijatykę do jedynego szynku w Mścibowie.

Pije wódkę i zagryza kiełbasą, nie pogardzi rakami. Wiedzą o tem wszyscy w miasteczku, wiedzą i wzdychają żałośnie.

Toć to istne nieszczęście, klątwa prawie, kiedy młodzieniec żydowski takich ma kompanów. Ale Frojke nie jest do gruntu zepsuty, a przytem taki młody jeszcze. Młodzi ludzie rzadko są źli, ale sprobuj go obrazić albo skrzywdzić a prędko ci tego nie zapomni. Śpi zemsta ukryta. Kiedy upije się, kiedy złość go porwie, dopiero wów-

czas znać, że z tego łagodnego chłopca, wyrośnie kiedyś mężczyzna gotów na wszystko.

Wpadła chłopcu w oko dziewczyna z lasu. Zna ją od dzieciństwa, przychodzi do domu ojca do swych przyjaciółek. Isar zaś, ojciec Cylki, przyjaźnił się ze starym Baraszem, który wielkim szacunkiem otaczał jego pryncypała bogatego Lurje, właściciela okolicznych lasów.

Cylka przybiegała tu z lasu na zabawę, na darcie pierzy, na wspólne śpiewanie piosenek, których uczyły siostry Frojki i ich przyjaciółki, zbierające się każdego wieczora w domu Barasza — najbardziej szanowanym.

Znali się więc od dziecka: Frojke — wesoły i żywy chłopiec, Cylka — wystraszona dziewczynka z lasu.

Teraz, kiedy Frojke już obcałował wszystkie dziewczęta w Mścibowie, jak zwykł się przechwalać — uderzyła go nieprzystępność Cylki. Instynktownie jeżyła się, kiedy tylko podchodził do niej blisko.

Lśniły jego białe zęby, jak u drapieżnika i za chwilkę... zdawało się Cylce, że ją pogryzie.

A Cylka kusiła go niepomiernie. Szedł od niej zapach lasu i młodości. Próbował schwycić jej rękę — wyrywała ją z impetem, a jemu było, jakgdyby go kto tępem narzędziem po głowie uderzył.

Cylka nie zdawała sobie sprawy, dlaczego obecność Frojki napełnia ją lękiem. Nie pozwoliła mu nigdy zbliżyć się do siebie.

Niejednokrotnie nawiedzało ją podobne uczucie. Zdarzało się że chłopi, wiozący pnie drzew zatrzymywali się przed ich domem, ażeby otrzymać od Isara pokwitowanie na wywożone drzewo. Pomiędzy nimi był młody, śmiały chłop, któremu spodobała się córka „pisarza". Podchodził, aby ją po głowie pogłaskać.

— Precz! — wołała wtedy i nieraz dostało się śmiałkowi.

Dlaczego ciągnie ich do niej? Dlaczego spoglądają na nią pijanemi oczyma?

Długo nie mogła pojąć tego Cylka.

Ale Cylka wyrosła i w lesie zjawił się Sasza, gość zagraniczny, jak go w okolicy nazywali. W Mścibowie tu i owdzie szeptano, że Cylka i syn bogacza kochają się.

O tem dowiedział się także Frojke Barasz.

Gniewało go to i bolało, że Cylka przestała przychodzić do miasteczka. Kilka razy podjeżdżał pod dom jej konno. Ale nigdy nie spotkał się z młodym Lurjem. Cylka wraz z ciotką krzątała się koło gospodarstwa, pomagała przy praniu, czyściła miedziane garnki, a czasami siadywała nad strumykiem z książką w ręce.

— Jasna panienka — próbował szydzić z niej Frojke.

A Cylka omijała go starannie, wyraźnie bojąc się spotkania. Ciotka Necha nazywała go pogardliwie: „Aresztant". Ciotka miała do niego wielki żal, zawiódł jej oczekiwania, bowiem zaw-

sze uważała, że będzie to odpowiedni mąż dla Cylki. A chłopak wyrósł na pijaka, na nicponia.

Frojke próbował przez siostry dostać się do Cylki. Cylka spędzała wesoło czas z jego siostrami, a na Frojke nawet spojrzeć nie chciała. Zagryzał wargi ze złości i marzył o zemście.

Ale pewnego dnia, kiedy głębiej zamyślił się nad swoim stosunkiem do Cylki — poczuł, że dziwna nieśmiałość go ogarnia. To Frojke bał się Cylki.

Jakże to? Przed ojcem strachu niema, nie lęka się żadnego chłopa ze wsi, z każdego się wyśmiewa, z naczelnikiem pije...

A nagle przed tą dziką dziewczyną, która biega boso i szoruje garnki miedziane, — przed nią ten dziwny lęk?.

I jeszcze poczuł, jak ciągnie go do lasu, jak imię Cylki wywołuje w nim dziwne uczucia...

Dziewczyny, hulanki, wódka, karty — to świat osobny. To codzienność jego życia. Ale Cylka niepokoi go, Cylka jest czemś świątecznem. Oto znów przybył na koniu do lasu. Obok domu Isara stoi linijka, koń jest wyprzągnięty. Koń w oddali stoi przywiązany do drzewa. Drzwi i okna w domu Isara na ścieżaj otwarte, ale żywej duszy wewnątrz niema. Wszedł do wnętrza. Sprzątnięta izba, jasno, czysto: na stole w aksamitnym woreczku „tefilim", a na ścianach obrazków kilka. W kuchni cała ściana obwieszona miedzianemi garnkami i miednicami.

Frojke nie znalazł nikogo.

Na krześle leżał stary, podniszczony kapelusz męski i bat. Nic więcej. Muchy brzęczą monotonnie. Przez okna zagląda las.

Frojke wyszedł z domu, złem spojrzeniem ogarnął konia, chciało mu się wyrządzić zwierzęciu jakąś krzywdę. Aż mu krew uderzyła z wściekłości do głowy.

Skoczy. I czarny koń Saszy otrzymał kopnięcie butem. Garść koniczyny pozostała mu w pysku Jedna chwila... Lecz koń widocznie sądził, że otrzymał uderzenie przypadkowe i znów spokojnie począł żuć paszę.

Frojke oglądał się na wszystkie strony, zajrzał pomiędzy drzewa, nadsłuchiwał — potem uszczknął gałązkę sosny i zrywając pojedyńcze igły smakował ich gorycz i spluwał.

Trwało to dobrą chwilę. Domyślił się obecności Saszy: oto na stołku leży jego szary kapelusz... koń wyprzągnięty... A teraz poszedł na spacer z Cylką, na spacer do lasu... Czuł ogień w sercu. Na czworakach poszedłby za nimi do lasu i śledził, śledził...

Tymczasem nadeszła ciotka Necha. Wracała z Mścibowa, trzymając kosz z zakupami w ręce.

— Co tu robisz, Frojke? zapytała.

— Lubię wasz las — odparł. A gdzie Isar? Gdzie Cylka? Czyj koń się tam pasie?

A stara mówi, jakgdyby do siebie:

— Isar pojechał daleko, za interesami. A Cylka... Przyjechał synalek Lurjów, więc już z nim poszła.

Frojke przysłuchuje się uważnie i naraz podbiega szybko do Nechy, która już na progu domu stanęła:

— Posłuchajcie, Necho!

— Czego chcesz?

— Pomówcie z Isarem... Porzucę wszystko, przestanę pić, będę nabożnym i wszystko co zechcecie, tylko dajcie mi Cylkę za żonę...

Jak się zerwała Necha z miejsca, jak nie splunie w stronę chłopca:

— Też mnie przestraszył! A wynoś mi się do Mścibowa wódkę żłopać... Nagle zawstydził się siebie: pocóż to w rozmowy się wdawać z tą staruchą, tylko ośmiesza się w jej oczach.

A las zamilkł na chwilę, jak zaklęty.

Frojke nie myślał o tem co dzieje się wokół.

Był zły i tę złość jego odczuł dobrze koń, na którym pogalopował do domu.

W domu podejrzanem wydało się podniecenie Frojki. Przypuszczano, że może zbiera mu się na chorobę.

Stał się milczący, ponury.

Więc dziwili się wszyscy niepomiernie.

Lecz Cylka nie interesowała się chłopcem. Nie kochała niczego — prócz lasu.

Stawała się często milcząca— a jej oczy szare nabierały wówczas głębi, zachodziły szafirem, usteczka zamykały się, niby kielich kwiatu i choćby napominać ją ze sto razy, że czas wziąć się do

pracy — wzruszała ramionami i dalej milczała: jak zaklęta.

Tylko przeczącym ruchem głowy odpowiadała

— Nie.

— Jakto? Nie będziesz pracować? Nic robić nie chcesz?

— Nie — — nic ponadto nie powie.

Uciekała. Gdzie spędzała czas? Czy u dozorcy szosowego, czy w towarzystwie Saszy — czy z kim innym?

Gdzieindziej — zniknięcie młodej dziewczyny wywołałoby niepokój. Lecz tu, w lesie, gdzie się urodziła i gdzie każdy zakątek był jej znany— nikt się o Cylkę nie troskał.

Milczeli często oboje: ona i las. Ona idzie naprzód przed siebie, a las na chwilę wstrzymuje dech... Wydłużyły się milczące cienie drzew. Dopiero głos wiewiórki przerwie milczenie.

O kim Cylka myśli i o czem las duma?

Nawet strumyk przycichł, igra woda po kamieniach i cicho bieży naprzód, mokrym piaskiem gładząc brzegi. A Cylka spojrzy, aż ku wierzchołkom drzew. Czemu sosny oczu nie mają, dlaczego milczą? Cylka myśli o nich, jak o żywych stworzeniach: jedne z nich wyglądają, jak ojcowie i matki, inne, jak dzieci podrastające. Od jednego drzewa do drugiego biegną gałęzie, niby ramiona, obejmujące się, jak ręce witające się, ręce niosące pieszczotę...

Cylka żyje w lesie i razem z lasem. Niedaleko od domu strumyk pogłębia koryto: tam zwykłe kąpie się Cylka.

Cicho dokoła. Niema żywej duszy. Tylko kąpiąca się dziewczyna.

Jest piękna, jak nietknięty, nieznany nikomu kwiat leśny.

Nie wiedziała o tem, że Sasza ujrzał ją pewnego razu w kąpieli i potem nagą na piasku w promieniach słońca.

Nie mógł długo oderwać wzroku od tego obrazu.

Modlił się w duszy, aby Cylka go nie dostrzegła.

Bo Cylka była właściwie bardzo wstydliwa.

Przez całą godzinę przyglądał się jej Sasza.

Cylka długo o tem nie wiedziała. Potem Sasza opowiedział jej o tym zdarzeniu; Cylka gotowa była się obrazić, lecz udało mu się ją uspokoić.

Nadchodzi poranek...

Cylka z łóżka wyskoczy, narzuci na siebie podartą sukienczynę, tak podartą, że ramiona jej i część pleców świecą nagością. Pocznie nucić piosenkę. Bez żadnej przyczyny do radości — ot z potrzeby jakiejś wewnętrznej śpiewa i śpiewa, aż się echo roznosi. Ciotka już śpi, ojciec śpi, a śpiew Cylki wcale ich nie obudził. Znajdzie na to radę: chwyci kij i bębnić pocznie w miedziane miednice, porozwieszane na ścianie ku-

chennej. Oto dom cały, nawet las cały pełen jest odgłosów huczących... Zupełnie, jakgdyby armja wojska zwycięskiego poszła w pląs radosny.

Ha, ha, ha! Obudziła naturalnie wszystkich, a sama wybiegła na dwór, otworzyła obórkę, wygnała z niej krowy. Ciepła woń obory bucha nazewnątrz i miesza się z żywiczną wonią młodych gałęzi świerkowych. Rozejrzy się Cylka wokół i uśmiechnie, uśmiechnie tylko jasnością swych oczu. Cieszy się, niewiadomo z czego i wraca napowrót do domu. A ciotka już na spotkanie wychodzi z wymówkami.

— O mało ze skóry nie wyskoczyłam, jakieś bębnić poczęła. Ojciec wyjmuje już „tefilim" i stoi naprzeciw okna. Jakież ma blade oblicze! Zieleń lasu odbija się na jego twarzy, ma twarz biało-zieloną. Cylka wie o tem, że w lesie oprócz sosen, są jeszcze milczące zdrowe dęby, mocne olchy, które wyglądają, jakgdyby tu przypadkiem tylko się znalazły. A ojciec, który przy oknie teraz modlitwy odprawia, przypomina jej właśnie takie osamotnione drzewo.

Ciotko Necho, a co dziś będzie?

Cylka chciałaby, ażeby codziennie było coś nowego. Żeby przyjechali goście, żeby pójść do Mścibowa... Lecz ciotka Necha innego jest zdania:

— Co będzie dziś? Nie wiesz? Obierze się ziemniaki i zje się je na obiad.

A Cylka przypomina sobie o głodzie i zabiera się do śniadania. Ojciec skończył modlitwą. wyciągnął swój odwieczny notes i zapisuje coś.

Lecz nie wiele to interesuje Cylkę. Pobiegnie lepiej do lasu.

Jeśli kukułka, parzystą ilość razy zawoła „kuku“ Sasza dziś nie przyjedzie, jeśli nieparzystą — przyjedzie.

Naraz serce jej bić przestaje.

„Raz, dwa, trzy“

Cisza. I serce młotem poczyna walić jej w piersi, biegnie do domu, żeby uciszyć niepokój jakąś pracą.

Było już dobrze po południu, kiedy Sasza przyjechał z Grodna. Cylka nie słyszała, jak zajechał przed dom. Siedziała nad wodą z książką w ręce.

Czerwony odblask słońca na pobliskiej sosnie wraz z drzewem odbijał się w strumyku. Z kamyka na kamyk woda spływała, wydając cichy szmer, niczem modlitwa przedwieczorna cicho szeptana.

Na jednym brzegu strumyka stał Sasza, ukryty za drzewami i podziwiający zdaleka Cylkę. Wyraz oczu miał poważny, usta zaciśnięte i nie wiadomo było, czy zachwyt nad dziewczyną przyprawiło go o ten stan, czy też probuje odgadnąć tajemnicę duszy dziewczęcej?

Myślał o tem, czem właściwie oczarowała go Cylka. Dlaczego, jak urzeczony ucieka z miasta, gdzie wszystko wydaje mu się teraz złe i brzydkie? Dlaczego przeciąga swój wyjazd zagranicę?

— Cylko!

Drgnęła, książka wypadła z jej rąk. Podnosi oczy i uśmiecha się, ujrzawszy Saszę. Dopiero w chwilę potem nakrywa sukienką odsłonięte, bose nogi.

— Dzika jest — myśli Sasza — a jednak, jak wstydliwa!

Wita go radosnym wybuchem śmiechu.

Najpierw trochę niesamowicie brzmi śmiech jej w pustym lesie, o tej porze, kiedy wszystkie głosy leśne ukryły się w małych gniazdeczkach i cienie drzew lgną jedne do drugich.

Ale po chwili napełnia się las jej śmiechem. Ożyło coś w lesie i potoczyło się daleko, daleko... Echo leśne...

Z domu dochodzi wołanie:

— Czego śmiejesz się Cylko, czego się śmiejesz?

To ciotka Necha zaniepokoiła się.

— Sasza przyjechał — radośnie odpowiada Cylka.

Zamilkło wołanie. A Sasza przechodzi po belce, którą zamiast mostku przerzucono w poprzek strumyka. Oto już spoczął obok Cylki.

— Widzisz, przyjechałem znów.

— Pisałam list do ciebie. Czyś go już otrzymał?

— Nie, nie otrzymałem, a mimo to przyjechałem. Coś mnie ciągnie do ciebie, ciągnie, jak zaklętego.

Podniósł oczy i rozglądał się po lesie: zieleń przeglądała się w zieleni... Sosny o gałęziach

prostych i sosny o gałęziach splątanych ze sobą. Z oddali słychać pukanie dzięcioła. Poprzez drzewa przeziera przedwieczorne, blade światło. Cylka uszczknęła świeżą gałązkę iglastą, coraz to igłę zerwie i rzuci do wody... Zatrzyma się na chwilę, przystanie cieniutka igiełka, aż przypłynie fala i porwie ją naprzód. Lecz Cylce prędko sprzykrzy się ta zabawa i nieco gniewa ją przydługie zamyślenie się Saszy.

Nagle Sasza czuje prysznic zimnej wody na twarzy. To Cylka zanurzyła gałązkę i pluszcze nią o wodę. Nie patrzy już Sasza na światło pomiędzy drzewa, stara się z ręki Cylki wyrwać gałązkę i zmagając się, dotknie nieuważnie ustami jej nagiego ramienia. Zamarł ze wzruszenia na chwilę. Dopiero Cylka zbudzi go z uśpienia:

— Cóżeś uczynił dobrego?

— Pocałowałem...

— Poco? — i oczy jej, aż do najtajniejszej głębi, pełne są śmiechu.

Więc i Sasza pocznie się śmiać, śmiechem młodzieńczym, śmiechem tak obcym jego naturze, jego postaci ociężałej nieco i jego spokojnemu i obojętnemu spojrzeniu. Opowiedże tu, tej leśnej dzikusce, z czego Sasza się śmieje: tyle już całował kobiet w życiu, a żadna mu tego pytania nie zadała: poco?

— A ty wcale nie pragniesz mnie pocałować? — pyta Sasza.

— Tak i nie — odpowiada i oblewa się ponsem.

I las, i strumyk i Sasza — wszyscy wiedzą, że niewiadomo dlaczego zawstydziła się, dając tę odpowiedź.

Pod drzewami, po ziemi płynie strumyk i kryje w sobie tyle cieni zielonych i zabiera ze sobą bicie dwojga serc.

Wysokie, wysokie są drzewa i mali ludzie w porównaniu z nimi.

Sasza pełen jest szacunku dla wielkiego lasu, gdzie znów począł dumać o rzeczach minionych.

Duma o tem, iż zdawało mu się kiedyś świat do niego należeć, a teraz zdaje mu się, że jest na świecie zbyteczny.

Ale...

Cylka nie czuje przed nim lęku. Pocznie go za rękaw ciągnąć i strofować:

— Nad czemś się znów zamyśliłeś? Las milczy, ciotka milczy, ojciec milczy a i ty milczeć zamierzasz?

— Nie, tylko na jedną chwilę zadumałem się, tak tu spokojnie.

— O czem myślisz? — o kim myślisz? — upiera się Cylka.

A kiedy dowie się, że Sasza myśli o swej przeszłości, wtedy na dobre się rozgniewa i chwyci kapelusz szary — wspomnienie lat minionych — który leży tuż na trawie i rzuci go do wody.

Śmieje się i klaszcze w dłonie. Kapelusz pada na powierzchnię wody, dnem do dołu, nie nasiąka wodą, jeno płynie sobie powoli i spokojnie naprzód. Sasza zrywa się z miejsca i biegnie

ratować swój „talizman“, jak nazywa matka jego kapelusz. Ale Cylka przeszkadza. Cylka jest bosa, mogłaby wejść do wody i wydostać kapelusz, który nasiąka wilgocią i poczyna tonąć. Dopiero wówczas wskakuje Cylka do wody i przynosi zdobycz. A Sasza musi włożyć ten kapelusz, z którego ścieka woda. Nie pomogą wykręty. Cylka śmieje się, kiedy woda strumieniem ścieka mu za kołnierz. Postawiła na swojem i jest szczęśliwa.

— Niedługo — myśli Sasza — zrobi ze mnie swoją ofiarę. Lecz w duszy sprawia mu radość ta zabawa pełna dziecięcych figlów, która pozwala mu zapomnieć o starych troskach.

Co chwiła Cylka podnosi na niego swe otwarte szerokie oczy, jakgdyby pragnęła dowiedzieć się czegoś nieznanego, a kiedy Sasza poczuje spojrzenie tych świetlistych, jasnych źrenic, zdaje mu się, że słońce weszło nad lasem i chce mu się śpiewać i radować.

Nagle słychać odgłos wielu kroków ludzkich. Oboje dostrzegają zdaleka całą gromadę chłopów z piłami i toporami. Idą boso, lub mają łapcie na nogach.

Sasza przygląda się im z ciekawością, a Cylka mu objaśnia.

— To są drwale. Idą teraz do lasu na robotę.

W tej chwili Sasza pragnie, aby ojciec porzucił swój handel drzewem i aby lasów więcej nie wycinać. W lesie jest dobrze. Tylko w lesie mogą wyrastać takie Cylki. Gdzie można

tak rozkosznie czas spędzać — jeśli nie w lesie? A Cylka znów przerywa mu bieg myśli:

— Ojciec mówi, że i nasz las sprzeda się na wyrąb. Ale mnie wprost wierzyć się nie chce.

— Wierzyć się nie chce — potwierdza Sasza — co stanie się z wszystkiemi wiewiórkami i gdzie podzieje się Cylka.

Ledwo usłyszała, że mowa o wiewiórkach, już podskoczyła w stronę drzewa i zwinnie, lekko wspina się w górę. Do połowy drzewa doszła i nagle lekko zeskoczyła ze śmiechem...

Sasza stał oczarowany jej zwinnością i zręcznością. A jej oczy śmiały się ku niemu figlarnie i szelmowsko. Nie może ustać na jednem miejscu: ucieka, a Sasza biegnie za nią. I tak zawsze: zdaje się, że przyszła na świat poto, aby uciekać, aby ją kto schwytać pragnął, aby kusić kogoś.

Trwa gonitwa. Ona jest zręczniejsza, on prędko się męczy.

— Wstyd ci Sasza, wstyd!

Nagle uświadamia sobie Sasza, że z każdym dniem zmienia się coraz bardziej i mniej jest podobny do Saszy dawnego.

Często przemyśliwał, że jest wszak poważnym mężczyzną, może nadto poważnym, sceptykiem nieuleczonym i nagle — ta przygoda o zacięciu prawie chłopięcem.

Uganiać się w lesie za bosą dziewczyną, za córką podwładnego jego ojca? Uganiać się straciwszy głowę... Co to jest? Co się z nim stało?

Dobrze mu tu i spokojnie — niby u matki, u przyjaciela. Każde jego słowo płynie z duszy pełnej spokoju i wesela. Oto kładzie się na mchu leśnym. Patrzy na strumyk i na gałęzie sosen, przygląda się Cylce. Mówi i milczy i tak mu dziś błogo na sercu. A Cylka przerywa ciszę:

— Ciotka Necha śmieje się ze mnie. Mówi, że brak ci w mieście dziewcząt ładniejszych odemnie — mówi, że nigdy ze mną się nie ożenisz

Tak, ożenić się. Skąd do niej myśl taka. Do niej?

Przypomniał sobie, że dnia pewnego oświadczył jej, iż z nikim się nie liczy, niczyjego zakazu nie posłucha, gdyby się chciał z nią ożenić.

Ale już dawno zapomniał o tej rozmowie i nie pragnie wywołać jej wspomnienia.

— Nie Cylko, niema piękniejszej od ciebie, ty, ty. — —

Nie znajduje słów i Cylka mu pomaga. Znów wybucha śmiechem.

Ciotka Necha tymczasem ukazuje się na progu domu, spogląda na młodych z nieufnością, nie w smak jej wizyty Saszy.

Cylka jest wszak sierotą i należy na nią zwracać uwagę. Ciotka burknęła coś pod nosem i zniknęła w sionce.

— Zła czegoś cioteczka — rzekł Sasza.

— Zawsze jest dobra. Ale gdy ciebie zobaczy -- zaraz się zmienia.

Wieczór zapadał. Z lasu została jeno wiel-

ka czarna ściana. Wciąż swoje w kółko gadał strumyk. Opowiadał o wszystkiem, co widział i słyszał za dnia. O wiewiórkach rudych, o lesie wycinanym i o tęsknocie Cylki...

— Zdaje mi się — mówi Cylka, że nigdzie na świecie miejscabym nie zagrzała. Ludzi obcych boję się... A i tu w lesie czasami tak mi smutno. Ojciec nie odezwie się słowem do mnie, ciotka starzeje się, niema z kim pomówić.

Sasza słuchał zwierzeń Cylki, paląc papierosa za papierosem.

— Czegobyś najbardziej pragnęła na świecie? zapytał jej Sasza.

— Sama nie wiem, czegobym chciała. W nocy, kiedy las śpi jest mi smutno, zaś w dzień nie myślę o niczem..,

— Ja chciałbym, abyś się zawsze śmiała, abyś wiecznie nie znała troski i smutku.

Lecz ciotka Necha woła już na wieczerzę. Jasne światła zabłysły z budynku drewnianego. Cylka ze śpiewem pierwsza pobiegła w stronę domu. Sasza pochwycił melodje, ale złe spojrzenie ciotki zmroziło ich odrazu. Nie spała całą noc ciotka, zaś Cylka i Sasza, aż do świtu siedzieli nad strumykiem.

O czem mówili? O czemże raczej nie mówili w te długie godziny nocy?

Sasza mówił więcej od Cylki. Wiedział już jakiego użyć języka, aby go dziewczyna zrozumiała. Czasami wprawdzie unosił się w zbyt od-

ległe dla niej dziedziny: ale właśnie przed Cylką pragnął obnażyć swą duszę: opowiadał o ludziach, o świecie i o przyczynach swego braku ufności we wszystko dobro. Słuchała uważnie i pozwalała mu opowiadać o „czemś innem“. Powoli i potroszku zaczynała rozumieć owo „coś innego“ i stawiała często pytania, z których musiał się śmiać Sasza.

Jedno tylko zdawało się w niej czarującem: Cylka—dziewczyna z lasu, tak blisko żyjąca z naturą, była dotychczas nieuświadomiona.

Nie wiedziała dlaczego pocałunki Saszy są tak gorące, dłaczego ręka jej jest mu tak droga, dlaczego płoną mu oczy na widok jej obnażonego karku.

Nie wie?

A może wie, tylko udaje, kokietuje go nieświadomością.

Nie, ze wszystkich jej pytań i rozmów, Sasza wywnioskował stanowczo, że Cylka jest naiwna i dziecinna, zupełnie jeszcze dziecinna. Przeczuwa wprawdzie jakieś ukryte tajemnice: jej krew dojrzała już, dopomina się o coś, od czego człowiek się rumieni i wstydzi, ale są to tylko przeczucia nieświadome, niezrozumiałe...

Całą noc spędził Sasza z nią nad strumykiem. Cylka wyniosła z domu derkę i położyła ją na trawie. Przypadła do Saszy, tuli się doń z wiernością dziecka milczy, a potem nagle mówi:

— Ojciec już od tygodnia w domu nie nocuje.

Powiedziała to sobie samej, powiedziała to strumykowi, drzewom, ale nie Saszy, który teraz w lesie coraz intensywniej myślał, zagłębiał się w sobie samym. Ta nieprzerywana żadnym dźwiękiem cisza, skłaniała go do tych dumań głębokich. Bił się w myślach ze światem, który od niego czegoś wymagał i ze sobą samym, który jeszcze więcej od świata się spodziewał. Nagle uświadomił sobie, że obok niego, prawie na jego sercu, bije serce drugie.

Cylka śpi, a on, który znał tyle kobiet i tyle przeżył rozstań, spokojnie ochraniał jej sen i tak drogą mu była ta godzina.

A w domu przewracała się z boku na bok w łóżku stara ciotka Necha: syn Lurjów wydał jej się wilkiem, który zamieszkał w lesie. Ale cóż, biedaczka, może na to poradzić.

Nikt, nawet noc nie chce słuchać jej westchnień.

A noc już mija. Szarzeje już pomiędzy drzewami i strumyk wygląda jak długi, świecący się mostek.

Dozorca szosowy Iwan, przyszedł zapytać Saszy, czy prędko będzie wracać do miasta, czy czas zaprzęgnąć konia? I Sasza przypomina sobie, że czeka na niego koń i że musi w dzień być w miasteczku. A Cylka zerwała się ze snu i skoro usłyszy o wyjeździe Saszy—pochmurnieje.

— Nie jedź, Sasza. Dzień wlecze się tak leniwie, kiedy ciebie niema. Nie jedź Sasza — prosi go. A Saszę gniewa, że prośby Cylki nie są

dlań obojętne i że, choć powinien pojechać natychmiast — zwleka i namyśla się.

Ale Sasza znajduje wykręt:

— Jutro popołudniu znów przyjadę i pozostanę tu na kilka dni.

Odprowadza go aż do domku dozorcy szosowego. Jest jeszcze wcześnie, ale w lesie już jasno i pierwsze promienia słońca wraz z leciutkim wietrzykiem wypijają nocną rosę. Las pachnie świeżemi gałązkami, które rozwinęły się podczas nocy. Barwny motylek ukaże się na chwilę i znika.

Niedawno jeszcze Cylka, na widok motyla pobiegłaby za nim aż do głębokiego lasu. A teraz patrzy tylko przed siebie, na linijkę Saszy, uciekającą po białej szosie. Zaś Sasza ogląda się za siebie i śmieje się do Cylki i na pożegnanie macha ręką...

Wraca więc Cylka trochę smutna, trochę wesoła. Las tak serdecznie śpiewa pieśń poranną, tyle jest radosnego światła. Jakże można smucić się o świcie? A przecież pojechał Sasza i trzeba będzie spędzić długie godziny oczekiwania, zaś ciotka Necha będzie ponuro spoglądać na nią a ojciec jeśli wróci, nie odezwie się słowem... Jak można być wesołą?

Wchodzi Cylka do izby. Ciotka poszła po zakupy do Mścibowa. Miedziane patelnie połyskują w słońcu porannem które wpada przez otwarte okno. Łóżka stoją nierozesłane, jakgdyby

tu w nocy nikogo nie było. Kilka leniwych much brzęczy. Ciężko jest Cylce na sercu...

Cicho jest wokół. Tylko strumyk szemrze... A Cylka przypomina sobie, że jeszcze dziś się nie umyła. Schwyciła więc ręcznik i biegnie do wody.

Przedewszystkiem przegląda się długo w zwierciadle wodnym — a kiedy wreszcie napatrzyła się do syta — wyciąga język do swego odbicia. Ten figiel przyprawia ją o dobry humor. Potem opłucze sobie nogi starannie i radaby, aby woda w swym biegu przystaęęła — pragnie porozmawiać, taka jest samotna. Potem odsłania szyję, garściami wody nabierze i pluszcze się, płuszcze, niczem kaczka. Tak pluskającą się ujrzała ciotka Necha, gdy wracała z Mścibowa, i śmiać się pocznie na głos... Ucieszyła się także Cylka: nie widzi złych i gniewnych spojrzeń ciotki — dobrze się więc dzień zapowiada.

Minął dzień i minęła noc na pracy, śpiewie i śnie spędzona.

Cylka oczekiwała przyjazdu Saszy, ciotka cieszyła się, że Sasza nie przyjeżdża. A Sasza wracał tymczasem do lasu, gnał szosą na swej linijce. Zabrał ze sobą książek kilka, pragnął trochę popracować. Cieszyło go, że dotrzymał słowa i wyobrażał już sobie radość Cylki. Myślał, jak dobrze jest, gdy ktoś tęskni za tobą i oczekuje cię. Przed nim ciągnęła się prostą linją szosa, po dwuch stronach otoczona lasem. Koń to jechał galopem, to stępa, Sasza nie poganiał go

wcale. Niema się czego spieszyć.., Ani las, ani Cylka nie uciekną... Jechał więc i rozmyślał o Cylce.

Nagle zdarzyło się coś, o czem nie byłby nigdy pomyślał.

Z lasu wybiegli trzej chłopi, bosi i obdarci, uzbrojeni w kije. Zatrzymali konia i jęli laskami i rękami okładać Saszę. Wszystko to było tak niespodziewane, że Sasza nawet nie zdążył zapytać: dlaczego? Zeskoczył tylko z wòzka, czem ułatwił sytuację napaśnikom.

Prędko i zręcznie, obiwszy go — uciekli chłopi do lasu.

Sasza stał kilka chwil bez pamięci, z głowy i karku ściekała krew, w rękach i nogach czuł ból nieznośny. Postanowił zachować spokój i udało mu się to. Ale nie rozumiał, co właściwie się stało? Może mu się śni? Lecz nie, ból głowy jest zbyt dokuczliwy, a przytem tak mu ciężko na duszy: poraz pierwszy w życiu ktoś odważył się podnieść nań rękę. Zawstydził się więc: zawstydził lasów zielonych, nieba, konia swego, który był obecny przy całej tej scenie...

Ale dlaczego? Dlaczego bili go obcy ludzie?

Nie wyrządził wszak nikomu żadnej krzywdy. W poblizkiej rzeczułce obmył krwawiącą głowę. Cylka ujrzała go już zdaleka. Ucieszyła się, lecz odrazu zamarła z przestrachu, Ujrzała krwawe plamy na jego skroniach..,

— Co ci jest?

Sasza, nadrabiając minę, opowiedział o zdarzeniu na szosie. Ciotka z domu wybiegła i przysłuchiwała się wszystkiemu. Pobiegła do mieszkania po wodę i ręczniki. Przewiązano Saszy głowę.

— Lecz kto i dlaczego?

Cylka pomyślała chwilę i zawołała nagle

— Wiem, to robota Frojki. To Frojka zrobił.

— Kto jest Frojka — nalegał Sasza.

A Cylka jęła opowiadać mu o Mścibowie, o długich wieczorach zimowych, spędzonych na darciu pierzy, o Frojce, o dziewczętach, które całował. Przed oczyma Saszy powstała historja dzieciństwa Cylki.

Nie przestawała mówić, zapominając jakgdyby o obecności Saszy i o jego ranach. I Sasza prawie zapomniał o zdarzeniu na szosie, tak go zajęła żywa opowieść Cylki, która odmalowała mu rok za rokiem swego życia. Przemijały dni i lata, a pomiędzy nimi gdzieś wplątał się gdzieś jakiś Frojka w pięknych butach z cholewami: chłopiec, który całuje wszystkie dziewczyny i upija się z „pristawem". Frojke, przed którym drży cała okolica. I pono Frojke nasłał chłopów na Saszę iżby się z nim policzyli za Cylkę, która nie pozwala się nigdy całować: Cylka powtórzyła te słowa:

— Bo nie pozwalam się całować.

— A dlaczego nie pozwalasz się pocałować, skoro wszystkie dziewczęta przystają na to...

Cylka umilkła i opuściła głowę.

Tegoż wieczoru przyjechał Isar z lasu i pozostał w domu na kilka dni. Nazajutrz przyjechał stary Lurje z kupcami. W lesie roiło się od ludzi z miasta. Ciotka Necha pracowała, Cylka pomagała jej dzielnie.

Sasza czytał wiele i błądził po lesie: przechadzki te przynosiły mu wielką ulgę. Dokuczało mu jedynie wspomnienie razów. które otrzymał na szosie.

Poprostu nie mógł znaleźć sobie miejsca i wreszcie postanowił udać się do Mścibowa. Po drodze usiłował przypomnieć sobie reguły walki francuskiej, której go kiedyś uczył kolega zagranicą:

„Prawą ręką uderzyć przeciwnika, lewą osłaniać siebie„ Uderzać można wszędzie, byle nie wyżej pasa. Jeśli przeciwnik nosi okulary nie wolno mierzyć w twarz... Co to będzie jeśli Frojke nosi okulary.., Nie, to niemożliwe, aby tego rodzaju chłopak nosił szkła. Ludzie noszący szkła, mają krew chłodną...

A zbliżając się do miasteczka myślał Sasza:

— Człowiek od tego ma ręce, aby kiedyś z nich zrobić użytek.

Przybywszy do Mścibowa kazał zawołać Frojka. „Bez szkieł“ pomyślał.

— Jestem Aleksander Lurje — przedstawił się, z Grodna rodem Sasza Lurje. Mój ojciec jest właścicielem okolicznych lasów, teraz właśnie kupił nowy las w Swisłoczu i potrzebni mu ludzie do pracy...

Frojke obrzucił go chytrem spojrzeniem i poszedł naprzód kilka kroków.

— Czego chcecie odemnie?

— Powiedziano mi, że jesteście bez pracy, więc może w lesie...

— Ja, do lasu? — dziwił się Frojka.

A Sasza tymczasem oddalał się z Frojką od domu jego i szedł w stronę poła: taki bowiem miał zamiar: wyzwać go na walkę w szczerem polu.

A na polu...

Sasza przystąpił odrazu do rzeczy:

— Tydzień temu napadli mnie na szosie trzej chłopi i obili mnie... Nikt mnie tu nie zna nikomum nic złego nie uczynił, istnieje jednak podejrzenie, że to wy nasłaliście chłopów...

Frojke zagryzł wargi i milczał. Milczenie Frojki uspokoiło Saszę. Człowiek milczący, napewno żałuje, a to odbiera odwagę odwetu. Więc zbliżył się doń i ujął go za rękę:

— Żałujecie? Ten czyn...

Ale Frojke nagle wyrwał rękę i jął szykować się do walki.

Jedna chwila... I pięści Saszy spadły na ciało chłopca.

Sasza był napastującym, pierwszym i odrazu przewaga była po jego stronie, choć Frojke bronił się z całych sił. Bili się więc po chwili bez pamięci, Sasza niepomny metod, tłukli się nogami i rękoma, gryźli się...

Sasza — rosły, nieco przytęgi młodzieniec — zwyciężał. Leżał całym ciężarem na przeciwniku i czekał, aż ów się podda — chwila nieposłuszeństwa i znów na Frojke spadają ciosy.

Sasza podniósł się z ziemi. Frojke pozostał leżący i pobity.

Po ich bijatyce na polu widać było kawał rozoranej świeżo ziemi. Sasza mówił zły i zdenerwowany:

— Nasłać trzech ludzi z pałkami na bezbronnego, trzech chłopów — to podłość, ale zapłaciłem zato...

Frojke milczał. Całe zdarzenie nastąpiło niespodziewanie, a uderzenia były bolesne. Milczał, jak każdy winowajca, a Sasza wracał powoli z Mścibowa, wracał uspokojony do lasu, gdzie nikomu o zajściu nie opowiedział ani słowa.

Tegoż wieczoru stary Isar wyjechał. Ciotka znów nie mogła usnąć z niepokoju, zaś Sasza i Cylka zapalili w lesie stos i spędzili noc przy ogniu. Potem nadszedł dozorca i gniewał się, bo stos zapalony groził pożarem lasowi.

Lecz, gdy ujrzał przy stosie syna pryncypała, zdjął grzecznie czapkę i przysiadł się koło ognia, snując opowieści o lasach, o polowaniach, o dziedzicach.

Opowiadając zaś, przez noc całą coraz to dorzucał suchych gałęzi do ognia.

V

CYLKA DOWIADUJE SIĘ...

Frojke zamilczał o porażce, sam zaś nie bardzo się przejmował otrzymanemi razami. Zawsze to zbił go panicz. Gdyby na miejscu Saszy znalazł się ktoś inny, kolega lub sąsiad, wtedyby chłopiec nie zapomniał o zemście.

Naogół Frojke zmienił się od pewnego czasu nie do poznania. Spoważniał, uspokoił się, wprawdzie od czasu do czasu nie pogardził kieliszkiem, zato stronił od dziewcząt, dał spokój figlom, zabrał się do pracy. Pomagał ojcu w przepisywaniu papierów i stał się przykładnie posłusznym. Widywano go często, siedzącego samotnie na ławce przed domem. Miał wyraz twarzy skupiony, wygasły papieros w ustach i dumał...

Oto tam, w odległości trzech wiorst od miasteczka leży las Lurjów... Ot tam... Biega boso po lesie w lekkiej sukience...

A młody Lurje, który go zbił niedawno, patrzy na jej nose nogi, na kark odsłonięty. Spędzają we dwójkę dni całe i nikt im nie przeszkodzi... On wszak jest synem bogacza, wykształconym „gościem z zagranicy". Dławiła go wściekłość, pomieszana z bólem. Dumał więc i pali papierosa, wpatrzony w noski swych butów, które utraciły już dawny połysk. Skądże ta obojętność dla całego świata, dla wszystkich dziewcząt?

Zaś dziewczęta z Mścibowa w lot pojęły, że chłopakowi coś w głowie utkwiło, więc najpierw po kątach i za oczami, a potem już bez ogródek wyśmiewano Frojke:

— Frojke, zakochałeś się...

— Dzikuska z Cylki, a jednak woli Grodno od Mścibowa...

Odburknął coś pod nosem i szedł szukać kompanów do gry w karty. Byli to: pisarz gminny i syn piekarza. Latem, grało się w karty na polu, w życie. Praca wre wokoło — a tu w cieniu, kilku próżniaków na grze spędza całe godziny. Frojke wygrywał prawie zawsze, a wracając do domu, pozostawiał towarzyszów za sobą. W kieszeni brzęczą wygrane monety — ale Frojke nie raduje się wcale. Coś go we wnętrzu ssie i pali — tęskni za Cylką.

A Cylka nawet nie spojrzy w jego stronę. W lesie, opodal ich domu — rozbił swe namioty tabor cygański. Dziesięciu mężczyzn i gromada cyganiątek, nago, niby zwierzątka, uganiających się po lesie.

Mieszkają w lesie, pod drzewami. Na ziemi rozciągnięto dwie płachty płócienne. Wozy z końmi wyprzęgniętemi stoją obok, kilka psów, a na wozach miedziane kociołki, kubły, garnczki i jakieś tłomoki, pełne barwnych gałganów.

Jedna z cyganek karmi piersią niemowlę. Odsłoniła zupełnie piersi i w cieniu leśnym ciało jej wydaje się jeszcze ciemniejsze...

Cylka oderwać od niej wzroku nie może. Ogarnia ją dziwna ciekawość. A cyganiątko wciąż z zamkniętemi oczyma ssie i ssie...

Inni cyganie węsząc, błądzą po okolicznych wioskach... Dzieciaki uganiają się po lesie, pluszczą w strumyku i za chwilę, zdaje, wdrapywać poczną się na drzewa, niby wiewiórki...

Cylka raduje się przybyciem cyganów: zawsze to pewne urozmaicenie w samotności, gdyż Sasza nie przyjeżdża od kilku dni.

Dlaczego wyjechał?

Nie rozumie nic, nie może tego pojąć.

Oto przyjeżdża naraz do lasu, mówi do niej łaskawie i odpowiada, choć Cylka nie wszystko rozumie.

A naraz staje się milkliwy, obcy, zupełnie jakgdyby obcy i ucieka daleko do miasta.

Dlaczego?

Czy znudziła go obecność Cylki, czy też w mieście jest ktoś, za kim tęskni?

Cylka teraz po całych dniach nie odstępuje od obozu cygańskiego, choć ciotka uprzedza ją,

że należy od nich trzymać się z dala: pono jedzą tabakę i znają czary.

Obawiano się także kradzieży. Szloma więc otrzymał polecenie pilnego obserwowania cyganów i zamieszkał w domu Isara. W nocy było w lesie jasno od ognisk cygańskich. Gotowali strawę i palili fajki siedząc wokół ogniska. Czarnobrodzi mężczyźni o wijących się włosach porozumiewali się ze sobą swym dziennym, twardo brzmiącym językiem. Często śpiewali chórem tęskne pieśni. Najstarszy z pośród nich, ślepy cygan imieniem Karaho, zwykle intonował śpiewy — zdawało się, że zna dużo strasznych tajemnic.

Cylka podchodziła do obozu blisko, przyglądała się, szeroko otwartemi oczyma bytowaniu cyganów.

Z okolicznych folwarków i z Mścibowa gromadami ściągali chłopcy i dziewczęta — przyjrzeć się widowisku i „powróżyć sobie z kart"

Frojke także był pomiędzy nimi, wkrótce zawarł przyjaźń z całą bandą, pił z nimi wódkę i grał w karty. Pewnego razu puścił się w taniec z młodą cyganką. Nosiła długą, aż ziemi sięgającą spódnicę kwiecistą — i na szyji kilka sznurów korali. Miała okrągły owal twarzy i oczy zielone, jak dwa niedojrzałe leśne jabłuszka. Szyja jej lśniła się czernią, jakby wysmarowana smołą. Pewnego dnia objęła wpół chłopaka ze Mścibowa i uciekając z nim w głąb lasu wołała coś po swojemu do cyganów, na co odpowiadali jej głośnym śmiechem. W tej chwili nadeszła

właśnie Cylka. Coś ją ciągnęło w stronę roztańczonej pary, przez jedną chwilę zazdrościła młodej cygance. Jeszcze jeden taniec, drugi, i Frojke z dziewczyną znikli w głębi lasu. Nikogo naturalnie nie obeszło to, co stało się z nimi. A serce Cylki jęło łomotać ze wzruszenia i niepokonanej ciekawości. Coraz to wzrokiem szukała w głębi lasu, ale nic nie udało jej się ujrzeć.

Działo się to akurat przed wieczorem, a gdy noc zapadła Frojke z cyganką jeszcze z lasu nie powrócili.

Cylka nie mogła sobie miejsca znaleźć. Ciągle myślą wracała do Frojka i do cyganki. Czemu za nim przepadają wszystkie dziewczęta w okolicy i każda z nich pozwoli się pocałować, czemu ona zaś stroni od chłopca?

Niespokojnie spędziła noc. Zrywała się z łóżka, biegła do okna. Widziała dozorcę szosowego, jak końcem buta gasił żużle, pozostałe po ognisku — klął pod nosem i mruczał coś. Nazajutrz znów przyszedł Frojke do lasu. Kręcił się wciąż koło domu Isara, a kiedy ujrzał Cylkę — udał, że znalazł się tu przypadkowo.

— Czemu nie przychodzisz do Mścibowa?— zapytał.

A Cylka wpadła w złość:

— Idź-że, idź do twojej cyganki — a sama pobiegła szukać ciotki.

Frojke stał chwilę zamyślony, a potem gwizdnął, gwizdnął zwycięsko...

Ha, ha, ha. Więc gniewa się — dobry znak
I zbliżył się do obozu cyganów.

Było już popołudniu. Cylka stęskniła się za Saszą i niepokoiła obecnością Frojki. Ojciec przyjechał dziś na kilka godzin i zaraz znów udał się do lasu. Ciotka nie opuszczała domu w obawie przed cyganami. Cylce jest dziś dziwnie ciężko na sercu i postanawia udać się do pobliskiej wioski.

Lato miało się ku końcowi. W lesie przybyło wielu nowych śpiewaków, młode głosy podrastających ptaków, brzmiały zupełnie inaczej, niż trele starszych. Słychać było tony i półtony, nadchodziły minuty i sekundy śpiewające, chwile radości i smutku. Nawoływania, przekorne odpowiedzi rozbrzmiewały wokoło.

Cylka szła do Prudna. Już przeszła szosę, spojrzała — na lewo i na prawo — na jej dwie wstęgi ciągnące się w nieskończoność i weszła do lasu. Nagle, w gęstwie krzewów, dostrzegła parę bosych nóg i obok, parę nóg w butach. To Frojke i cyganka.

Leżeli tuż obok siebie. Włosy cyganki były w nieładzie, zielone oczy jej zatrzymały się na Cylce z nieukrywaną wściekłością. Frojke jął pogwizdywać piosenkę.

Czarna bluza rozchełstana na piersiach, a z pod niej wygląda obrośnięte włosami ciało. Zauważył, że Cylka zboczyła gwałtownie z drogi, prawie uciekając. Wstał i pogonił za nią.

— Cylka — wołał. Przystanęła.

— Czego?

Wydawało jej się, że Frojke jest pijany i przygotowała się do obrony. Miała silne ramiona, dzikuska, niechaj Frojke tylko sprobuje ją zaczepić.

— Czego chcesz? — zapytała po raz drugi i sama zdumiała się: czekała odpowiedzi, chciała usłyszeć, co jej powie.

A Frojke chciałby w jednym krzyku wyrazić wszystko, powiedzieć o swojej tęsknocie, i to, że życie bez Cylki jest dlań niczem. Niechby słowo wyrzekła, a plunie na cygankę, na wszystkie kobiety... Lecz zamiast płomiennego wyznania z ust mu się tylko wyrwało:

— On cię tylko unieszczęśliwi, głowę ci zawróci — ten Lurje...

W tej chwili cyganka zerwała się z ziemi, podbiegła ku chłopcu i objąwszy go wpół — pociągnęła za sobą...

Zaś Cylka poszła naprzód i dopiero po chwili obejrzała się za siebie: cyganka oplotła ramionami szyję chłopca, a on po chwili przytulił ją do siebie i całowali się..

Szła przez las, chciała tylko myśleć o Saszy. Jutro lub pojutrze przyjedzie i pozostanie dni kilka, wtedy... Ale w tej chwili poczuła znów na sobie spojrzenie dwojga par oczu. Oczy cyganki i Frojka. Oczy chłopca... „On cię tylko unieszczęśliwi — ten Lurje“ Dlaczego jej to powiedział?

Myśli te chce precz odgonić, lecz znów zda-

je jej się, że widzi dwie postaci, oplecione ramionami.

Serce bije jej niespokojnie.

A oto już przybyła do Prudna.

Od czasu do czasu odwiedzała Cylka folwark. Córki pachciarza były jej przyjaciółkami. Dwie wysokie, dobrze zbudowane dziewczyny miały wyraz twarzy prostacki i głupi. Wyglądały o wiele starzej, niż były niemi w istocie, zawsze trochę zaspane, niemrawe, nieporządne. Od rana do nocy pracowały, ale praca szła niesporo. Zaś Cylka, odwiedzająca „zaspane dziewuchy“ jak nazywano w okolicy córki pachciarza — przychodziła tu gnana tęsknotą za ludźmi. Od czasu do czasu przydarzały jej się takie nastroje: za wszelką cenę uciec do ludzi, słyszeć obce głosy, gwar i śmiech. Nic to, że kochała głęboką ciszę lasu, z którą jakgdyby się zrosła — potrzeba wewnętrzna gnała ją do osiedli ludzkich. Zimą lubiła spędzać wieczory w Mścibowie, gdzie darto pierze — latem udawała się do Prudna.

Pachciarz mieszkał w dużej, jasnej izbie. Wszystkie okna latem bywały pootwierane i istne chmary much obsiadały każdy kęs pożywienia. Na wybielonych ścianach wisiały wizerunki krewnych z Ameryki i dwa woreczki, mieszczące „tefilim“. Rzadko kto w izbie przebywał. Drzwi i okna nigdy nie pozamykane. Cała rodzina zajęta jest pracą: ojciec i syn pojechali do miasta, córki i matka zmywają blaszki od mleka—zawsze zajęte i zatroskane. Nieco dalej, stał dom o malowanych

okienicach i grzymsikach nad oknami. Tu mieszkał dzierżawca majątku, chrześcijanin, surowy mężczyzna z wąsami podkręconemi w górę i małemi oczkami. Towarzyszyły mu zawsze dwa wielkie psiska i pełno było jego donośnego, gniewliwego głosu na dworze. Obok leżał sad, w sadzie ogrodnik z rodziną. Miała się też czemu nasłuchać i napatrzeć Cylka! Nic dziwnego, że często zjawiała się na folwarku. „Zaspane dziewczyny“ ożywiały się trochę i z roześmianą Cylką rozpoczynały zabawę. Opowiadano sobie wzajemnie plotki, mówiono o dużem mieście — Grodnie. Wychodziły na spacer — szły miedzami wąskiemi wśród łanów żyta, wokół których czerniły się mniejsze i większe lasy — rzekłbyś ciemne okręty na falującem, złotem morzu zboża.

Po drodze spotyka się chłopaków wiejskich, którzy bez zaczepki nie przepuszczą trzech przyjaciółek.

A pewnego razu — było to na początku lata — Cylka pamięta dokładnie: jedna z córek pachciarza, pozostawiwszy towarzyszki za sobą, ukryła się w łanie zboża. Cylka słyszała, jak w chwilę potem, dochodził stamtąd śmiech — drgnęła i o nic nie zapytała drugiej siostry. Bowiem nie mogła zrozumieć tego, co rozumiała w przeczuciu. Tkwiła w tem wielka tajemnica, której ogarnąć nie była w stanie.

Dlaczego Frojke całuje wszystkie dziewczęta? Czemu dziewczęta wstydzą się gdy są całowane?

Albo te wiejskie chłopaki spotykane w polu...

Jakiemi oczyma oglądają obnażone nogi spacerujących dziewcząt... A ona sama, gdy usłyszy śmiech przyjaciółki, dochodzący ze zboża — zapłoni się, zadrży, zakipi w niej krew. Kroczy po ziemi nagrzanej od słońca w towarzystwie drugiej „zaspanej dziewczyny", która schyla się, uszczknie w zbożu kwiatek i nie powie nic... Milczą młode kobiety, wstydzą się jedna drugiej słysząc śmiech, ukrytego w zbożu chłopca i dziewczyny.

Oto już Cylka na folwarku. Podchodzi do domu pachciarza i dochodzą ją z izby krzyki i przekleństwa. Podbiega do okna i widzi, jak pachciarz i jego żona biją dziewczynę, tę właśnie która wówczas ukryła się w zbożu z chłopcem. Suknie na niej podarte, ciało pokrwawione, włosy roztrzepane. Patrzała wciąż przed siebie, tępem spojrzeniem, jakgdyby się ze snu nie zbudziła. A ojciec, matka i bracia bili ją naprzemian i złorzeczyli.

— Bękarta nam przyniesie, bękarta!

Druga córka skryła się za węgłem. Cylka podeszła do niej.

— Dlaczego biją siostrę?

— Dlaczego? Nie rozumiesz? Będzie miała bachora...

— Będzie miała dziecko... dziecko? Dlatego biją? A jeśli ja urodzę dziecko — to mnie też bić będą?

— Głuptasie — gniewała się „zaspana dziewczyna".

— Ale powiedz mi, dlaczego ją biją?

— Bo to będzie bękart... Pamiętasz na początku lata, kiedy ukrywała się w zbożu z chłopem... Pamiętasz jak się śmiała?

Cylka pamięta wszystko, ale nadal nic nie rozumie. A z izby dochodziły krzyki i lamenty. Cylka traciła panowanie nad sobą.

Do lasu, wrócić czemprędzej do lasu! Drzewa i cienie drzew. Chce ukryć się w cieniu drzew. Zmierzch już zapada, niedługo nastanie wieczór, ale Cylka zna dobrze drogę do swego domu, pamięta każdą ścieżynkę, poznaje każdy krzaczek. Tylko droga ku ludziom, ciemne szlaki ich namiętności i krzywd — są jej nieznane. Serce jej było pełne dziwnych, męczących zagadek.

Lecz kogo zapytać o rozwiązanie, z kim wdać się w rozmowę?

Ciotka wysłucha wszystkiego do końca i miast odpowiedzi strofować pocznie Cylkę, że niema jej nigdy w domu. Lecz teraz — w godziny zmierzchu i wieczoru — Cylka nie da spokoju ciotce. Dlaczego i dlaczego?

Dlaczego bili córkę pachciarza?

Co to znaczy bękart?

Ciotka Necha smutnie głową kiwa:

— Ten pachciarz i córki... Żyją zdala od żydów, w otoczeniu chłopów i sami stali się jak chłopi, jak dzikie bestje...

— Ale cioteczko, czemu zawiniła córka pachciarza?

Ciotka Necha wykręca się jak może, zmienia temat rozmowy i czułym wzrokiem ogarnia Cylkę. Jej uśmiech starczy zmienia się, odmłodniał i patrzcie... jakgdyby dziewczęcy rumieniec wykwitł na twarzy ciotczynej:

— Mówią o tobie Cylko, żeś dzikuska, że o niczem jeszcze nie wiesz... prawda to, prawda...

— Czego nie wiem?

To, o czem wszystkie dziewczęta w twoim wieku już wiedzą...

— O czem wiedzą, cioteczko...

Był już wieczór, choć niebo nosiło na sobie jeszcze odblask zachodu — który zimnem płomieniem zapalił miedziane miednice na ścianach izby.

Polne koniki rozpoczęły już swe wieczorne cykanie — jakgdyby mali dobosze, uderzali w malutkie bębny.

Ciotka Necha owego wieczoru opowiadała Cylce o swojej młodości i o swym ślubie.

Z biciem serca — z cichą pobożnością, zwierzała Cylce to, „o czem wiedzą już wszystkie dziewczęta w jej wieku". Cylka przytuliła się do niej i oczy zamknąwszy, słuchała opowiadań ciotki. Zupełnie, jakgdyby stary las ożył i opowiada jej tajemnicę swego życia... Czy nie znała jej? Nie, zdawało się, że dawno już o tem wie, tylko nie rozumie, czuje, a pojąć nie może. Szczęście, że w izbie ciemno i ciotka nie widzi rumieńców na twarzy Cylki.

A ciotka westchnie coraz to — westchnie-

niem które znaczy:

— Dziecinko droga! Lata mijają, lata płyną, z Cylek wyrastają matki. a z matek — babki. Lata mijają...

I dłonią gładzi jej włosy mokre i pachnące od wieczornej, leśnej rosy i myśli i przypomina swą młodość...

Ciotka poszła ogień rozpalić, zaś Cylka wymknęła się z izby, na ganku stanęła i patrzala w ciemną głąb lasu. Cyganie siedzieli wokół płonącego ogniska.. lecz Cylkę teraz nic do nich nie ciągnęło.

— A więc tak... — powtarza sobie kilka razy... Wszak o wszystkiem wiedziałam i ciałem jej wstrząsa dreszcz. — A jednak nie wiedziałam — duma dalej i w pamięci jej powstają obrazy przeszłości. Dziewczęta z Mścibowa nieraz posługiwały się słowami dziwnemi, niezrozumiałemi, przekonane, że Cylka pojmuje ich znaczenie, wybuchaly coraz to śmiechem, a i Cylka wtórowała im chichotem, nie znając przyczyny jego. Dlatego to „zaspana dziewczyna" ukryła się w zbożu! Dlatego Frojke i cyganka dziś w lesie... I to, że Sasza całuje ją często w usta, w szyję w odsłonięte ramię... Ah, niechaj przyjedzie tylko, będzie go całować, będzie go także całować..

A nagle przestraszyła się własnej myśli: — A może nie wolno?

I pełna słodkiego niepokoju, udaje się na spoczynek.

We śnie zdaje jej się, że ucieka przed kimś

i chowa się w zbożu. Pragnie jednak być schwytaną — to Frojke ją goni i w butach z wysokiemi cholewami i w czarnej koszuli. Ucieka więc i śmieje się, śmieje...

Nikt nie widział, jak we śnie ucieka, ale śmiech jej był tak głośny, że ciotka pełna niepokoju, zbliżyła się do jej łóżka.

— Cylko, co ci to? Czego się śmiejesz?

Zrywa się Cylka ze snu i pocznie złorzeczyć Frojce.

— Skąd Frojka? Jaki Frojka? — pyta ciotka i spluwa trzykrotnie, i mruczy coś pod nosem, żeby zły urok odegnać.

Zasypiają. Na ganku drzemie Szulim, pilnując domu przed cyganami. Las śpi, pogrążony we śnie cały świat, tylko wiaterek od czasu do czasu obudzi senne igliwie sosen, zakołyszą się gałązki, pocałują i usną.

Wielka cisza objęła wokół całą przestrzeń i jeśli usłyszysz czyjeś westchnienie — to chyba cisza sama westchnie.

Wczesnym rankiem zbudziła się Cylka. Zerwała się z pościeli, spojrzała na ciotkę starą, na twarz jej pooraną zmarszczkami i serce jej po brzegi było z litości.

— Starej ciotki nikt całować nie będzie, nikt jej nie pokocha, skończyła już ze wszystkiem...

Ostrożnie wykradła się z pokoju na ganek. Nikogo już tam nie zastała, Szulim poszedł do swej pracy...

Więc szukała oczyma małych cyganiątek,

które codzień o tej porze już gwarem i krzykiem las napełniały. Nikogo niema. Pusto. Wyszła do lasu, spojrzała na lewo na prawo... Pusto. Nikogo niema. Tam, gdzie wczoraj jeszcze obozowali cyganie — pusta przestrzeń i nieco żużli. Poniewierały się główki pozarzynanych kur, sznurki, jakieś szmaty ... Nic więcej.

Posmutniała na chwilę Cylka — wszystko, co odchodzi i znika z przed oczu, wszystko, co było wczoraj, a dzisiaj już przeszło — budzi w niej dziwną tęsknotę.

Niema już cyganów — posmutniał las. Pozostały stare ścieżki znane, monotonna zieleń igieł i strumyk...

— O czem myślisz, Cylko?

Ani jedno drzewo, ani ptaszek nie zapytał Cylki o czem marzy i za czem tęskni, więc czemu zawstydziła się dzikuska? Czemu nie śmie spojrzeć ciotce w oczy?

Dziwne tajemnice zwierzała wczoraj ciotka stara...

Zdaje jej się, że to nie wczoraj, a dawno już, dawno, miała miejsce owa godzina zwierzeń — tylko że teraz przyszło... przypomnienie.

— Cylko — —

To ciotka woła, woła do pracy, ojciec dziś przyjeżdża.

Pracują obie milcząc, sprzątają skrzętnie, łóżka są już pościelone — na łóżkach poduszki się aż piętrzą. Po śniadaniu ciotka weźmie ko-

szyk i pójdzie do Mścibowa po zakupy. Przed wyjściem z domu, doprowadzi do porządku swoją fryzurę i powie kilka słów ciepłych Cylce.

A kiedy ciotka opuściła pokój, z oczu Cylki polały się łzy. Bez żadnej przyczyny, bez bólu, płacze żałosnie i zaraz na sercu jej lżej, gdy się wypłakała. Sama teraz jest Cylka, samiutka w wielkim leśie. Okna są otwarte i zieleń gałęzi i złoto pni — są tuż obok — jakgdyby w samej izbie.

Usiadła Cylka przy oknie i przygląda się krówkom, które wypuściła na dwór, drzewom, które wyżej rośnie. A potem, gdy błogość ciszy ogarnie Cylkę, uśmiechnie się w sobie i uśmiech przeniesie na twarzyczkę, na usta, na oczy... Uśmiecha się do lasu i drzew i słońca. I kończy krótkiem a donośnem! „Cha, cha, cha".

Dlaczego? Z jednej przyczyny śmieje się Cyłka? Nie wie o tem las i nie pyta.

Tymczasem słońce już weszło wysoko. Las tonie już w morzu słońca i śpiewy ptaszęce brzmią donośniej. Promienie i trele pomieszały się ze sobą i srebrzyście dzwoni każdy ton. Idzie słońce w gąszcza leśne, pomiędzy cienie, rozkłada się na drzewach i ciepły wiaterek dmie w najmniej dostępnych kącikach lasu.

Długo siedziała przy oknie zadumana Cylka. Dziw jej, że Saszy wciąż niema. Sasza... cóż za człowiek z niego — dobry czy zły, i czy prawda, że jak powiedział kiedyś — ożeni się z Cylką, gdy ona tego zapragnie? Powiedział to wpraw-

dzie raz jeden — Ale Cylka nie zapomni tego. A jeśli zechce i jeśli weźmie ją za żonę — jak że wówczas to będzie: czy będą mieszkać w lesie czy w Grodnie? Chyba, że w Grodnie. Sasza tu nie wytrzyma. A w Grodnie — jak jej będzie? Tyle obcych ludzi, tyle dużych domów i ulic.

Zagłębia się w swoje myśli, a nagle przed oczyma, jak żywo widzi Frojke i cygankę, podczas tańca, jak to coraz dalej od ludzi uciekają...

Nie, niema już w lesie cyganów.

„Urjadnik" wraz z kilkoma włościanami podchodzą do domku Isara i wypytuje Cylkę:

— Kiedy wyjechali cyganie? Jak długo tu byli i czy czego nie ukradli? Bowiem po wsiach okolicznych i folwarkach uczynili istne spustoszenie.

Necha powróciła z Mścibowa dziś wyjątkowo późno. Opowiada, że Baraszowie zaprosili ją do siebie i długo z nią rozmawiali. Właśnie o Cylce tylko mówiono. Że niby, taka dziewczyna dorosła to i o ożenku czas pomyśleć, a i u nich syn też dorósł...

Wprawdzie jeszcze to dziś chłopak swawolny i pusty, ale poprawi się, spoważnieje, sam przyrzekał. Już kilka razy zaczepiał chłopak ciotkę, a ciotka nawet i ojcu coś napomknęła lecz ten odburknął: — Co? Ten bezbożnik? Nigdy mu córki nie dam.

A Cylka stoi pośrodku izby i przeciąga się leniwie, jak gdyby była zaspana i do ciotki rzecze:

— Daj mi spokój z weselem, daj pokój z

Frojką — czy mało mu było cyganki.

— Jakiej cyganki? Skąd cyganki? — wypytuje ciotka.

A Cylka opowiada wszystko, co widziała wczoraj w lesie, o spotkaniu z chłopcem i cyganką.

Nagle zdaleka dochodzi tętent koński — i ciotka woła:

— Oto i ojciec...

Ale Cylka poznaje, że to jedzie Sasza.

— Nie, to Sasza.

I już wybiegła na dwór i jej śmiech radosny rozbrzmiewa już po lesie.

— Jak się ucieszyła, jeszcze nie daj Boże będzie nieszczęście — mruczy do siebie ciotka.

A Sasza naprzynosił cukierków, czekoladek i książek. Postawili paczki na ziemi i sami puścili się pędem w stronę chatki dozorcy szosowego: trzeba mu powiedzieć: żeby zajął się koniem. Wracali, trzymając się za ręce. Cylka opowiadała o spotkaniu z cyganką, o „dziewczynie zaspanej“ z Prudna. Lecz ukryła starannie rozmowę swą z ciotką i nic nie powiedziała o swoich sennych widziadłach. Lecz nagle, wśród rozmowy znowu długi i serdeczny śmiech.

Czego się śmiejesz? — pyta Sasza.

— Przypominam sobie...

— Co takiego?

— Że z dziewcząt będą matki, a z matek babki...

— Nie rozumiem. Co ty pleciesz? — rozpytywał Sasza z ciekawością.

Nie odpowiadając na pytania, skoczyła ku Saszy, chciała go pocałować, lecz zamiast pocałunku — wpiła się zębami w jego szyję.

Stłumił w sobie okrzyk bólu, czy radości.

A Cylka uciekała już przed siebie, gonił ją Sasza, gonił i myślał:

— Oto las, las się budzi...

Biegła naprzód, a bose nogi ślepiły białością na tle zielonem lasu.

Daleko już uciekła i zdala drażniła Saszę:

— A jednak nie dogoniłeś mnie.

Sasza nie gonił jej więcej. Stał i przyglądał się Cylce zdaleka. Rozkwitła i wypiękniała w przeciągu ostatniego lata. Złoto włosów nieco pociemniało i pociemniał błękit oczu. Oczy jej stały się badawcze... Te oczy, które zmieniały kolor, zależnie od światła, przechodząc gamę odcieni od szarych do błękitnych. A Cylka stanęła naprzeciw niego i jakimś dziwnym, innym spojrzeniem go objęła, nie chcąc za nic zbliżyć się.

— Cóż to, po raz pierwszy mnie widzisz, Cylko?

— Często przychodzi mi na myśl pytanie: czego szukasz tu w lesie, Sasza. Skąd przyszedłeś? Do kogo? I jak długo jeszcze będziesz przychodził?

— Co też ci na myśl przychodzi, dziecino. Nie trzeba myśleć, tak jak las nie myśli.

— I las myśli często, czy nie wiesz, że las wzdycha...

Może inni o tem nie wiedzą, ale ja słyszę często... Zdaje mi się, że chciałby las wypowiedzieć jakąś tęsknotę, która go dławi i wyciąga jak ramiona drzew do kogoś nieznanego...

Sasza skorzystał z tego, że Cylka rozgadała się — niepostrzeżenie zbliżył się do niej, objął wpół i pocałował. Po raz pierwszy poczuł Sasza, że znalazł oddźwięk: Cylka drgnęła i przylgnęła do niego. Czuł oddech jej gorący i przyspieszony na twarzy, a oczy — płonące, wielkie patrzyły nań z niemym pytaniem i jakimś błyskiem drapieżnym małego leśnego zwierzątka.

Usłyszała kaszel dozorcy szosowego:

— Iwan!

Przystanął i wysłuchał rozkazu: trzeba wyprząc konia i nakarmić.

A Sasza z Cylką szli dalej przed siebie Opowiadał jej nowiny z miasta. Cała rodzina wyjechała zagranicę, w domu pozostała stara służąca. Sasza zamierza tu pozostać do końca lata.

Po powrocie do domu zastali ojca Cylki przy posiłku. Ucieszyła się Cylka z powrotu ojca. A stary — wyjątkowo dziś ożywiony — odezwał się w te słowa, które przerażeniem napełniły dziewczynę:

— Czy wiecie — zawsze używał tej formy „wy“ — wiecie żeśmy las sprzedali. „My“ to znaczyło firma Lurje. Sprzedaliśmy las i niedłu-

go przystąpi się do wyrąbywania.

Cylka, on i ciotka przeniosą się do Świsłocza, gdzie stary Lurje ma inne lasy. Opuszczą znane drzewa, strumyk, Mścibowo, porzucą wszystko, co ukochali.

Sasza stał przy drzwiach onieśmielony obecnością ojca. Cylka opuściła głowę zasmucona nowiną. Litość wezbrała sercem Saszy:

— Reb Isar, gdybyście poprosili ojca — nie pozwoliłby lasu wyrąbać — odezwał się Sasza.

— Las już sprzedany, już zapóźno, — odparł z lekkim uśmiechem stary Isar. Zdziwiło go to, że Sasza zainteresował się lasami swego ojca. Potem podszedł Isar do półki, zdjął książkę i zagłębił się w jej czytaniu: zdawało się, że zapomniał o córce, o swym pryncypale, który bawi zagranicą, o synu tego pryncypała — próżniaka, który tak często przyjeżdża do lasu — do kogo i poco?

Milczenie ojca nie zaniepokoiło Cylki. Wraz z Saszą wyszła z izby, zaś ciotka już nad strumykiem zmywała garnki.

Podczas wspólnej przechadzki, uśmiech znów pojawił się na twarzy Cylki.

— Czego się uśmiechasz?

— Nic ważnego — i wybuchła głośnym śmiechem. I Sasza nie wie już, co pomyśleć, gdy przywarłszy do niego całym ciałem, nagle całuje go mocno i gorąco. Lecz naraz przypomnieli sobie oboje, że w domu siedzi milczący ojciec.

Wracają powoli do domu. Lecz ojciec wyjechał, już wyjechał...

— Czy zły był? — pyta zaniepokojona Cylka ciotki.

— Kiedy nie jest zły? — odpowiada ciotka Wyjechał do Swisłocza na kilka tygodni.

Cylka zerknie na ścianę: niema „tefilim“, a to znak najpewniejszy, że ojciec na długo wyjechał. Właściwie sprawia jej ta wiadomość zadowolenie, a Sasza zaczyna naraz śpiewać. Przypomniał sobie nagle góralską piosenkę. Cylka powtarza za nim melodję, a ciotce wypadły z ręki wymyte garnki.

VI

U SCHYŁKU LATA...

W Mścibowie nie przestawano rozpowiadać plotek o młodym Lurje.

— A jeśli się jest synem bogacza, to czy na wszystko można sobie pozwolić?

— Zamieszkał w lesie i napastuje bezbronną dziewczynę...

— Napewno nic dobrego z tego nie wyjdzie...

— Szkoda starego Isara, przeciez to jedynaczka.

— Sam sobie winien. Dlaczego wyjechał do Swisłocza, pozostawiając córkę bez opieki?

A kiedy ciotka Necha zjawiła się w Mścibowie dla poczynienia zakupów, zawsze otaczała ją gromada kumoszek:

— Co słychać w lesie? Czy on zawsze jeszcze tam mieszka? Tak — a Cyłka? Czy aby to się źle nie skończy?

Ciotka Necha przejrzała: zdawało się, że dopiero ludzie naprowadzili ją na myśl bliskiego niebezpieczeństwa. I spieszyła do domu, pozostawiając pytania bez odpowiedzi.

Dziewczęta towarzyszyły jej aż do lasu.

— Stara wie wszystko, tylko nie chce nic powiedzieć — czarownica.

W całym miasteczku najpierw szeptem, a potem głośno opowiadano sobie, że pomiędzy Cylką a młodym Lurje zaszły już stosunki daleko.

A Frojke nadstawiał uszy, chciwie chwytał plotki i ogarniała go bezsilna wściekłość.

Gdyby nie Lurje — nie uciekała by przed nim Cylka, nie odpychała by go z taką stanowczością. Że też pozwolił się uprzedzić i przedtem nie przypuścił ataku, choć znał Cylkę tak dawno. Była dlań, jak każda inna dziewczyna, może nieco bardziej dzika i bardziej zadumana. A teraz wyrosła na taką piękność, że nawet młody Lurje, który chyba jest dość wybredny — nie może się od niej oderwać.

A w lesie...

Las postarzał się, umilkł. Dzień mija i czarny płaszcz nocy znaczony złotemi punkcikami opada na drzewa i wówczas głosy leśne przycichają... A potem czarność zastąpi szarzenie nadchodzącego świtu, kiedy drzew, kontury rysują się wyraźnie. Wreszcie oddziela się jedne drzewo od drugiego, syte pieszczot nocnych i powraca na swoje wczorajsze miejsce. Stoi tu na posterunku, niby żołnierz wyprostowane, zbrojne w

karabin cienia. Milczą drzewa, lecz wiewiórki i ptaki, przerywają ciszę. Ostatnie motyle lata, napół przytomne o świcie, latają pomiędzy drzewami. Przez dzień cały grzeje słońce i nie znajdując miejsca zacienionego, wyciąga z ziemi ostatnie trawki — jak na wiosnę. Lecz tu i owdzie gniazdo już opustoszało i spada na ziemię pozostawione piórko, zeschnięta skorupka rozbitego jajeczka, a babie lato zawisło w powietrzu, póki nie przerwie nici powiew wiatru i poniesie je w inną stronę.

Noc odchodzi, lecz w lesie pozostaje dużo z jej milczenia. Z każdym dniem milczenie to staje się bardziej poważne i głębokie. Nagle, w pewnej chwili, jakiś ptak urwie w połowie trylu. Koniki polne przycichły. Tylko wiewiórka, nie zna umiaru i jej koci pisk brzmi w samotności donośniej i bardziej dziko. Już kilka tygodni spędził Sasza w lesie i nie chce ani nie może go opuścić. Stało się. Dawno już przeczuwał, że lasu nie będzie mógł opuścić. Mocnemi, gałęzistemi ramionami objęło go życie i przykuło. Cylka należy do niego...

Przychodziły momenty niezłomnej świadomości, że musi stąd uciec. Lecz w tej samej chwili czuł, że postanowienie przewyższa jego siły, że poto, aby dalej żyć, musi mieć Cylkę.

A ona biegła mu naprzeciw, nie opuszczała go ani przez chwilę.

Ustami szukała jego ust, ramiona jej wyciągały się doń z tęsknotą. Nie mówiła wiele, nie

znała mocy słów, tylko jej oczy coraz głębiej i głębiej zaglądały do jego źrenic. Całowała go, milczała i czasami śmiała się tylko, jakgdyby drażniąc Saszę...

A razu pewnego zapytała:

— Czemu nie całujesz mnie tak, jak Frojke całował cygankę?

— Frojke? Cyganka? — nie rozumiał Sasza.

Więc opowiedziała mu scenę, jakiej była świadkiem w lesie.

Zamyślił się Sasza głęboko, lecz nie pozwalała mu długo dumać. Czasami lęk go ogarniał, gdy mawiała:

— Nie odejdziesz już stąd nigdy, będziemy razem mieszkać w lesie.

— Przecież łas niedługo wyrąbią — Cylko!

— Będziemy mieszkać w lesie świsłockim.

— Tak sądzisz?

— Tak, tak, tak. A każdemu „tak" towarzyszy całus. Sasza patrzy i rozumie, co dzieje się w jej sercu: oto zbudziło się życie młode, zapłonął ogień. ukryty ogień zapłonął, coraz bardziej rozszerzać będzie. Dumał, dumał...

Aż przestał oddawać się myślom.

Dzień i noc zlały się w jedno. W pamięci nie pozostało mu nic z przeżytych lat; pobyt zagranicą, swoisty światopogląd, pogarda dla ludzi — wszystko zniknęło. Otworzył swoje serce, rozwarł ramiona i pełną piersią odetchnął. Dnie i noce zapomnienia, dnie i noce uniesienia

miłosnego. Kiedyś budził w nim żal brak inteligencji u Cylki, fakt, że musiał zniżyć się do jej poziomu, szukać specjalnych słów, które rozumiała wyłącznie, lecz naraz pojął, że słowa są zbyteczne i myśli niepotrzebne, gdy spogląda się coraz głębiej jedno drugiemu w oczy, gdy z ustami na ustach trwa się w milczeniu... To najświętsze, najważniejsze ze wszystkiego...

A Cylka lgnęła doń cała, dzika, spragniona i pełna niespodzianek. Zdawało się, że to zębami wiewiórki, wpija się w jego usta i szyję. Uspakajał ją, gładził po głowie, uśmiechał się do niej łagodnie, jak mądry starszy brat — w końcu ulegał i sam gryzł i wpijał się w jej usta w ostatecznem zapomnieniu.

Stary Isar wciąż jeszcze nie wracał do domu, a westchnienia Nechy stawały się coraz głębsze i coraz bardziej pełne bólu. Zakochana Cylka nauczyła się oszukiwać ciotkę: wieczorem, niby to spokojnie kładła się do swego łóżka i czekała, aż ciotka uśnie. A wtedy szybko wdziewa sukienkę i biegnie do sąsiedniego domu do Saszy.

Oczekiwał jej niecierpliwie. Noce upalne spędzali w lesie.

W ciszy nocnej słychać było tylko, jak woda przelewa się z kamyka na kamień i wiedzie gawędy w nieznanej nikomu mowie. Od czasu do czasu odpowie jej las cichym poszumem gałęzi.

Zmęczeni usnęli oboje na miękkim mchu i śpią, póki nie zbudzi ich oddalony huk siekiery.

Leciutki wietrzyk kołysze do snu, wietrzyk, który zna wszystkie tajemnice — umarłych i żywych Przytuliła się Cylka do Saszy i zbudziwszy się, do ucha szepcze mu słowa, które jej na myśl przychodzą. Nauczyła się Cylka mówić. Pytaniom niema końca. Chciałaby się naraz wszystkiego dowiedzieć. Jaki to świat jest i jacy ludzie w mieście?

A razu pewnego, kiedy leżeli objęci ramionami i Sasza pieścił gęste pukle jej włosów, zapytała:

— Czy wszyscy ludzie są tacy?

— Co znaczy „tacy"? — zabrzmiało pytanie Saszy w ciemnościach nocy.

Roześmiała się. — Ot tacy, jak my — i znów pocałunkami okrywała jego twarz.

Drżące jej ciało przylgnęło do jego ciała. Tylko las słyszał jej nieprzytomne, płomienne okrzyki.

— Ot „tacy", ot „tacy". Szept rozniósł się po lesie, przytulił, przypadł do drzew, rozgrzał powietrze...

A potem usnęła obok niego w swym kochanym lesie, pomiędzy drzewami, które pamiętały jej pierwsze kroki i słyszały jej pierwszy wybuch śmiechu. Lecz Sasza był tu obcy i daleki, Sasza przybył z miasta. przybył tu z obczyzny, z utajonemi pragnieniami i mnóstwem tajemnic.

W uszach dzwoniły mu wciąż ostatnie słowa Cylki. I dziwne uczucia miotały nim: duma, że

oto zdobył, pozyskał całkowicie to dziecię natury i jednocześnie bolesne przeświadczenie, że został przykuty do niej na zawsze... Próbował jednak pokonać niepokój, nie mógł znieść lęku, nie znosił także cierpienia. — Oto śpi, jak ptaszyna maleńka, śni jej się las o świcie — cóż bowiem innego widziała w swojem życiu? Wreszcie zbliżał się ranek i Sasza spojrzał na jej twarzyczkę, bladą po przeżyciach nocnych. Dobre, pełne łagodności uczucie owładnęło nim całkowicie. Litość, jak nad maleńką, bezbronną dzieciną. Nigdy jej nie opuści, ustrzeże ją przed przeciwnościami losu — tak dumał w owej chwili.

Dzień się zbliżał...

Szary kapelusz Saszy poniewierał się w lesie na trawie albo w mieszkaniu. Nie chciał go nosić więcej. Ciotka Necha drżącemi dłońmi przygotowała posiłek, coraz to rozglądając się niespokojnie wokoło. Przychodziło już jej nieraz na myśl, aby posłać wiernego Szulima do Swisłocza, do starego Isara, niechaj mu opowie, że Sasza wciąż w lesie mieszka, że Cylki na krok nie odstępuje i że niczego dobrego po tem spodziewać się nie można.

Nie wiedziała ciotka, że nocą Cylka wykrada się z domu.

Pewnego razu Sasza zapragnął wyjechać na dzień do Grodna, nikogo w domu niema, a może listy dla niego nadeszły.

Zbladła Cylka. Miasto i obce listy, czekające na Saszę, widocznie ją przeraziły. Ponieważ

zwykła była myśli swe na głos wyrażać — powiedziała:

— Wyjeżdżasz — boję się, że nie wrócisz....

— Co też ci na myśl przychodzi, dziecinko!

Wiedział już, że Cylki nie opuści. Rozgniewało go podejrzenie Cylki i postanowił nie wyjeżdżać. Uradowała się tem postanowieniem Cylka.

Przed wieczorem zadała znów Saszy pytanie, które go mocno zmieszało i zaniepokoiło.

— Sasza, jeżeli urodzi mi się dziecko, czy to będzie bękart?

Nie wiedział co począć z tem pytaniem. Pragnął zmienić temat rozmowy, ale Cylka nie pozwoliła się zbić z tropu:

— Widziałam w Prudnie, jak bili córkę pachciarza, bo urodzić miała bękarta,..

Ciężar padł na serce Saszy. Jakże znaleźć odpowiedź na pytanie Cylki? Oto naga rzeczywistość podeszła nagle ku niemu i spojrzała mu w oczy groźnie. „Co będzie?„ Lecz widząc zasmuconą twarzyczkę Cylki, przygarnął dziewczynę ku sobie i najczulszym głosem odparł:

— Nikt cię nie będzie bił, maleńka, nie pozwolę nikomu zrobić ci krzywdy. Wszystko będzie dobrze.

A potem, gdy na chwilę pozostał sam, udał się do lasu, aby w spokoju i ciszy zastanowić się nad wytworzoną sytuacją. Wydawało mu się to wszystko takie dziwne, takie niespodziane:

sam, nie wiadomo kiedy, zaplątał się w tę historję, choć zawsze uciekał w życiu od tego, co najważniejsze, dał się zwyciężyć teraz przykuty łańcuchami, bowiem... Cylka nie przypomina wcale i nie będzie przypominać tych wszystkich jego minionych miłostek... Tam, zagranicą — ani od niego wiele nie żądano, ani on nie żądał — znajomości, uczucia krótkotrwałe, nie wiążące go w niczem. Lecz Cylka jest biedną sierotą. Isar zaś pracuje u ojca, Isar, który kiedyś, mówiąc z nim o Cylce, zapłakał...

Dużemi, wolnemi krokami szedł coraz głębiej w las. Dumał o swem życiu samotnem, oskarżał się o lenistwo i brak przystowania do życia. Młody jest jeszcze, brak mu kilka lat do trzydziestki, już przetrawił w myśli tyle. A Cylka? Jakie uczucie go do niej przywiązało? Czy to jest miłość, czy tylko uniesienie miłosne, szał zmysłów? Nie umiał odpowiedzieć. To było raczej, jakby olśnienie, ujrzał kwiat cudnej urody i przystanął oczarowany...

Postać Cylki wciąż mu przed oczyma stoi. Probuje ją porównać do innych kobiet, które spotkał w życiu. Powiększa i pomniejsza jej urodę, jej temperament, tak zaraźliwy. Pyta siebie czy mógłby ją zapomnieć, opuścić, wyjechać? Lecz czuje, że tęsknota nieznana dotychczas, oplotła mu serce... Może to właśnie jest miłość? Nie znał jej dotychczas.

Rozgląda się po lesie. Jakiś spokój nieskończony spływa z drzew i nad drzew. Plamy

słońca rozsiane po miejscach niezalesionych i śpiew: coś śpiewa samo ze siebie.

Chciałby już wchłonąć, poczuć w sobie ten spokój leśny — skłócone myśli zmęczyły go ostatecznie. Nie umie znieść cierpienia i nie chce znać niepewności.

Nagle ciszę leśną przerwie okrzyk. Słyszy swoje imię. To Cylka klaszcze w dłonie i na głos woła.

Odezwał się, znalazła go i oto są już razem. Cylka jest radosna, nie przeczuwa niepokoju Saszy. Lecz radość jest zaraźliwa. Sasza porwał Cylkę na ręce i niesie ją przez las. Najpierw broni się dziewczyna, potem zamyka oczy i poczyna gorąco dyszeć. Leciutkiej sukienki, jakgdyby nie było, Sasza wyczuwa dłońmi jej nagie ciało i płomień przenika go nawskroś. Zielone drzewa migają w oczach. Promienie słońca kłują źrenice. Jeszcze kilka kroków i pada ze swym ciężarem na trawę.

Są sami, zupełnie sami, dalecy od ludzi. Niechaj ich tylko nie wyda ptak śpiewający na gałęzi.

Potem Cylka otwiera oczy w których odbija się cała zieloność lasu i mówi do Saszy:

— Ty... Ty... a ja myślałam, że to Frojke...

— Jaki Frojke? Skąd do ciebie Frojke? — dziwi się Sasza. Ale Cylka nie umie na to odpowiedzieć. Wiele to już razy zdarzało się: gdy Sasza gorąco ją całuje, kiedy porwie ją na ręce z taką mocą i ogniem, przed jej oczami wypływa

postać Frojki Barasza, którego się tak kiedyś bała..

Teraz miała to same uczucie. Otworzyła oczy, patrzała na Saszę i zdawało jej się, że widzi Frojka z rozchełstaną na piersi czarną bluzą. Patrzał na nią i złośliwie się uśmiechał. Niczego pojąć nie mógł Sasza. Lecz ona oprzytomniała, oto już ręce znowu wyciąga ku niemu, śmieje się i figluje. Słońce oświetlało już inną część lasu. Z drzewa, pod którem leżeli spływały duże bursztynowe krople żywicy. To słońce, przed odejściem, wyssało promieniami złoty sok drzewa.

Wracali. Sasza nie pomny swych dum poprzednich. Cylka śmiała się wiele, a śmiech jej orzeźwiał i dodawał mu odwagi.

Podziwiał jej beztroską wesołość, jej radość życia.

Ciotka, jak zazwyczaj gotowała strawę, sama zaś nie podchodziła nigdy do stołu. Głęboko w sercu nosiła urazę do obojga. Nie wiedziała jeszcze o niczem, a przecież w jej pojęciu byli już oboje grzesznikami. Była jednak bezsilna i nie mogąc niczemu zapobiedz, zdała się na opiekę Boską. Jedyną nadzieją żywiła w zbliżającej się jesieni: Sasza napewno długo tu nie pozostanie.

Mijały dnie, słoneczne, suche, i ciemne, milczące noce.

A pewnego razu, podczas takiej nocy, usłyszała ciotka jakiś szmer. Usnęła po chwili, lecz wnet zbudziła się, gdyż ogarniał ją coraz większy niepokój. W ciemności dał się słyszeć jej głos:

— Cylko!

Nie było odpowiedzi. Zewlokła się z pościeli, zapaliła lampkę... Cylki nie było. Zbladła staruszka ze strachu. Podbiegła do drzwi i jeszcze raz zawołała — Cylkę. W lesie ciemna noc, a noc nie odpowiada.

Chciałaby się ciotka wszystkiego dowiedzieć, wszystko wyśledzić. Gniew i podejrzenia zmieniały się kolejno w jej sercu. Więc to tak, Cylka, którą wychowała i wypieściła sama, — ta Cylka śmiała ją oszukać. Wykrada się z domu ciemną nocą. Wyszła ciotka na dwór, uszła kilka kroków naprzód, zawróciła na lewo, znów na prawo, chłód nocny przenikał ją do szpiku kości i drżała z zimna.

Wietrzyk rozwiewał kosmyki jej siwych włosów. Nie wołała więcej Cylki na głos, chce ją podpatrzeć, wydrzeć jej tajemnicę, chce dowiedzieć się, czy jest już zapóźno, czy już po grzechu. Cicho teraz przekradała się przez las, jak szpieg, podeszła aż do strumyka. Biegła wartko woda swym zwykłym biegiem i niespokojnie coś mamrotała. Głuchą i straszną wydaje się noc staruszce. Nigdy w dzień nie czuła tak gniotącego jej brzemienia starości, jak teraz, w nocy, wśród milczących drzew. Na chwilę zapomina o Cylce i myśli o własnem życiu, o latach nędzy i o tem, jak bliski jest kres życia. Dla kogo żyła właściwie i kto po niej płakać będzie?

Cylka...

Oddała jej całą duszę, a Cylka wykrada się i grzeszy...

Nie znalazła jej w lesie. Może ukryli się gdzieś w głębi lasu, lecz jej siły odmawiają już posłuszeństwa, a oczy nie dowidzą po ciemku. Wraca więc do domu. Naraz dochodzi ją głos Cylki, Cylki stłumiony śmiech. Zadrżała staruszka. Śmiech podchodził z pokoju Saszy, z drugiego domku drewnianego, który stał obok w lesie.

Przekrada się więc pod ścianę, stoi kilka chwil pod oknem i nadsłuchuje, i trzęsą się jej stare ręce — wszystko odrazu staje się dla niej jasnem. Teraz już wszystko wie i noc wydaje się jej w dwójnasób ciemna, nogi pod nią zachwiały się, chce wracać, lecz przykuwa ją znów śmiech Cylki. Nie wytrzymała i jęła walić w okiennice pięśćmi, wołając: „Cylko, Cylko!“

Ucichły nagle głosy w pokoju Saszy. Cały świat objęła nagle nieprzerwana cisza. Stara, ledwo wlokąc nogi, wraca do domu i pada, ciężko dysząc, na posłanie. A w lesie jakgdyby tysiąc głosów nagle zawołało: „Cylko“.

Ciotka Necha łka na pościeli. Wszystkiemu, wszystkiemu tylko ona winna. Czy wolno jej było pozostawiać dziecko bez opieki? Trzeba było odrazu z domu wygonić precz Saszę, zabronić mu przebywania w towarzystwie Cylki, wygonić, jak psa, jak się odgania wronę, która zbyt długo kracze. Potem, słyszy ciotka cichutkie skrzypienie drzwi, na palcach wślizguje się do ciemnego pokoju Cylka i kładzie się do łóżka. Obie kobiety milczą. Jedna, co w pobożności życie wiodła, druga, od grzechu rozpoczynająca.

A w domku sąsiednim pozostał samotny Sasza. Ten okrzyk: „Cylko“, który wybiegł z lasu, otrzeźwił go zupełnie. Wołała ciotka Necha, a jemu się wydawało, że to noc wołała Cylkę. Zła noc nie pozwalała mu teraz zmrużyć powiek, podszedł więc do okna i kurząc papierosy, spoglądał w ciemność!

Co teraz będzie?

Jedna chwila — a wszystko zdaje mu się tak prostem. Rano każe zaprzęgnąć konie i pojedzie, daleko, daleko...

„Nie, nigdy w życiu tak nie uczynię“, postanowił w chwilę potem. Ogarnęła go naraz nieukojona tęsknota do dziewczyny, do przestraszonej głosem ciotki — Cylki. Co robi teraz w pokoju? Napewno skąpana we łzach, a stara ciotka klnie i strofuje... Jedna myśl goniła drugą, płoną policzki, jest, jak przestępca, który postanowił odpokutować winę, który chce znaleźć karę najcięższą, na którą zasłużył. Drżał ze wzruszenia. Coraz mu się wydawało, że z lasu dochodzą wołania Cylki, a ciepło jej ciała wciąż czuł jeszcze obok siebie. Prześladował go leśny zapach jej włosów. Było mu jednocześnie rozkosznie i straszno. Lecz po chwili tryumfowała jego beztroska natura:

— Niechaj będzie, jak ma być! — powiedział sobie kładąc się do łóżka.

Nazajutrz — znów słoneczny poranek. Ledwo otworzył oczy, już zdaleka usłyszał donośny śpiew Cylki. Podszedł do okna i obserwował ją.

Prała bieliznę w strumyku.

A więc śpiewa...

I noc ubiegła, przeraźliwe wołania ciotki, wydawały mu się złym snem. Las był pełen słońca, a wiadomo, że promienie słońca pomniejszają troski. Do najciemniejszych zakątków duszy dociera ich blask, zabija smutek i budzi wiarę. Sasza umył się skrupulatnie, ubrał i wyszedł do lasu. Szedł boczną ścieżką, unikając spotkania z Cylką. Kijankami uderzała o sztuki bielizny, nuciła jakąś piosenkę, urywała w pół taktu. Szeroko po lesie roznosiło echo jej głos.

Młody Lurje obmyślał jakieś plany i kroczył raźno naprzód. Wracając tą samą drogą podszedł do domku i wszedł do izby.

Necha z oczami czerwonemi od płaczu krzątała się wokół kuchni. Sasza podszedł do niej blisko.

— Necho, słuchajcie mnie uważnie, potrzebna mi wasza pomoc.

Nawet oczu nie podniosła w górę stara ciotka i tylko głosem lodowatym zapytała —

Czego?

Wiem że w Mścibowie mieszka rabin Joz.

Przyglądała mu się teraz ze zdziwieniem.

— Mieszka tam rabin. A na co rabin potrzebny?

— Słuchajcie mnie ciotko, jeśli mi pomożecie, jeszcze dziś plan mój wykonam...

— Nie rozumiem o czem mowa...

— Chcę poślubić Cylkę. Słyszycie ciotko, jeszcze dziś weźmiemy ślub.

Necha otworzyła szeroko oczy, ze zmieszana wypadła jej z ręki warząchew.

Radość i lęk ogarnęły ją naprzemian.

— Czego się spieszyć? Bez ojca, bez rodziny?

— Szkoda czasu na rozmowy, idźcie do Mścibowa, zawiadomcie rabina, jeszcze dziś po obiedzie odbędzie się ślub.

— Choćbym ojca ze Swisłocza sprowadzić kazała — próbowała prosić stara.

— Nie trzeba nam nikogo — stanowczo odparł Sasza. Kochacie wszak Cylkę, tu o jej szczęście idzie... Potem może być za późno.

Wciąż jeszcze przyglądała mu się napółprzytomnie, odgarniając, siwe włosy z pod czepka.

A kiedy wciąż stała na jednym miejscu, ujął ją Sasza za rękę, poprowadził do kufra, gdzie chowała chustkę i wyrzekł rozkazującym tonem:

— Idźcie do Mścibowa.

Usłuchała ale po drodze wstąpiła do starego Szulima. Postanowiła wysłać go do Swisłocza, ale nie mogła go znaleźć nigdzie. Przystanęła więc na chwilę, zamyśliła się, a potem szybko szła w stronę Mścibowa, siejąc po drodze ziarna swych westchnień.

Sasza zaś poszedł do Cylki.

— Dzień dobry:

Zamiast odpowiedzi otrzymał prysznic wody, gdyż Cylka na przywitanie kijankami mocniej jęła uderzać. I prała dalej.

— Czy ciotka gniewała się na ciebie?

— Nie!

— Nic nie mówiła?

— Płakała.

— A ty?

— Spałam.

Pomyślał w tej chwili, że Cylka o wiele prościej wszystko od niego ujmuje.

— Cylko, czy masz jaką ładniejszą sukienkę?

— Tak, a poco?

— A trzewiki także masz?

— Mam także trzewiki, nawet nowe, ale poco pytasz?

— Idziemy do Mścibowa...

— Co? — odłożyła na bok kijanki i podeszła do Saszy, który nerwowo gryzł ustnik papierosa — a poco do Mścibowa?

— Pójdziemy do rabina na ślub.

Mokremi ramionami objęła wpół Saszę, śmiała się i skakała — o mało nie wpadli oboje do wody. Cieszyła się, bo miała przed sobą jakieś nowe wrażenia, ruch, spacer, powrót. Nie interesowała ją powaga chwili.

A Sasza odczuwał jej prostotę myśli i przez to stała mu się jeszcze droższą.

A nagle przerywa ciszę —

— Naco mi trzewiki? Do Mścibowa latem zawsze boso idę.

Powróciła wnet do pracy i teraz, zastanawia-

jąc się głębiej nad tem co będzie, obrzucała Saszę pytaniami:

— A co na to powie ojciec?

— Twój ojciec? Ależ nie powinniśmy nikogo o pozwolenie pytać.

— A kiedym cię całował wczoraj i przedwczoraj i dawniej. Czy pytałem kogo o pozwolenie?

— A jakże, nie trzeba nikogo pytać, przecie nie jesteśmy dziećmi.

I wyprostowała się cała, stanęła przy boku Saszy. Sasza jeszcze raz mógł sprawdzić, jak urosła ostatnio, jak dojrzała.

— Nie jesteśmy już dziećmi — dźwięczało mu w uszach. Patrzał na nią rozkochanemi oczyma.

— Pocałuj mnie, czego wytrzeszczasz oczy — zawołala, a kiedy chciał pocałować, uchyliła się w bok i jęła uciekać. Goni ją Sasza po lesie, a drzewa słuchają ich radosnych śmiechów. Mokra bielizna pozostała na ziemi przy strumyku. Daleko w lesie udało się Saszy pochwycić figlarkę i otrzymała wtedy całus z naddatkiem.

Wreszcie pobiegła do domu wyszykować sukienkę i trzewiki, a Sasza pozostał sam.

Sam ze swemi myślami. Mówiły mu one o tem, że to, co teraz uczyni jest koniecznością. W chaosie dum przeważała jedna: Cylki nie można teraz było porzucać. Trzeba przyśpieszyć termin ślubu, jeszcze dziś wieczorem Cylka zostanie jego żoną. Czy bał się chwili namysłu? Samego siebie? Odganiał myśli o miłości, o mi-

łości długotrwałej. Coś tam wciąż rozsądek nasuwał mu zwątpienia, ale gonił je, gonił precz.

Nagle dojrzał w lesie nową postać. Był to człowiek w wieku średnim w zaniedbanym ubraniu i pognieconym kapeluszu. Podszedł do Saszy.

— Dobry dzień i winszuję — i wyciągnął dłoń.

Sasza przywitał go grzecznie, lecz jego wzrok zdziwiony niecierpliwie pytał: Ktoś ty taki i poco przychodzisz?

— Jestem szamesem rabina w Mścibowie — przedstawił się tymczasem przybyły.

A Saszy wydało się, że to goniec z innego świata doń przybywa.

— Wszystko już gotowe — mówił tymczasem przybyły — stara ciotka oczekuje was, jeśli chcecie możemy natychmiast w drogę wyruszyć.

Sasza odesłał szamesa do Iwana, ażeby zaniósł polecenie zaprzęgania konia.

A Cylka stanęła już na ganku w swej białej sukience i nowych trzewikach, w których, przyzwyczajona do biegania, czuła się nie swojo. Ale wyglądała w nich nieco inaczej, bardziej wysoka, smukła. Uśmiech zawstydzenia zarumienił jej twarzyczkę. Widocznie, podczas przebierania się myślała nad czemś Cylka. Czarująca powaga wyglądała z jej oczu. Oglądała się wokół — jakgdyby żegnając się z przyjaciółmi — staremi drzewami.

Sasza podszedł do niej. Znów ma dziś o-

czy tak niebieskie — pomyślał — Dziwne są te oczy, zmieniające barwę od szarych do niebieskich.

— Cylko, szames przyszedł z Mścibowa, ciotka już na nas czeka. Posłałem go po linijkę.

Podeszła do niego wzruszona, głowę na piersi mu złożyła i podnosząc oczy w górę, długo i uważnie przygląda się Saszy.

Zdawało mu się, że ogarnia go jakaś błękitność zadrgały najczulsze struny duszy. Pierwszy to raz w życiu podobnie głęboka czułość ogarnęła go i serce tak mocno mu zabiło.

Należy do niego. Oddała mu się, jak dziecko z ufnością miałbyż ją oszukać? Rozrzewnił się własną szlachetnością. Ileż to razy przysięgał sobie, że rąk nie splami hańbą... Coś mu się tam kiedyś wydarzyło, ale były to grzeszki przelotne, których nie bierze się pod uwagę.

A Cylka po długim namyśle pyta —

— Więc doprawdy chcesz mnie pojąć za żonę?

— Tak dziecinko! Postanowiłem.

— A czy nie będziesz żałować?

Mocniej zabiło serce Saszy na to pytanie, na pytanie tak trafne, ale postanowił sobie, że dziś nie będzie targał swej duszy. W odpowiedzi otrzymuje Cylka całus w usta i wnet się uspakaja.

Podjeżdża linijka — a na niej szames z Mścibowa. Siadają wszyscy na długiej linijce i jazda. Wokół ścierniska złocące się w słońcu jesiennem, a za polami pierścień zielonych borów.

Cylka zapomniała o powadze chwili. Jasność osłonecznionych pól porwała ją i upija. Woła: na konia „wio“ i probuje śpiewać. Sasza umawia się z szamesem, aby w miasteczku nikt o ślubie nie dowiedział się. Nikt, prócz świadków, bez których ślub obejść się nie może.

Niedaleko od miasteczka zatrzymują konia. Najpierw kroczy szames. Cylka i Sasza za nim. Są nieco zmieszani i posłusznie kroczą śladami obcego człowieka. Cylce ciążą trzewiki — zawsze wszak biega na bosaka.

A potem usiedli w ciasnym pokoiku. Zebrało się „miniun“. Ciotka o wszystkiem pamiętała. Coraz to westchnie, ale wzdychając, myśli wciąż, że Sasza, który unieszczęśliwił Cylkę, teraz krzywdę naprawia.

Rabin zapytywał o coś Saszę i w wielkiej księdze zapisywał, potem wyniesiono na dwór złotemi nićmi wyszyty kawał tkaniny na czterech drążkach.

Powtarzał jakieś słowa za rabinem, wręczono mu pierścionek, kieliszek wina. Był zmieszany i poważny a jednak chętnie wybuchłby śmiechem czego chcą od niego ci obcy ludzie?

Lecz zaraz wraca mu pewność:

— To jest konieczne, to jest niezbędne, jeszcze kilka chwil, a wszystko będzie załatwione.

Naraz wszyscy wokół, jak chrabąszcze jęli brzęczeć:

— Mazełtof, mazełtof!

Cylka bezradnie rozłożyła ręce i patrzała zdziwiona wokoło. A ciotka zanosząc się od płaczu — obcałowywała Cylkę.

Do Saszy podszedł ktoś i nawiązał rozmowę:

— Lurjowie! Nie byle jaka to familja!

Sasza wyjął z portfelu dziesięciorulóbwkę i ów ktoś usunął się na bok. Po chwili stanął przed nim drugi:

— Ojciec wasz...

Sasza i temu wsunął papierek w rękę z tym samym skutkiem. Trzeci podszedł z uśmieszkiem na ustach:

— Nie oszukała się narzeczona...

Nagle ze wszystkich stron wyciągnęły się ku niemu dłonie. Zauważył szamesa i podszamesów.

— Mazełtof, mazełtof! — a za każde mazełtof płacił Sasza. Kilka dziewcząt dowiedziało się już o ślubie. Przybiegły do domu rabina, a Cylka, stojąc na progu drugiego pokoju, coś im opowiadała. Ciotka szeptała na ucho rabinowi, a Sasza przez chwil kilka siedział sam, w fotelu pod oknem.

Zmniejszył się jakoś, skulił w sobie, zmalał. Nieswojo się uśmiechał, nadrabiał miną, a zdaje mu się, jakgdyby zbił go ktoś.

Tymczasem wysuwali się pokoju brodaci jegomoście. Necha skończyła konszachty z rabinem. Cylka śmiała się, opowiadając o czemś dziewczętom, a Sasza ocknął się z zadumy...

Podszedł do ciotki...

— No ciotko, już teraz płakać nie będziecie a i złość wasza minie.

Dopiero ciotka uderzyła w płacz. Kilka minut trwało, nim się uspokoiła. Aż Cylce zakręciły się łzy w oczach. Sasza już przedtem wysłał szamesa po linijkę. Kiedy wychodzili z domu rabina, na ulicy zebrała się już gromadka ciekawych. Widocznie, wiadomości nie można było utrzymać w tajemnicy.

— Syn Lurjów ożenił się z Cylką!

— „Gość zagraniczny" i bosa dziewczyna!

— Zdaje się, że zwarjował.

Lecz w tłumie zaleźli się obrońcy Cylki.

— Więcej warta od tysiąca dziewcząt z miasta.

— Przecież jest piękna, jak księżniczka —

Sasza ucieszył się, gdy ruszyli z miejsca. Nie miał żalu do tych ludzi, niechaj sobie opowiadają niestworzone rzeczy, ale on nie chce tego słuchać.

Oto już przed nimi widać pole. Ciotka obciera sobie wciąż łzy chustką.

Cylka objęła ją, żeby z linijki nie spadła, a sama chce Saszę o coś zapytać. Ale wstyd ją powstrzymuje. Lecz w końcu pyta:

— Sasza, a kiedy będzie nasze wesele?

Uśmiechnął się Sasza i pojął w lot, o co jej chodzi: wesele, to znaczy muzyka, tańce i biesiada.

— Będzie dziecinko, później będzie.

A Iwan, który powozi, także upomina się o należne:

— Paniczu, kiedy wódki dostaniem? Wszak to święto, taką ładną dziewczynę zabiera nam pan z lasu.

A „ładna dziewczyna“ nie może usiedzieć na miejscu. Dojrzała na polu spóźniony kwiat maku — zeskoczyła z wózka.

Oto już w ręce trzyma bukiet kwiatów polnych. Kiedy przyjeżdżają do lasu, ostatnie ognie słońca płoną już na drzewach. Wielkie czerwone plamy językami czerwonemi liżą gałęzie.

Zciemnia się. Coraz ciemnej. Odwieczny smutek wieczora zakrada się do serc ludzkich... I Cylka poczuła melancholję zmierzchu, lecz nie chce ani na chwilę — poddać się smutkowi.

Kiedy linijka zatrzymała się przed domem podbiegła do Saszy i śmiejąc się — mówi:

— Już po ślubie, Sasza, już po ślubie.

Sasza gładzi jej włosy, spokojny, zamyślony. Gwar w miasteczku i u rabina — zmieszało go. A jednak tak świątecznie mu na duszy.

Świątecznie i smutno.

A w ów wieczór w Mścibowie do późna w nocy — rozprawiano o nieoczekiwanem i niespodzianem wydarzeniu:

— Tylko w książkach czyta się coś podobnego.

— A co na to powie milczący Isar?

— A jak się Lurjowie dowiedzą, co będzie?

— Dopiero sobie użyje, Cylka...

Kto wie? Czy będą szczęśliwi?

Tylko Frojke stronił od rozmowy. Uciekł z miasta i poraz drugi już szedł w stronę lasu, gdzie mieszka Cylka, a dwa razy zawracał z drogi.

W kilka dni potem, zaprzągnąwszy ojcowego konia do bryczki pojechał do Wołkowyska. Dwa tygodnie mijały. Nie wracał. Stary Barasz pojechał do miasteczka odszukać syna i dowiedział się, że Frojke sprzedał konia i bryczkę, przepił pieniądze i nadal pije. Do domu nie chce wracać.

— To wszystko z żalu za Cylkę — mówiono w Mścibowie.

VII

RĄBIĄ LAS...

Należało tylko nieco uważniej przysłuchiwać się odgłosom w dnie ciche — a można było wyraźnie usłyszeć, jak pracowały siekiery.

Rąbano las. Coraz bliżej i bliżej. W domu Isara wiedziano już, że życie lasu obliczone jest na miesiące. Czekano nadejścia jesieni, kiedy ilość drwali miała być podwojona. Jesienią, drzewa są grubsze i praktyczniej jest wtedy rąbać.

Minęło lato.

W lesie wciąż jeszcze zielono i ciepłe powiewy kryją się między drzewami, ale na polu już jesień. Gdzie tylko drzewo liściaste, albo krzaczek, już smutne złoto liści zdaleka ci mówiło o końcu, który nadchodzi i o tem, co umarło. Obok domku dozorcy szosowego stało kilka drzewek kaliny. Kusiły czerwone korale, kusiły.

Wokół zieleń. Na lewo i na prawo zieloność ciemna igieł sosnowych, a nagle, wśród zie-

leni — w małym ogródku, figlarna czerwień korali.

Sasza lubił ten zakątek. Nieraz przychodził tu sam, lub z Cylką. Pod drzewem dumał o sobie i o dzieweczce z lasu, którą uczynił swą żoną.

Ma więc już żonę, a czasami wydaje mu się to wszystko snem... Piękny sen, budzący w żyłach krew, sen, po którym długo leży się z zamkniętemi oczyma i marzy,..

Nie. To jest prawda. Za chwilę przyjdzie tu Cylka. Zakradnie się cichutko i dłońmi, oczy mu zakryje.

— Cylko! — woła Sasza.

A ona milczy,

Jeszcze raz: — Cylko!

— Tak, to ja...

A to „ja" dźwięczy donośnie po całym lesie, po całym świecie... W duszy jego odzywa się słodką zapowiedzią, rozkosznym rozkazem.

Nie wolno mu się na długo oddalać, nie pozwala mu jeździć do miasta, jak gdyby wciąż obawiała się, że nie wróci. Nie rozkazuje mu, nie wiąże mu rąk, ale zaciśnie usteczka i milczy.

Dwojakiej używa broni:

Albo obejmie go ramionami, całuje i kąsa, albo zamilknie na długo, jak młoda sosenka.

Ledwo uprosił ją Sasza, by mu na dzień jeden pozwoliła wyjechać. Pojechał do Swisłocza, do starego Isara... Pojechał, aby przedstawić się ojcu jako jego zięć.

Wreszcie pozwoliła Cylka Saszy wyjechać

na jeden dzień. Udał się do Świsłocza, do starego Isara Pojechał, aby przedstawić się Isarowi w swej nowej roli — zięcia.

Isar mieszkał w chatce, skleconej z nowych belek — Izba pełna była obcych ludzi. Sasza poczekał, aż wyjdą, a potem przystąpił do rzeczy:

— Reb Isar, należy się wam powinszowanie...

Isar podniósł, zdumiony, oczy, palce zagłębił w brodzie i po chwili zapytał:

— Co takiego?

— Przed tygodniem poślubiłem córkę waszą, Cylkę. — Stary osłupiał.

— Z moją córką? — zawołał Isar. Jakże to? W jaki sposób?

— Ślub odbył się u rabina w Mścibowie.

— Reb Isar — stało się. Kocham ją i przywiązany jestem do niej. Jest moją żoną.

W tej chwili, zdawało się, pojął Isar wszystko. To, co zostało powiedziane i o czem zamilczano. Bez słowa podszedł do drzwi otwartych i długo, długo spoglądał w głąb lasu. Sasza poczuł się nieswój, gdy Isar stał tak do niego odwrócony plecami. Izba pogrążona była w mroku.

Lecz po chwili podszedł młody Lurje do Isara i pyta:

— Jakże to? Nie podoba wam się małżeństwo?

Isar nie żywił złych uczuć do Saszy, aczkolwiek słyszał o nim wiele zdań niepochlebnych. A teraz, kiedy młody człowiek stanął naprzeciw niego z uśmiechem na twarzy... Isar

wyciągnął rękę, potrząsnął ją i rozpłakał się. Drgnął Sasza. Pierwszy raz zdarzyło mu się widzieć podobny płacz... Jakgdyby stary dąb runąć miał za chwilę, jakgdyby skała pękła. Stary drżał całem ciałem, a po owłosionych policzkach spływały duże krople łez.

Sasza poczuł, że należałoby zostawić go samego i poszedł do lasu.

Kiedy wracając podszedł do chatki, stary Isar zbliżył się do niego i ucałował go w czoło. Potem zapytał:

— Czy rodzice twoi wiedzą już o ślubie?

— Jeszcze nie. Ale w najbliższych dniach zawiadomię ich o tem listownie.

— Co na to powie twój ojciec?

— Ojciec mój jest kupcem drzewnym...

— Co z tego?

— Ano jakoś dojdziemy do zgody.

Sasza wracał z Isarem, któremu udało się na jeden dzień opuścić lasy swisłockie.

W drodze milczeli. Isar, milkliwy z natury, Isar, urodzony i wychowany w lesie i od drzew uczący się niemoty, lękający się zbytecznych słów, po śmierci żony ukochanej, zmarłej w rok po ślubie, która do grobu zabrała jedyną miłość i wszystkie nadzieje jego...

A Sasza... Rzadko trudził się odgadywaniem cudzych myśli. Lecz teraz biedził się by odcyfrować istotę duszy swego teścia. Nie pytał o nic, pewny, że stary zbędzie go jednem, obojętnem sło-

wem. Nie mógł także domyśleć się, czy stary gniewa się, czy też zadowolony jest z obrotu rzeczy.

Wózek toczył się po szosie, wzdłuż pustych pól. Kopano ostatnie kartofle, na spalonych od słońca zagonach kapusty, wrony szukały pożywienia na ziemi. Wokół rozciągały się puste, wielkie przestrzenie i ta wielka pustka rozszerzała się także w duszy.

Dłużyła im się droga. Kiedy człowiek milczy w samotności, łatwiej to znosi, niż wśród ludzi. Sasza był zadowolony ze swej wizyty w Świsłoczu. „Spełniłem swój obowiązek" powtarzał z dumą i nagle uprzytomnił sobie, że ma wiele obowiązków: względem Isara, ciotki Nechy i względem innych ludzi. Patrzy wszystkim śmiało w oczy, jest niby z siebie zadowolony, a przecież w gruncie...

Lepiej nie myśleć, lepiej nie przyznawać się nawet sobie, że trochę udaje, że nie wszystko jest szczere.

Cylka, na widok ojca — podbiegła ku niemu i zawisła mu na szyji, obsypując pocałunkami. Dawniej witała się mniej czule. Ciotka Necha wycierała rękawem oczy, gdy Isar podszedł z życzeniami:

— Niechaj będzie na szczęście, widocznie było nam przeznaczone — i oboje ukryli się za drzewami. Isar wysłuchał wszystkiego. Od czasu do czasu ciotka wzdychała.

— A co powie stary Lurje, gdy wróci z zagranicy?

Oto nowa troska Isara. Wstydził się swego pryncypała, jakgdyby mógł zapobiedz temu, co się stało.

Isar przyniósł także wiadomość, że stary las, w którym mieszkali, padnie pod toporem jeszcze tej jesieni, tak samo, jak las swisłocki. Isar i ciotka przeniosą się na stałe do Mścibowa.

— A „dzieci" pojadą do Grodna — dodała ciotka Necha.

Sasza uśmiechnął się do siebie. Od jakiego czasu nazywają go „dzieckiem"? Lecz Cylka drgnęła z przestrachu:

— Do Grodna, do Grodna, pomiędzy obcych..

Zagryzła wargi, starając się powstrzymać łkanie.

A już Sasza jął ją pocieszać:

— Nie martw się, będzie ci dobrze, nie można wszak zawsze mieszkać w lesie...

— Dlaczego nie można? Można! Ja nie chcę do obcych ludzi!

Ciekawa była nowego życia, jakie ją czeka. Po wyjeździe ojca wciąż jednak odkładała termin wyjazdu. Jakże ciężko było opuszczać las, którego już nigdy nie ujrzy...

„Harr, harr"

Z oddali słychać, jak wre praca. Tysiące siekier rąbią drzewa i naraz: skrzypi coś, wzdycha — to pada jeden z najstarszych mieszkańców lasu. Coraz to bliżej gwar obcych głosów, nieznane echo..

Coraz to częściej zbliżają się drwale do domku Isara, a Sasza z Cylką przechadzają się wokół miejsc, gdzie rąbią drzewa.

Las wyglądał, jak pobojowisko. Chłopi piłami wycinali „rany“ drzewom, które przedtem powalili toporem. Jak karły, wokół olbrzymów, krzątali się ludzie wokół drzewa. A kiedy olbrzym połamane już miał kości, starano się nim zatrząść— zaś drwale uciekali zręcznie w bok — nim padnie drzewo, potrafi jeszcze zemścić się na katach.

Wesoły gwar trwał podczas pracy, lecz jakże smutno było na to patrzeć!

Oto wysoka i prosta stoi sobie sosna. Setki lat pięła się ku niebu coraz wyżej i wyżej, jednocześnie w środek ziemi wrastając korzeniami.

Przetrwała tu pokolenia, jak sfinks złoty, a tajemniczy — a teraz, w ostatniej chwili swego życia — jest równie piękna i spokojna. Oto odcięto jej kolana, a przecież głową wciąż sięga ponad inne drzewa. Do słońca, do chłodnego słońca jesieni podniosła głowę i kąpie się w jego blasku. Nagle ogarnia ją drzenie i ramiona — gałęzie drżeć poczynają. Plączą się ze sobą, jakgdyby w ostatniej chwili zatrzymać chciały pień. Lecz wnet po tym drżeniu, następuje straszliwy upadek. Pada z rozmachem, wyciąga się jak długa na ziemi i łamie swe ramiona — gałęzie. Leży tak umarła sosna przez tydzień lub dwa, póki igieł zieloność staje się rdzawą. Wtedy to ostry topór obcina wszystkie gałęzie. Pozostaje okrągły, długi szkielet pnia. Z ran zadanych, kropla-

mi sączy się żywiczna krew, maleńkie mrówki przylepione do kory nie mogą już uratować swego życia

Dalej pracują drwale. „Harr, harr“

Zły i tępy jest głos siekiery, a echo roznosi go po lesie z ukrytą wściekłością:

Strzeżcie się lasy! Wielka jest nienawiść ludzka, a ostre topory!

Znów opustoszał szmat lasu. Słońce znalazło nowe pole działania — zaś na pustem miejscu używają sobie promienie słońca w byłem królestwie cienia...

— Sasza, coraz bliżej nas są drwale.

— Trzeba jechać do miasta, Cylko!

Zwiesza głowę na piersi Cylka i idą dalej, pomiędzy drzewa ścięte, między drwale, którzy zamieniają z nimi kilka słów. Naraz okrzyk: uciekać. Wielkie, stare drzewo za chwilę legnie na ziemi. Baczność! Lecz oto olbrzym nie upadł odrazu, a padając zaczepił się, oparł ciężarem o pień sąsiada — jakgdyby żaląc się, zapłakał.

Jesienny wiaterek roznosi woń żywiczną rąbanego lasu. Zapach orzeźwiający, choć każda chwila przynosi najsmutniejsze refleksje.

I oto, że las rąbią, że coraz chłodniejszy jest wietrzyk jesienny, a Sasza coraz częściej przebąkuje o wyjeździe — legło chmurą smutku na serce Cylki. Często, milcząc, wracają z lasu. Cylka o nic nie pyta, a Sasza zadowolony, że może spokojnie oddawać się swym dumom. Os-

tatnio coraz bardziej lubi owo samotne przestawanie ze sobą, wspomnienia przeszłości i marzenia. Samemu znaleźć się na szczycie góry i niby w lustrze, przeglądać się w swej duszy... Tak było kiedyś. Teraz...

Lecz milczenie przeciąga się. Cylka trzyma palec w ustach — to znak niechybny, że jest z czegoś niezadowolona.

— Cylko!

Nie odpowiada. Chce ją objąć wpół — wyrywa się i ucieka. A kiedy wreszcie schwytana — długo uspokoić się nie daje.

— Czemu się gniewasz, Cylko?

— Dlatego, że nic nie mówisz. Poco milczysz?

— Zamyśliłem się, dziecinko.

— O czem myślisz?

Nie lubi Sasza tego śledztwa. Lecz nie okazuje niezadowolenia.

— O czem myślałem? — powtarza Sasza.

— Kochałeś kiedyś inną — woła Cylka. Nie po raz pierwszy słyszy Sasza ten zarzut.

„Wszystkie kobiety są jednakie“ — myśli ze złością. Ale wciąż panuje nad nerwami.

— Nie milczę, nie milczę już wcale — odpowiada Sasza i na głos: poczyna deklamować:

— Hej, otwórzcie więzień wrota —
Dajcie promień dnia —
Czarnobrewe dziewczę —
Pięknego rumaka.

Deklamacja przechodzi w śpiew. Śpiewa

pięknie, nieco podniecony. Las przysłuchuje się wzniosłym słowom. Cylka otwiera szeroko oczy. Czuje Sasza jej zachwyt, więc śpiewa dalej:

„Dajcie pałac mi złocisty
kwitnące ogrody
w jego cieniu niechaj rosną —
czerwone jagody.
Niech fontanny w górę biją
W salach marmurowych...

— Podoba ci się?

— Tak...

— Gdy sprowadzimy się do miasta będę ci grał i śpiewał...

— A w mieście nie będziesz nikogo odwiedzał? Co?

Krótka przerwa. Sasza nie znajduje odpowiedzi. Gniewa go, że Cylka jest nadto wymagająca. Stawia mu warunki, ogranicza jego swobodę, a tego nie mógł nigdy znieść. Lecz jest mu tak droga i tyle bólu sprawia mu jej smutek, więc tuli ją do siebie i szepcze:

— Zawsze będę z tobą, zawsze, zawsze.

Słońce wcześnie zachodzi. Umiera w blasku czerwonych płomieni, które szybko gasną. Wracają do domu, gdzie ciotka Necha krząta się koło przyrządzenia wieczerzy —

„Dla dzieci“...

Nie brak teraz pracy starej ciotce. Dla Cylki w Mścibowie oddała do szycia kilka nowych sukienek, bielizny trochę, obuwie. Dwa razy

dziennie idzie ciotka do Mścibowa, aby przypilnować roboty. Uwierzyła, że wszystko będzie dobrze. Czy Sasza nie wziął ślubu, czy nie zabiera Cylki ze sobą do miasta, czy wreszcie nie słucha jej i nie okazuje miłości? Jeśli dalej tak pójdzie— naprawdę, Cylka wygrała los na loterji. Pracuje więc ciotka z ochotą i przyrządza przysmaki dla dzieci.

Lecz nadchodzi pora wyjazdu do Mścibowa. Isar wynajął część izby u starosty Barasza i tam zamieszkają teraz: Isar i ciotka Necha. Pozostanie sama. Nie długo przyjdzie jej patrzeć na jasne oblicze Cylki, słyszeć jej śmiech srebrzysty.

Była już kilkakrotnie u Iwana, zamawiając sobie jego pomoc w przeprowadzce, wtedy, gdy młodzi wyjadą do miasta.

Iwan przyrzekł. Nie obeszło bez pogawędki.

— Pomyśleć, że Cylka już ma męża i jakiego? — rzekł z uśmiechem.

Syn Lurjów, syn miljonera i Cylka...

— Niechaj tylko będą szczęśliwi — i ciotka zmieniała temat rozmowy, obawiając się uroku.

— Pusto teraz w lesie — dodawała.

— Jaki tam las? Lasu nie będzie wcale. Nigdzie trochę cienia nie zostawia, a nawet moja chatka spali się w słońcu — wzdychał dozorca.

Oczekiwała wyjazdu młodych.

Czas już przygotować się na przybycie zimy.

A „dzieci“ zwlekały z wyjazdem. Dni były teraz jasne, piękne, na niebie ani obłoczka.

„Aż rozpoczną się deszcze“ — taki był termin wyjazdu Saszy i Cylki.

Skoro zaczną się słoty — włoży Cylka nową sukienkę, obuje trzewiki i pojedzie do miasta.

Do miasta tymczasem posyłano wciąż starego Szulima po sprawunki. Przywoził papierosy dla Saszy, łakocie dla Cylki.

Lecz Sasza pamiętał o jeszcze jednym ważnym obowiązku. Należało „swoich“ zawiadomić o tem, co zaszło. Napisał jasny, wyraźny list z wiadomością o ślubie.

W tydzień potem nadeszła odpowiedź. Stary Lurje wcale się nie zmartwił otrzymaną wiadomością, „Sądzę — pisał do Saszy — „że teraz weźmiesz się już do pracy i wszystko będzie dobrze“. Matka w końcu dodała dwa słowa „mazeł-tof“.

Matka gniewa się... niechaj i tak będzie.

— Dlaczego matka nic więcej nie pisze? Nie chcę z nimi mieszkać, nie pojadę do miasta...

Sasza wypróbował wytłumaczyć matkę przed Cylką, wreszcie skłamał, matce drży ręka i więcej pisać nie może.

Lecz były to tylko krótkie chwile niepokoju i gniewu. Cylka, jak dawniej, jasnem obliczem rozpromieniała ciemne zakątki lasu. Każdy darzył ją uśmiechem lub dobrem słowem. Czy nie jest sierotą, wychowaną w samotnym lesie? A kiedy przyszedł człowiek, który obudził jej ciało i duszę i przygarnął do siebie, przywiązała się doń

Cylka głębokiem uczuciem miłości. Wymagała coraz więcej pocałunków i wierności. Nie szczędził jej Sasza czułości i pieszczot, choć niejednokrotnie brała go chętka porzucenia lasu i powrotu do Grodna. Tęsknił za wolnością. Lecz serce jego było przykute, trzymały go mocno przy sobie maleńkie dłonie, a oczy błękitne, oczy, pełne wiary, szły za nim wszędzie, krok w krok... Zaś obowiązki, które wziął na siebie? Czy nie przyrzekł zabrać się do pracy, czy nie ponosił wielkiej odpowiedzialności? Niebezpieczne są myśli Saszy: lecz Cylka czuwa i nigdy go samego zbyt długo nie pozostawia. Przybiegnie, pocałuje i zaglądając głęboko w oczy:

— Znów zamyślony! Powiedz o czem myślisz?

— Myślałem o tobie. O tem, jaką sukienkę sprawić ci w Grodnie...

— I nigdy nie wolno mi będzie biegać boso?

— A strumyk? Gdyby choć strumyk można zabrać ze sobą...

A Sasza na to:

— Słuchaj uważnie Cylko!

— Słucham!

— Musisz się uczyć, Cylko. Jestem starszy od ciebie, będę cię uczył...

A — mimo to, ja całuję lepiej od ciebie...

Sasza nie spodziewał się takiej odpowiedzi: ile pewności siebie i odwagi ma Cylka...

Lecz nim odpowie coś, już ramionami owija

mu Cylka szyję: podstawia usta i odwraca głowę. Draźni i ucieka. Pobiegła do domu, z Mścibowa przyszła krawcowa.

Sasza pozostał sam. „A jednak ja lepiej całuję od ciebie" — powiedziała. Czy niema słuszności. W pamięci błąkają się wspomnienia szalonych nocy wspólnie przeżytych. Cylka sypia teraz w jego domku. Jest wstydliwa i śmiała jednocześnie. W ciemności zrzuca z siebie suknię i rękami szuka głowy męża. Znajduje jego usta:

— Mój, mój, mój jedyny...

— Tylko twój, Cylko.

Zębami wpija się w jego usta, aż Sasza gniewa się, dobrotliwie strofuje ją:

— Wszak powiedziałeś sam, że mój...

— Więc co?

— Więc wolno mi gryźć.

Obejmuje go jeden płomień wielki i niespokojny; całuje go i pieści. Odbiera mu możność myśli, odbiera mu siły. Przyszła doń z głębokiego lasu. Słońce letnie i wichry jesienne pieściły jej ciało: ramiona jej są, jak gałęzie, mocne, a żywicą pachną włosy... Zęby ostre, wargi czerwone, a ciało prężne i gorące... Ilekroć budzi się Sasza o świcie, kiedy przez szpary okiennic sączy się wąskie pasmo światła, przygląda się długo śpiącej u jego boku Cylce. Rozrzucone włosy na poduszce, niby sierść zwierzątka leśnego... Duma rozpiera serce Saszy. W takiej chwili zdaje mu się, że oto dotarł do jądra najpierwotniejszego życia i że je ma tuż przy sobie...

Długo, wilgotnemi oczyma przyglądał się Cylce. A ona poruszy się we śnie, ręką błądzi po poduszce, znajduje pukiel własnych włosów i śpi dalej spokojnie.

Młoda i dzika, naiwna i poważna. Trzeba ją uczyć — gdy przyjedzie do miasta — myśli Sasza.

Lecz myśl tą odrzuca. Podoba mu się Cylka, taką, jaką jest. Nie będzie jej tresować.

Czasami wykrada się o świcie z izby, podchodzi do strumyka i do sosen bliźniaczych, które tak lubi Cylka. Pali papierosa za papierosem i przygląda się zasmuconym drzewom. Z lasu dochodzi odgłos strzałów i przypomina sobie Sasza, że to teraz pora polowań. Jakże zazdrości myśliwym, którzy ze strzelbą na ramieniu błądzą samotnie po lasach...

„Bodaj — tak, tak żyć!“ Maluje sobie w myśli idyliczne obrazy, i po chwili przyznaje sam: „Mało ciekawe“.

Gdy wraca do domu, spostrzega, że ciotka już wstała. Nosi wiadro z wodą do obory. Jak na szkielecie, wiszą na niej suknie, czepek przekrzywiony — jakoś o świcie wygląda załośniej, budzi litość. Dostrzegła Saszę. Zawstydziła się i szybko spieszy do obory i z obory już zawoła:

— Śpi jeszcze dziecko?

— Tak ciotko.

— Ech, chłopcze, ech! — wzdycha.

— Czego wzdychasz ciotko?

— Trzeba już do miasta jechać, chłodno jest, zabrałeś mi Cylkę i teraz nikogo już nie mam...

Wpadła mu dobra myśl do głowy:

— Jedźcie z nami, ciotko! Będzie wam dobrze u nas, a i Cylce będzie raźniej...

— Nie, Saszeńko, resztę życia przepędzę już w Mścibowie, a muszę wszak Isarowi usłużyć... Nie, Saszeńko...

Rozmowa ta toczyła się w sposób oryginalny: ciotka wciąż stała w obórce i Sasza wie, że nie opuści jej, póki on nie odejdzie.

Wraca więc do strumyka i w myśli śmieje się do siebie:

Ciotka tak komicznie wyglądała, jak oskubana kaczka i nazywa go przytem swoim „Saszeńką“ Wraca Sasza do domu. Cylka śpi, więc budzi ją śpiewem:

— Odtwórzcie więzień wrota.

Dajcie mi jasność dnia...

Lecz miast wrót więziennych, otwarły się oczy Cylki. Ocieniały jej włosy złote. Odgarnęła je szybko i dwoma płomieniami źrenic paliła Saszę...

Tylko na obrazach wielkich mistrzów widział takie kobiety.

— Sasza — rzekła — śniło mi się, że jesteś Frojke...

Frojke, znów Frojke. Wieleż to razy wspomina go Cylka. Rozgniewało to Saszę, ale udaje, że nie słyszał, co rzekła. Podchodzi do jej łóżka

i pieści ją czule. W pokoju jest jasno, ramiona Cylki są białe i prężne, młode piersi wstydliwie kryją się pod koszulą.

— Czego przyglądasz mi się, Sasza...

— Nic... Jeno...

A owo „nic“ jest wszystkiem. Owo „nic“ łączy ich ramiona i usta, i zęby uderzają jedne o drugie.

Westchnął las. A po kilku chwilach, nawiązuje się pomiędzy nimi następująca rozmowa:

— Sasza, nie jedźmy wcale do miasta, tak mi czegoś straszno!

— Czegóż się boisz dziecinko, przecież ja będę przy tobie!

— Kiedy wytną nasz las, Sasza, pojedziemy do innego lasu, a gdy się nam dziecko urodzi, niechaj sobie żyje, jak wiewiórka, niech sobie buja swobodnie po lesie... Nie jedźmy, Sasza:

— Samaś dziecko i myśli masz dziecinne...

— Tak się lękam...

Ten lęk żcałował Sasza z jej wystraszonych oczu i wygonił z serca ciepłemi słowami. Lecz męczy Saszę ów niepokój Cylki, tembardziej, iż sam czuje jego uzasadnienie...

Szulim ze smolarni powrócił z miasta i dobija się do drzwi. Przywiózł z miasta listy i bryczkę, na której odbędą podróż do Grodna.

— Całe miasto oczekuje waszego przyjazdu, o niczem innem się nie mówi, jeno o waszem

małżeństwie — taką wiadomość przyniósł Szulim ze smolarni.

Drgnął Sasza na dźwięk tych słów. „Miasto, ludzie, wesele"... Co to obchodzi ludzi... Pokochał dziewczynę... czy to temat do rozmowy?

A może Cylka ma słuszność? Może pozostać raczej w lesie? Głupstwa. Słońce świeciło radośnie i odrazu Sasza poweselał.

— Ciotko! — zawołał Sasza —

— Co, dziecko? — wychyliła głowę z za drzwi ciotka.

„Dziecko" — jest głodne — powiedział o sobie. „Szykujcie szybko śniadanie", a jednocześnie przynaglał Cylkę do pośpiesznego wstania. Cylka odpowiedziała mu piosenką, której nauczyła się w Mścibowie:

— Co mówi świat, co mówi świat,
że dziewczę pieniądz kocha...

Jedli razem śniadanie, a ciotka opowiadała, że już spakowała większość rzeczy, aby odesłać je do Mścibowa...

— Jak to będzie wyglądał las bez swych mieszkańców, jak my będziemy żyć bez lasu...

Przy tych słowach Cylka podeszła do okna i otworzyła je naoścież:

— Szkoda opuszczać lasu. Spójrz, jak zasmuciły się drzewa...

— Czas, dzieci, pomyśleć o wyjeździe... Gdy rozpocznie się pora deszczów, pluchy i błota, trudno będzie stąd wyruszyć.

Tak powiedziała ciotka Necha:

Lecz jeszcze nie czas było na deszcze, wiatr jeno gonił obłoki po niebie. Deszcze omijały las, tylko drzewa od wiatru kołysały się w tę i ową stronę, strząsając ze siebie żółte igły, szyszki i opuszczone gniazda. Drzewa, przez lato, jakgdyby zastygłe w majestacie ciszy — teraz szeptały we dnie i noce nieznane tajemnice — strumyk toczył niespokojnie swe wody.

W taki to dzień niespokojny i wietrzny, otuliła się Cylka w grubą ciotczyną chustkę, wzuła trzewiki, zaś Sasza odnalazł swój szary kapelusz. Poszli do lasu, w stronę drwali. Przeraziła ich cisza lasu. Zwykle o tej porze jęczały podcięte drzewa, skrzypiały piły, uderzały z hukiem topory. Zastali drwali zebranych w lesie — nieopodal leżały siekiery. Co się stało?

Las zażądał ofiary. Drzewo podcięte upadło gwałtownie, nim jeden z robotników zdążył się usunąć i przygniotło go ciężarem. Oto leży tu, zmiażdżony, pokryty świeżą ziemią i mchem. Tylko nogi bose wyglądają z pod całuna zielonego. Drzewa wokół, opryskane są świeżą krwią i ta mocna czerwień wdziera się lękiem do serca. Wokół żegnają się ludzie, las milczy. Cylka wtuliła się głębiej w chustkę ze strachu i zimna.

Gniew jakiś, jakowaś złość zamieszkała w lesie razem z wichrem jesiennym i śmiercią. Gdy wracali, słuchać już było miarowe uderzenia siekier.

„Harr, harr“

Zginął człowiek, lecz zostali inni ludzie. Las trzeba wyrąbać, las jest sprzedany.

Kiedy po powrocie opowiedzieli ciotce o wypadku, splunęła trzykrotnie i mruknęła coś do siebie. Cylka słyszała: „Czy to aby nie zły znak?“

Noc zapadła dziś wcześniej, niż zazwyczaj. Coraz więcej zbierało się chmur na niebie — wicher wył przeciągle. W nocy padł deszcz i nagle wszyscy posmutnieli. Cylka spędziła noc niespokojnie, zrywała się ze snu i mówiła do Saszy:

— Nie zostawisz mnie samej...

Sasza uspakajał ją opowiadaniem, jak w mieście nie znać jesieni, jak to w mieszkaniach palą się duże lampy wieczorami. Powrócą z za zagranicy rodzice i jego siostra, pokochają Cylkę i będzie jej dobrze.

Czuła go przy sobie tak blisko, słyszała jego słowa pieszczotliwe i dobre — uwierzyła mu Cylka i spała spokojnie.

Rano zbudziła ich ciotka:

— Czas, dzieci, w drogę! Rzeczy już spakowane, deszcz nie ustaje...

— Pojedziemy — ucieszył się Sasza.

— Już? — zapytała Cylka, otwierając z przestrachu oczy i serce zabiło jej mocniej.

Ciotka pomagała im przy pakowaniu resztek rzeczy. Chłodno było w lesie, przez ciężkie obłoki pokazywało się jednak chwilami słońce. Przez cały dzień kryło się za chmurami i coraz to wy-

pływało na niebo. Cylka uprosiła, aby pozostać jeszcze ostatni dzień! Pojedzie jutro, tylko ten dzień jedyny jeszcze pozostanie w lesie. Sasza zgodził się na kaprys Cylki—pojmował ją doskonale. Cały dzień błądzili po lesie, wyszli na szosę.

— Czy naprawdę wytną las? Nie zostanie ani jednego drzewa? I mnie tu nie będzie?

— Będziesz mieszkać w Grodnie.

— A ty będziesz zawsze obok mnie?

Nie miał nic złego na myśli, a przecież ilekroć Cylka powie „zawsze“ — coś go w sercu zakłuje.

— Zawsze, zawsze, jestem przecież twój.

Nazajutrz rano zaprzężona bryczka oczekiwała ich przed domem.

Szulim siedział na koźle. Chłodny, niemiły wiatr kołysał drzewa w lesie. Ciotka miała oczy zapłakane; Cylka płakała również, nawet żona dozorcy szosowego, która przyszła pożegnać Cylkę, wycierała wciąż oczy fartuchem.

Zginane wiatrem, drzewa żegnały Cylkę. Wreszcie te westchnienia, łzy i lamenty wyprowadziły z równowagi Saszę.

— Można jechać, co, Szulim?

— Wio!

Cylka niespokojnie kręciła się na siedzeniu. Koń ruszył galopem i oto z oczu jej zniknęły ciotka, dom, obórka. Miedziane sosny, stojące w ordynku, wyprostowały się na jej pożegnanie.

— Sasza—pytała chlipiąc—już tu nie powrócę?

— Lasu nie stanie za miesiąc — rzekł Sasza i samemu mu jakoś markotno. Chlipie Cylka cicho. Nagle podnosi głowę i zacznie snuć wspomnienia:

— Ot, na tym miejscu całował Frojke cygankę, pamiętam, jak tu leżeli: ona bosa, a on w butach z cholewami.

Sasza zauważył, że to wspomnienie odwróciło jej uwagę od wyjazdu, podnieciło nawet, specjalnie więc podtrzymywał rozmowę o Frojku i cygance.

— A co z nim się dzieje, z Frojke?

— Pije. Ciotka go nie znosi, ojciec nie może nań patrzeć, tylko dziewczyny w Mścibowie przepadają za nim.

Na szosie podmuchy wiatru były tak silne, że nie można było prowadzić rozmowy.

Sasza zamknął się w sobie. Jego pobyt w lesie, ślub z Cylką z lasu, wydał mu się, jakgdyby bajką. Oto wdarł się do lasu i wraca z żoną. A teraz jedzie z nią do Grodna, do ojca i matki.

VIII

TO CO NAJWAŻNIEJESZE...

Wielki jest dom Lurjów, pokoje duże i liczne. Cylce po przyjeździe wydawało się, że łatwo w nich można zabłądzić. Lampy i obrazy na ścianach okryte były płótnem i papierami, gdyż podczas nieobecności państwa — nie powinny były się niszczyć. Sasza wydał polecenie, aby mieszkanie doprowadzić do porządku i kilka dni pod rząd, krzątali się obcy ludzie po pokojach sprzątając, kurząc, czyszcząc.

Cylka nie mogąc znaleźć sobie miejsca, spacerowała wciąż po pokojach. Nie opuszczała Saszy ani na krok, zaglądała mu w oczy.

Tęskniła do lasu. Sasza spostrzegł to odrazu, lecz sądził, że przyzwyczai się do życia w mieście.

Wiedziała, że odtąd zawsze będzie tu mieszkać, że życie innym teraz popłynie korytem, a przecież wciąż zdawało jej się, że powróci lada

dzień do lasu i do ciotki. Bolą ją nogi od trzewików, do których nie przywykła. Ale nie powie o tem Saszy — wyśmieje ją. Sasza jest w sąsiednim pokoju, wydaje służbie rozkazy. Na chwilkę Cylka została sama. Przed oczyma jej wypływają wspomnienia sosen: jedna, druga, trzecia. Oto już cały las wyrósł. A po cichym lesie chodzi sobie Cylka... Dokąd dziś pójdzie? Do folwarku, do Prudna. Tam jest ogród piękny i ścieżki wysypane żwirem, pałac z bielonemi gzymsami i córka dziedzica w ślicznych, powiewnych sukienkach. Mieszka stale w Petersburgu tylko czasami, latem przyjeżdża, chodzi po żwirem wysypanych ścieżkach i do nikogo nie przemówi. A pewnego razu, gdy Cylka patrzała na nią przez sztachety, zawołała ją dziedziczka i pytała, zkąd jest i do kogo przyszła? A potem kazała jej czekać, a sama z domu przyniosła deseczkę, obciągniętą płótnem, pędzle i farby i zaczęła malować obraz Cylki. Malowała długo, aż Cylkę nogi rozbolały i nudzić się poczęła, poprosiła ją więc, aby jej pozwoliła odejść. Cylka przyrzekła, że przyjdzie nazajutrz. Ale już więcej do Prudna nie przyszła: bała się, że znów ją nogi rozbolą. Teraz wydaje jej się, że piękna dziedziczka znów ją schwytała i że musi stać na jednem miejscu i pozować do obrazu. Lecz z Prudna udało się uciec. A dokąd teraz ucieknie?— myśli Cylka i nie wie, że od kilku chwil obserwuje ją Sasza. Oto wóz przejeżdża ulicą i głośno toczą się koła po bruku. Cylka jakgdyby zbudzona ze snu, dopiero teraz zauważyła Saszę.

— Tęskno ci, Cylko — i zaraz :—
Przyzwyczaisz się szybko. Rodzice powrócą z zagranicy, dom się ożywi, goście przyjdą.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do dużego uprzątniętego już pokoju. W dużem zwierciadle na ścianie odbija się pokój, a gdy Cylka wraz z Saszą siadają na miękkiej kanapie — zdaje jej się, że pada do dołu i wybucha śmiechem.

— Cieszy mnie, że śmiejesz się, Cylko. Przyzwyczaisz się wkrótce do naszego życia i będzie ci dobrze. Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do bogactwa.

Lecz Cylka go już nie słyszy, bo zauważyła w kącie fortepian i doń podbiegła.

— Nasza dziedziczka też miała taką skrzynię, tylko bronzową — i Cylka uderza palcami w klawisze.

Sasza cieszy się, że Cylka wreszcie znalazła zabawę, lecz w duszy pragnąłby, aby rodzina jego najprędzej powróciła. Przypuszczał, że matka i siostra użyczą trochę czasu Cylce i jemu będzie lżej.

Zmęczyło go już owo opiekowanie się Cylką, owa obawa przed każdym jej kaprysem.

Cylka jest niespokojna, to znów gniewa się, tu trzeba jej sprowadzić krawcową, to znów pomyśleć o jej trzewikach. Te drobiazgi w ciasnej sieci uwięziły jego serce, a chciałoby mu się nieco wolniej odetchnąć. Niechby już powrócili z zagranicy...

Na miasto nie wychodził prawie wcale, i tylko gwizd pociągu. albo czytanie gazety przypominało mu o istnieniu wielkiego świata. Ale nagle zjawia się Cylka i znów skarży się, że nogi ją bolą. Nie przywykła do miejskiego obuwia. Więc Sasza pomaga jej zdjąć trzewiczki i widzi, że na nogach ma rany od ciasnego obuwia.

— Żal mi cię, Cylko.

— Dlaczego ci żal?

— Bo jesteś, jak ptaszyna w klatce...

— Mówisz przecie, że się przyzwyczaję...

— Tak, napewno, do wszystkiego można się przyzwyczaić...

Zmierzch jesienny. Krwawo zachodzi słońce. Ciszę przerwie stuk kół po bruku, lub gwar rozmowy i znów cisza, a im się zdaje, że oboje się znaleźli w obcym, zaczarowanym pałacu, wśród obcych mebli i ścian. Potrzebna jest przyjaźń, oddanie. Głaszcze ją Sasza po głowie, tuli do siebie, a każda pieszczota sprawia, że Cylce zdaje się, iż jest w lesie.

A naraz Cylka zerwie się, jakgdyby zbudzona i pyta Saszę:

— Znów się zamyśliłeś? Powiedz o czem dumasz?

— Myślę, że stałaś się inną, Cylko, zwinęłaś skrzydełka...

— Skrzydełka? Nigdy ich nie miałam.

A Sasza całuje ją i mówi:

— A jednak dziecko, tam w lesie, tyle było życia w tobie...

— Przecież mówisz, że przywyknę...

— A chciałabyś przywyknąć?

— Tak, ale przyrzeknij mi, że pojedziemy kiedyś znów do lasu.

— Naturalnie, pojedziemy, nie tylko tam...

Ciemno już w pokoju. Wieczór zapada. Wśród pocałunków i pieszczot zasypiają oboje na miękkiej kanapie.

Kilka razy pukała już służąca, chcąc ich prosić na kolację. Ale „zakochani“ pogrążeni byli we śnie. Odchodzi z pod drzwi, wzrusza ramionami. Nie wie doprawdy, co o tem pomyśleć. Panicz chyba kpi, mówiąc, że ta wystraszona dziewczyna jest jego żoną.

Co to będzie, gdy starzy powrócą z zagranicy?

Pół życia spędziła tu na służbie u Lurjów, wierna im jest i oddana, lecz teraz nie wie, jak się zachować wobec panicza.

W mieście potwierdzają wiadomość, że „gość zagraniczny“ wziął ślub z dziką dziewczyną.

— Też mi szczęście. żona, córką — podwładnego.

— Zdaje się, że oszalał pierworodny Lurjów...

— Toż to sprawi uciechę rodzicom...

— A cóż dopiero matka! Taka dumna ze swej rodziny!

A jeśli komu udało się odwiedzić dom Lurjów — natychmiast zasypywano go pytaniami:

— Widziałeś ją? Jak wygląda?

— A Sasza czy wydaje się szczęśliwym?

Miasteczko znalazło wreszcie temat do plotek. Przechodnie podnosili głowy do góry, starając się choć przez okno wybadać tajemnicę domu.

A wewnątrz praca posuwała się naprzód, pokoje były już uprzątnięte, lada dzień oczekiwano przyjazdu Lurjów.

Tymczasem okna w pokojach zawieszono ciężkiemi firankami.

Cylka też oczekiwała z niecierpliwością przyjazdu rodziców. W sercu żywiła lekką obawę.

A Sasza wciąż uspakajał swą żonę:

— Powinnaś się czuć tu, jak u siebie w domu. To jest dom mego ojca, a tem samem — mój dom.

A przecież jakże jej tu obco. Boi się dotykać cacek, chodzi na końcach palców po pokoju.

W tym domu czuje się jak w więzieniu. Na ulicy już chłodno, a Sasza niechętnie wychodzi z nią na miasto, ucieka od plotek ludzkich.

Mijają dni pochmurne, deszczowe. Przybladła twarzyczka Cyłki.

A co słychać w Mścibowie? Co porabia ciotka Necha?

A co w Swisłoczu? Ojciec ponury i milczący...

Z lasu nie wiele już pozostało: strumyk wyschnie i Cylce już nigdy w życiu tak dobrze nie będzie, jak kiedyś... Sasza zajmował się „gospodarstwem". Nigdy w życiu nie myślał, zajmo-

wać się takiemi drobnostkami. Wszystko to było ofiarą dla Cylki... A przytem chciało się jakoś znaleźć uspokojenie dla siebie, dla robaka, który we wnętrzu...

W mieście już mówiono:

— Zmienił się Sasza Lurje...

— Zerwał z dziwactwami...

— Na starość zmądrzał...

— Nie dziw, oczekuje go taki spadek...

— Ożenił się i z domu nie wychodzi...

Pewnego wieczora rozległ się gwar przed drzwiami mieszkania Lurjów. Obudzili się ze snu: Cylka i Sasza.

— Co się stało? — zapytała przerażona Cylka.

— Rodzice przyjechali.

— Będą się na mnie gniewać, Sasza?

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo ja jestem obca...

— Spij dziecinko, a ja przywitam się z ojcem i matką.

Cylka pozostała sama w pokoju, ale nie mogła usnąć. Z sąsiednich pokojów dochodziły ją odgłosy rozmowy. Zrozumiała, że mówią o niej i oblał ją zimny pot lęku. Spojrzała ku oknu: może uciec stąd od obcych ludzi? Uciec, ale dokąd? Las już wycięty, milczący, ojciec daleko — a żal opuszczać Saszę — taki jest dla niej dobry!

Oto znów jest przy niej, siadł na łóżku i gładzi jej włosy. Przerywa ciężką ciszę:

— Co powiedzieli twoi? Czy wiedzą już,

że tu mieszkam? Że zakradłam się do ich domu?

— Nie mów tak, Cylko, dom jest twój, tak samo jak i ich. Już cię polubili, będą dla ciebie dobrzy.

W ten sposób pocieszał ją aż do świtu. Rano wyszedł Sasza na kilka godzin do miasta. Zdarzyło to się poraz pierwszy, że Cylka pozostała sama. Przyniesiono herbatę, przyczem służąca nie obrzucała już jej tak nienawistnem spojrzeniem, jak dotychczas. Kilka razy doprowadzała do porządku swe niesforne loki i przeglądała się w lustrze. Nagle drzwi się otwierają i do pokoju wbiega, wesoła, świeża gimnazistka — siostra Saszy — Hela. Rzuca się na szyję Cylce i z ust jej płynie istny potok słów:

— Będziemy się kochać, jak siostry, prawda Cylko? Wszyscy u nas będą cię kochać. Nie wiesz wcale jak pragnęłam, żeby Sasza się ożenił. I wszyscy w domu pragnęli tego. Ojciec już się cieszy, a matka też niedługo będzie zupełnie zadowolona. Cylko, Cyleczko!

Zupełnie, jakgdyby znały się od lat. O czem to wszystko nie opowiedziała Cylce? O podróży swojej, o zagranicy, o gimnazjum, gdzie zaraz musi spieszyć, bo już od kilka dni rozpoczęły się zajęcia. Cylka nie wszystko zrozumiała z tej masy słów, ale na sercu zrobiło jej się raźniej. Po odejściu Heli do pokoju wszedł stary Lurje, jeszcze bardziej zaokrąglony w kształtach, po powrocie z wywczasów. Podszedł do Cylki, chciał ją ucałować, lecz Cylka uciekła do kąta przerażona.

— Czego uciekasz, kózko, jestem od teraz twym ojcem, a z ojcem należy się całować — a potem, ciężką dłoń oparłszy o jej ramiona, mówił:

— Mój syn mieszkał w moich lasach i schwytał tam ptaszka, ślicznego ptaszka, dzikiego. Będzie ci u nas dobrze, Cylko...

Tymczasem Sasza wrócił z miasta i stary Lurje zauważył, że jego syn nie rozstał się dotychczas ze swym starym kapeluszem...

— Teraz mógłbyś już zmienić kapelusz...

— Dlaczego teraz...

— Skoro się ma już żonę...

Do pokoju weszła wyspana i uczesana świeżo pani Lurje. Spojrzała wokół siebie spokojnie i bez wzruszenia podeszła do Cylki; ucałowała ją.

— Rozumiem teraz mego syna, doprawdy jesteś śliczna. — Znać było, że dokładała starań, aby zachować spokój.

Jeszcze wczoraj, podczas rozmowy z synem pod adresem Cylki padło niejedne złe słowo.

Lurje ucieszył się, słysząc ton, jakim przemawia Sasza do żony. Czuło się w nim miłość i oddanie, a skoro Sasza pokochał kogoś głęboko, może zmieni teraz postępowanie? Cylka wciąż z przerażeniem jednakowem oglądała obcych ludzi. Pragnęła, aby tylko Sasza pozostał przy niej, a on dodawał jej odwagi.

— Więcej radości, Cylko, tak jak w lesie!

Po chwili matka opuszcza pokój i wraca, niosąc sznur pereł.

— Oto upominek dla ciebie, Cylko!

Cylka przyjęła sznur pereł, obracała go w ręce, nie wiedząc, co z nim począć. Pani Lurje włożyła jej perły na szyję.

Kilka nowych, bladych promieni, rozświetliło twarz Cylki. Od tego czasu Cylka otrzymywała mnóstwo podarunków od wszystkich. Polubiono ją w rodzinie, zachwycano się jej urodą, jej wdziękiem. Pieszczono ją, a ona pozwalała sobą się bawić. Nastąpił okres sukienek, klejnotów, cacek, wszelakiego rodzaju fatałaszków. Biedzono się nad jej uczesaniem, nad niesfornemi lokami, które nie chciały być posłuszne ówczesnej modzie. A najwięcej interesowała się Cylką, siostra Saszy, Hela:

— Czy urodziłaś się w lesie?

— Tak — mówi Cylka.

— Więc opowiedz coś o lesie.

A Cylka opowiadała o ciotce, o Mścibowie, o Prudnie, lecz nagle urywała opowiadanie.

— Kiedy niema, co więcej opowiadać o lesie. Stoją drzewa, zawsze milczące i strumyk bieży...

— A Frojke — niecierpliwiła się Hela. Niejednokrotnie w opowiadaniach Cylki przewijało się jego imię i Hela chciała się wszystkiego o nim dowiedzieć.

— Chyba jest piękny...

— Chciałabym go poznać.

A sama opowiadała Cylce, co działo się w

gimnazjum. Słuchała Cylka i uśmiechała się milcząco. Zdawało się, że myślami jest daleko od tego domu i od tych opowiadań dziewczęcych.

Często przychodzili do Lurjów goście, albo dalecy krewni i wówczas Cylka czuła ciekawy wzrok na sobie i słyszała pytanie wypowiedziane szeptem:

— Czy to jest wasza synowa? Doprawdy... z lasu?

A w mieście już opowiadano sobie o urodzie Cylki i o tem, jak ją polubili w domu Lurjów.

— Lecz Sasza wciąż nosi szary kapelusz...

— Takiemu prędko uprzykrzy się najpiękniejsza żona...

Mówiono to i owo w długie wieczory jesienne, lecz Cylka nie znała ludzi z miasteczka. Otoczona niespodziewaną miłością, przywiązała się szybko do wszystkich w domu Lurjów.

Zaś Sasza czuł się szczęśliwym z podobnego obrotu rzeczy. Im więcej przebywała Cylka w towarzystwie jego rodziny, tem rzadziej była z nim, a on miał znowu sposobność do spędzania samotnych, długich godzin na miękkiej kanapie. Dumał. Najczęściej o sobie, o Cylce, o tem, w jaki to sposób stało się, że pewnego dnia, oddał swą wolność dziewczynie z lasu. Stało się. Na żale już zapóźno.

Zaś Cylka w lesie pozostawiła tyle ze swojego wdzięku, pomiędzy drzewami, gdzie echo trzykrotnie powtarzało jej głos: tyle życia było

w jej sylwetce. taki urok bezpośredni w podartej sukienczynie, tyle promieni rzucały jasne oczy w ciemne zakątki lasu. Teraz...

Musi przyznać: owe nici, któremi oprzędły go zielone igły sosen, echo leśne i szmer niespokojny strumyka, owe nici, które omotały jego duszę — przerwane zostały... Przerwane wraz z końcem lata...

Teraz są mężem i żoną. Sypiają w jednym pokoju, a ona, naiwna, wciąż jeszcze robiła nadzwyczaj trafne spostrzeżenia.

— Czy wiesz?

— Co najdroższa?

— W lesie były pocałunki gorętsze...

— Ty figlarko! — obrócił wszystko w żart, ale potem uświadomił sobie, że w lesie, doprawdy, pocałunki były gorętsze. Chwilami zdawało mu się, że spłonie w ogniu jej namiętności. Teraz...

Stare książki, o których dawno już zapomniał, stały się jego najmilszą lekturą. Czytał i czytał, a kiedy czytanie zbytnio go nużyło, leżał godzinami na kanapie z oczami utkwionemi w sufit i ćmił papierosy.

Nawet stary Lurje był zaniepokojony obecnym stanem Saszy.

— Ożenił się, a jednak nie zmienił się wcale.

Sasza nie odpowiadał na uwagi. Czuł się winnym. Trudno, pozostanie już wiecznie tym przeklętym próżniakiem

Z sąsiedniego pokoju dochodzi śmiech Cyl-

ki. Niech się śmieje. Przyniesiono jej nową zabawkę, więc się ucieszyła.

Cylka odbywa edukację dobrego tonu. Uczą ją, jak się ma zachowywać przy stole. Otoczona miłością i sympatją — od czasu do czasu dostaje istnych napadów lęku i niespokojnie ogląda się wokół siebie. Szuka Saszy.

Znajduje go w sąsiednim pokoju.

— Sasza — nie bądź takim...

— Co znaczy „takim"

Nie wie, jak mu objaśnić, język plącze się, smutek osiada na obliczu.

A Sasza zrywa się, jakgdyby ze snu, przypomina sobie, że nie wolno zapominać mu o obowiązkach. Wszak ma żonę. Był z nią u rabina w Mścibowie.

Cylka z lasu ma prężne i mocne ramiona i naiwną duszę. I tyle dała mu szczęścia, podczas miesięcy ubiegłego lata. Przywiózł ją z lasu do miasta, do swego domu, a wszyscy wokół słowem i gestem zdają mu się nakazywać, aby kochał Cylkę. Cylka jest w życiu jego najważniejszą...

To, co najważniejsze...

Patrzy mu w oczy, tuli go w ramionach, mówi doń, budzi, nie pozwala ani na chwilę pozostać samemu ze swemi myślami. I żąda miłości, przywiązania, czułości i pieszczot i słów...

Niechaj mówi, niechaj jej coś opowie.

Dobra, odważna i naiwna Cylka! Czy nie oddała mu całego życia i czy niema prawa żądać

teraz dla siebie tego samego?

Lęka się Sasza, gdy dojrzy w sobie zniecierpliwienie lub złość i zamiast gniewu, słyszy Cylka słowa uspakajające jego i ją.

Wystarczy, gdy spojrzy jej w oczy, poczuje ciepło jej ciała i wnet zapomina o wszystkiem. Zdaje mu się, że znów jest w lesie. Wspomnienia nocy wspólnych, pachnących żywicą włosów Cylki ożywają...

— Zdawało mi się przed chwilą, że jesteśmy w lesie...

— I ja miałem to wrażenie, Cylko!

— Chyba już wszystkie drzewa wycięto...

— Możliwe...

— I wyrąbali sosny bliźniacze?

— A ciotka Necha chyba tęskni za mną...

— Starzy ludzie lubią łzy...

— A ojciec? Czemu ojciec tu nie przyjeżdża?

— Zdaje mu się, że zawinił względem pryncypała, jakgdyby on brał ślub ze mną, a nie ty.

Cichutkie westchnienie wyrwie się z piersi młodej kobiety i zamiera w ciemnościach pokoju.

Sasza zadumał się. Nagle rozlega się głośne wołanie Heli:

— Cylko! Cylko!

Cylka biegnie na spotkanie swej nowej przyjaciółki, a Sasza pozostaje sam.

Na ulicy pada śnieg, zmieszany z deszczem. Skurczyło się jakoś miasteczko, wraz z kramika-

mi i ludźmi. Wszyscy stają się dokuczliwymi: ojciec, który podwoił pretensje i matka, wciąż strojąca się w biżuterję.

W taki posępny przedwieczerz wyszedł Sasza na miasto i jął przemierzać ulicę Soborną. Nagle do uszu jego doszło uderzanie kul bilardowych.

Wszedł do kawiarni, przyjrzeć się, jak koledzy jego grają w bilard.

I od tej pory, zaczął Sasza bez pamięci grać w bilard.

— Gdzie Sasza?

— W cukierni.

— Co robi?

— Gra w bilard.

Kije bilardowe, kreda, zielony stół, podzielony na pola — pochłonęły całkowicie jego zainteresowanie.

W domu zauważono już nową namiętność Saszy. Ojciec próbował użyć najsilniejszego argumentu: — Sasza, zostawiasz samą i bez opieki Cylkę?

— Więc co z tego? Czy mam ją wszędzie ze sobą zabierać?

— Sasza, stajesz się pośmiewiskiem ludzi...

— A ja śmieję się z nich.

Zapalał cygaro, wkładał szary kapelusz i szedł do cukierni.

A z kim grywa Sasza? Z ludźmi o podejrzanej konduicie. Z pijanym urzędnikiem, ze

szwajcarem hotelowym i Bóg wie z kim jeszcze?

— I poto trzeba było kończyć nauki zagranicą?

— I być jedynakiem bogacza?

— Ożenić się z niewinną dziewczyną z lasu?

Plotki krążyły wciąż w miasteczku. A Sasza, jakgdyby na złość wszystkim, oddawał się grze coraz namiętniej, coraz goręcej. Partnerzy jego osaczyli go ze wszystkich stron: nie codzień spotyka się przy bilardzie taką zdobycz.

W domu, oburzenie na Saszę nie miało granic. Przed Cylką starannie ukrywano przyczynę nieobecności Saszy.

— Siedzi w biurze u ojca i pomaga w pracy...

Sasza potwierdził ten wymysł, gdy go razu pewnego pytała czemu tak dużo pracuje?

Dręczyły go potem wprawdzie wyrzuty sumienia: skłamał i przed kim? Przed Cylką, która mu wierzyła i ufała bez granic. Kłamstwo to upokorzyło go przed sobą samym. Coraz częściej wymykał się z domu, uciekał przed sobą...

Z każdym dniem minionym, z każdym miesiącem, umierały wspomnienia z lasu, coraz mniej pozostawało chwil oszołomienia.

Cylka... Jest wciąż ta sama. Ale nie zawsze chce mu się z nią rozmawiać. Czasami zdaje mu się, że jest nierozumną, maleńką dziewczynką. A przytem znudziło się: wyszukiwać specjalnych wyrażeń w rozmowie, aby wszystko pojęła, zaspakajać jej kaprysy.

A nagle ogarnia go wielka żałość: nic przecież nie zawiniła biedna Cylka. Śpiewa wówczas, gra dla niej na fortepianie, całuje ją gorąco, jak kiedyś, obnosi ją na rękach po mieszkaniu.

Ojciec i matka radują się ich szczęściem.

A Sasza przeklina Grodno i jesień ponurą. Czeka okazji, aby uciec stąd, porzucić dom i miasteczko. I oto biegnie szybko po ulicach do cukierni. W długich kijach odbija się słaby blask światła. Zielony stół — niby szmat łąki — kusi, a ciężke kule, toczące się, uderzają o siebie stukiem tępym, głośnym, zagłuszającym myśli i wyrzuty sumienia. Czasami pozostaje tam do późna w nocy, a Cylka zapytuje wciąż domowników:

— Dlaczego pracuje tak ciężko Sasza? Czemu wraca tak późno?

Posyła się więc do cukierni służącą. Cylka jest niespokojna.

— Cylka? Czego chce Cylka? Kto wogóle, może zmusić go do powrotu? — rzuca kij i zły, zmęczony, wraca do domu:

A kiedy Cylka zapytuje go w pokoju sypialnym, czemu do tak późna pracuje w biurze— opowiada jej prawdę:

— Jakie biuro? Nie chodzę wcale do biura w bilard gram — rozumiesz?

Lecz Cylka nie wie, co to bilard. Rozgniewany i rozśmieszony jednocześnie opowiada jej tajemnicę kul białych, kijów i zielonego stołu.

Zamyśliła się Cylka i naraz gniew ją ogarnie.

— Dlaczego mnie nie zabierasz ze sobą? Grałabym z tobą i nie tęskniłabym tak strasznie, przez cały dzień...

Coraz częściej Cylka szukała Saszy po domu, coraz częściej wymykał się Sasza do cukierni. Gdy go znaleźć nie mogła, zamykała się w swoim pokoju i siadywała przy oknie.

Czemu w lesie był dla niej taki dobry — myśli Cylka.

Dlaczego teraz ucieka z domu? Ulica pokryta jest śniegiem i Cylka wspomina minione zimy, ścieżki, które sama musiała wydeptać z lasu do Mścibowa, biel pól dookolną, zamknięte drzwi domostw, które buchały parą, gdy je otworzyć, pierze, dziewczęta i piosenki...

Serce jej bije na myśl o tych uciechach, a tu w Grodnie jest tak ciasno i smutno. Nakupiono jej sukien i trzewików, kochają ją. Stary Lurje często głaszcze ją po włosach i mówi:

— Dziewczynka z lasu złapała w sieci mego jedynaka...

— Ktoby się był tego spodziewał!

A Hela, jak wicher, wpada do pokoju i całuje ją gorąco...

Tylko Saszy wciąż niema. Nie żegnając się z nikim, wykrada się z domu.

Nie śmie mu nikt czynić wyrzutów!

Już od lat najmłodszych nie znosił Sasza, aby mu uwagę zwracano na niewłaściwe zachowanie się. Wpada w złość, a wówczas cały dom

ogarnie żałoba, jakgdyby chmury zebrały się nad domem Lurjów.

Pewnego dnia włożyła Cylka swą nową szubkę zimową.

— Dokąd idziesz? — zapytała ją p. Lurje.

— Na przechadzkę...

— Oswoiła się — pomyślała matka Saszy— sama na miasto idzie...

Lecz Cylka postanowiła znaleźć Saszę. Łatwo jej przyszło dowiedzieć się, gdzie jest cukiernia. Weszła do dużej sali, ciemnej od dymu papierosów, gdzie Sasza w otoczeniu innych mężczyzn stał z kijem bilardowym w dłoni.

Nie zauważył jej w dymie unoszącym s ę po sali. Wreszcie ujrzał ją, stojącą przy drzwiach.

Oczy jej ujrzał nagle — jasne, promienne oczy, które nie należały jakgdyby do postaci kobiecej w miejskiem odzieniu. Las...

Lato, lato minione spojrzało na Saszę błagalnie, strofująco i rozkazująco. Pozostali gracze obejrzeli się za siebie.

— To jego żona — szepnął jeden.

— Śledzi go — powiedział drugi.

— Poco się ożenił głupiec?

Sasza udawał, że nie słyszy uwag. Znalazł się w przykrej sytuacji: jego męska ambicja była zadraśnięta. Nie chciał pokazać, że jest zależnym od kogoś, że można mu przeszkodzić w jego zamiarach...

Lecz Cylka nadal patrzała nań błagalnie i rozkazująco. Nie wiedział, co robić: przerwać grę czy nadal uderzać kijem w kulę?

Stała wciąż przy drzwiach, objęła spojrzeniem salę i ludzi, naraz odezwała się do Saszy!

— Graj Sasza, ja się będę przyglądać!

Zadrżał kij bilardowy w ręku Saszy.

— Jutro skończę partję — powiedział gniewnie i włożył palto.

Wyszli razem — milcząc. On?— wściekły, ona zalękniona. A im oddalali się od cukierni, im dłużej przeciągało się milczenie — tem wzrastał gniew Saszy. Nagle wyrwało mu się z ust zdanie, którego potem żałował długo.

— Czego się przyczepiłaś do mnie? Czego wogóle chcecie ode mnie?

— Co? Co?

Nie zapytała, tylko otworzyła szeroko oczy pytające. Do niej to odzywa się w ten sposób, mówi tak podniesionym głosem? Stanęła nieopodal domu Lurjów. Stanęła, jakgdyby skamieniała. Ani słowa, ani jednej łzy.

Białe płatki śniegu osiadały na jej kołnierzu, na plecach Saszy, na dachach domów. Padały lekko, tańczyły w powietrzu. W lesie, o tej porze, pada chyba też taki cudny, biały śnieg. Cylka lubiła godzinami wystawać na ganku i wsłuchiwać się w białą ciszę lasu.

Sasza spojrzał na zasmuconą Cylkę i znów ciepła litość objęła jego serce. Czemu wyrządził jej krzywdę, skoro nic nie zawiniła?

— Wróćmy do domu, Cylko!

Patrzyła przed siebie w ulicę i milczała. Sasza wziął ją pod ramię i zaprowadził do domu. Spędził przy niej cały wieczór. Próbował ją rozweselić, pocieszyć, wzruszyć. Ustami szukał jej ust — lecz były one chłodne, jak lód. Poczuł Sasza, że coś zamarło w duszy Cylki i ta jej obojętność nagła, nie minie bez śladu! Nie jedli kolacji i nie kładli się tej nocy do łóżka. Cylka spała na kanapie, niespokojnie rzucając się we śnie. Sasza pogrążył się w myślach.

Minęła noc. Nazajutrz Cylka nie chciała z nikim się widzieć.

— Czy jest niezdrowa? Może zawołać lekarza?

Ledwo można ją było namówić, aby coś zjadła, nie chciała jednak usiąść z wszystkimi przy śniadaniu do stołu. Co raz to inny z dobrem słowem na ustach wchodził do jej pokoju, pocieszano ją, dopytywano o przyczynę smutku. Cylka nie odpowiadała. Niby kwiat, który uwiądł— przestała nagle się uśmiechać i oczy jej utraciły radosny blask.

— Co ci jest Cylko?

— Czego ci trzeba?

— Niczego...

Owo „niczego" było tak beznadziejne i pełne takiego bólu!

Pytano Saszę, czy ją obraził.

— Zdaje się, że powiedziałem zbyt głośno

jedno słowo... A teraz nie daje się przeprosić.

Nie poszedł na bilard, błądził po pokojach— zły, niezadowolony z siebie.

Godzinami siedziała Cylka przy oknie, patrząc na padający śnieg, którego biel wdzierała się w jej duszę. Widziała, jak pod nogami depczących go ludzi zamieniał się w czarne błoto.

O czem myślała w te długie samotne godziny? Nikt o tem nie wiedział, aczkolwiek smutek Cylki zawisnął ciężkim brzemieniem nad całym domem. Była tu kochana, jak dziecko i jej ból stawał się bólem domowników.

Lurje próbował nawet zażartować, że jabłko pada niedaleko od jabłoni: Cylka staje się w zaciętem milczeniu podobna do ojca.

A przecież przedtem jej śmiech radosny rozbrzmiewał po całym domu.

A jej zabawne pytania, które wywoływały burzę śmiechu?

Teraz nie opuszcza swego pokoju, nie chce włożyć nowych sukien, ani pereł, które otrzymała.

Isar dowiedział się, że źle się wiedzie jego córce — przybył do Grodna. Nie chciał przedtem pokazywać się na oczy staremu Lurje..

Stał teraz naprzeciw córki i stroskany patrzał na jej bladą twarzyczką.

— Tobie tu źle, dziecko? Przecież tak cię tu kochają!

Nic nie odparła, tylko duże łzy spływały z jej oczu.

Powrócił Isar do swych milczących łasów, lecz milczenie pozostało w domu Lurjów: Sasza siedział nad książkami w oddzielnym pokoju. Hela przestała śpiewać i nie podchodziła do fortepianu. Rodzice gniewali się na syna, a syn gniewał się na cały świat.

I zdawało się, że gdyby Cylka zechciała... Niechaj tylko wyjdzie ze swego pokoju i uśmiechnie się...

Lecz Cylkn milczała.

Jak obca, jak dumna w niewoli księżniczka, zachowywała się bosa dziewczyna z lasu, która przypadkiem dostała się do domu bogacza.

Nie raczyła przemówić do nikogo.

IX

W MŚCIBOWIE.

Dozorca szosowy, Iwan, często odwiedzał ciotkę Nechę, która mieszkała w Mścibowie, w domu Barasza. W domu tym były dwie duże wybielone izby.

Czysto i schludnie utrzymywała izby ciotka. Błyszczały naczynia miedziane na ścianach, stos białych poduszek wznosił się na łóżku.

Każdej soboty przyjeżdżał tu Isar, odbywał wspólne modlitwy w bóżnicy miasteczkowej, a potem wdawał się w dysputy z Baraszem. Cicho i bez trosk żyli staruszkowie — Isar i Necha.

A Cylka mieszkała „tam".

Lecz kiedy dozorca szosowy po raz ostatni odwiedził Nechę, spotkało go spojrzenie dwojga znajomych oczu. Pamiętał je od lat najmłodszych Cylka.

Skąd wzięła się tu żona Lurjego? Co tu robi, czemu jest tak blada?

Wyciągnął do niej ręce. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Necho — zapytał Iwan — co ona tu u was robi?

— Sza... odparła szeptem Necha.

Iwan na palcach wyszedł z izby. Zrozumiał, że jest tu teraz zbyteczny.

Dziesięć dni temu nagle przyjechała Cylka. Było to o zmroku: drzwi się otworzyły i Cylka, niby cień, wślizgnęła się do izby.

— Cylko! — zawołała ciotka. Zdawało jej się, że to sen.

Lecz prawdziwa Cylka stała przed nią. Rzuciła się na szyję i płakała w ramionach ciotki:

— Pocoś przyjechała? Co się stało?

— Uciekłam... Jest mi źle... Nie wrócę do nich nigdy...

— Ale dlaczego?

— Obce, obce, wszystko mi tam obce...

I nic więcej nie mogła powiedzieć.

Nazajutrz przyjechał stary Lurje. Sam przyjechał odnaleźć synowę, która wykradła się z domu i uciekła.

Opowiedział ciotce, że Sasza na czas krótki wyjechał do Petersburga w sprawie swoich papierów i że przed wyjazdem, zaszło pomiędzy młodymi jakieś nieporozumienie.

I od tego czasu Cylka stała się milcząca. Melancholijna.

Nie wkładała nowych sukien, nie cieszyła się podarkami. Nie jadła prawie wcale. I uciekła. Podszedł do Cylki, starając się ją uprosić, by wróciła do Grodna.

— Nigdy już do was nie powrócę...

— A Sasza? Czy nie chcesz go już widzieć?

Dziwnie się zadumała. Było piękne lato: spędzali noce nad strumykiem, leżąc w trawie wysokiej. Nosił, ją na rękach, mówił słowa najsłodszych pieszczot. Mijały dni... Śpiewał las... wtedy, wtedy...

Teraz siedzi zatulona w ciotczyną chustkę i patrzy na szyby zamarźniętą, na domki otulone białemi kołdrami, a za domkami widać las, a nad lasem szare niebo.

— A Saszy nie chcesz już widzieć? — jeszcze raz pyta ją Lurje.

— Nie wiem, nic nie wiem, nie chcę niczego. .

Potem, w drugiej izbie. Lurje coś cicho na ucho mówi ciotce. Po dwu dniach przyjeżdża poraz drugi, ale nie sam, w towarzystwie Heli. I oboje starają się przekonać Cylkę, aby do nich wróciła.

— Nie! — przeczącym ruchem głowy odparła i uśmiechnęła się do siebie cichutko i boleśnie.

Hela opowiada:

— Od Saszy nadszedł list, w którym donosi, że niedługo powróci do Grodna. Prosi, aby opiekować się Cylką i przyrzeka, że jak powróci

zabierze się do pracy i nigdy już nie obrazi Cylki...

Stary Lurje wychodzi i Cylka pozostaje sama z Helą.

— Przecież Sasza nie jest zły...

— Kocha cię...

— Zmieni się...

Lecz wracają do Grodna bez Cylki. A w miasteczku niepokój rośnie:

— Co się stało?

— Uciekła z Grodna...

— Uciekła od męża...

— Porzuciła taką fortunę...

O niczem innem nie mówiono w miasteczku, jakgdyby piorun nagle uderzył w białe dachy.

— Lurjowie, przyjeżdżają do niej, jak do królowej...

— Błagają ją...

Niechaj powróci na tron...

— Dziwna dziewczyna...

— Wychowała się w lesie...

— Nie zna się na dobrem...

Na dom Barasza spoglądano z nietajoną ciekawością. Lecz ciotka nie otwierała drzwi, ani sama nie pokazywała się na mieście.

Cylka powróciła z Grodna w połowie zimy. Dni były teraz zimne, lecz słoneczne a słońce odbijało się w śniegu i rozsypywało tysiącem brylantów.

O ucieczce Cylki dowiedział się wkrótce i Frojke. Już od pewnego czasu mieszka w domu Ojciec jeździł kilka razy do Wołkowyska, wreszcie udało mu się chłopca skłonić do powrotu.

Zmienił się Frojke. Zmężniał, spoważniał. Nie pije wcale. Nie zaczepia dziewcząt i dzielnie pomaga ojcu w robocie

Teraz nadstawił uszu i połyka każde słowo zasłyszane o Cylce. Uciekła. „Gość zagraniczny“ napewno ją obraził. Cylka szybko wracała do siebie w Mścibowie. Uspokoiła się i próbowała nawiązać rozmowę z ciotką na temat swej ucieczki. Zaczynała i przerywała.

— Czy wiesz, ciotko, że w Grodnie u Lurjów tak mi było ciasno, tak ciasno.

— Dziecko, wszak tyle tam bogactwa, tyle pokojów.

— Ależ nie oto idzie, ciotko! Ciasno tam bo mi powietrza było brak. W lesie, skoro tylko drzwi otworzysz — widzisz zieloność, możesz pobiec, gdzie pragniesz. A tam, jak drzwi otworzysz, napotkasz na drugie drzwi, a potem ulica i obcy ludzie, wciąż obcy ludzie...

— A dlaczego uciekłaś? Przecież kochasz Saszę!

— Jest mi zupełnie obcy ciotko, tylko w lesie milczał długo, a ja lękałam się jego...

Stopniowo ciotka wszystko od niej wydostała, co dotyczy książek, które zwykł ciągle czytać, i bilardu. Wyznała jej również, że krzyczał

na nią w gniewie, krzyczał dlatego, że go śledziła.

— Tak ciotko, z początku wszystko mnie kusiło: wszyscy mnie lubili, darowano mi nowe suknie, tylko Sasza coraz bardziej oddalał się odemnie. Widziałam to i czułam.

— A co teraz będzie? Jesteś przecie jego żoną. Jeśli do niego nie wrócisz — będzie to hańba dla twojego ojca. I co się z tobą stanie?

— Nie, ciociu, to niemożliwe. Nie będzie tak, jak on chce. Nie pojadę do Grodna.

Milczenie zapadło w pokoju. Za oknami zachodzi słońce zimowe. Od czasu do czasu fura zaskrzypi, zadzwonią sanki, dzieci bawią się na śniegu, ale okrzyki dzieci, ich śmiech są jakby stłumione. Wielka cisza lasów i pól rozpościera się nad miasteczkiem..,

W domkach ukazują się światełka, w piecach trzeszczy drzewo, znów zaczyna się darcie pierza w Mścibowie. Ale co chwila każdy odrywa się od pracy i wspomina Cylkę,

— Niedobrana para... Można się było tego spodziewać...

— Ale takie bogactwo...

— Gdy młodzi się kochają ubóstwo czy bogactwo nie mają znaczenia.

— Mówią, że ona nie chce za żadną cenę wracać...

— I stary Lurje powiedział przed wyjazdem że nie widział jeszcze kobiety tak upartej.

— — — — — — — — — — — —

W sobotę przyjechał Isar. Wiedział już, że jego córka uciekła z Grodna.

— Nie wytrzymała — mruczał do siebie. Nie wytrzymało moje dziecko. Ludzie nie rozumieli o co mu idzie. Przyjechał na sobotę, jak zawsze milczący i powiedział tylko Cylce kilka słów. Niechaj będzie spokojna! Nie gniewał się na nią. Cylka rozpłakała się wówczas, ciotka jej nie odstępowała.

Mineło tak parę tygodni. Z Grodna przybyło tymczasem kilku wysłanników — wrócili jednak z niczem. W miasteczku zaczęto się przyzwyczajać do tego, co się stało.

Kilku sąsiadów odwiedziło już Nechę i mówiło już z nią o innych sprawach, rzucając ukradkiem spojrzenia na Cylkę. Przyszły również siostry Frojki. Cylka traktowała je przyjaźnie, rozmawiała z niemi, nawet opowiadała o Grodnie. Siostry tymczasem powtórzyły w domu, co słyszały od Cylki. A Frojka się wszystkiemu przysłuchiwał. Jakaś nowa radość wstąpiła w jego serce. Cylka oświadczyła, że nie wróci już do Grodna. A jak Cylka powiedziała, że nie pojedzie, to rzecz jest przesądzona. Uparta jest bowiem Cylka, jak wszyscy ludzie, którzy mieszkają w lasach — tak mówił niegdyś jego dziadek — żołnierz mikołajewski.

I Frojke znów zaczął czyścić swoje buty z cholewami, gdy spotykał ciotkę Nechę pozdrawiał ją uprzejmie.

Do sióstr swoich zwykł mawiać:

— Idźcie trochę do Cylki. Jest przecież samotna.

A gdy siostry wracają z drugiej połowy domu, uwija się dookoła nich Frojke, patrzy im w oczy, wytęża słuch i chwyta chciwie każde słowo.

— Wcale nie jest taka smutna — mówi jedna z sióstr.

Tymczasem z biegiem czasu, Cylkę odwiedzało coraz więcej ludzi. Ciągnęła ich do niej niepowstrzymana ciekawość...

Dni uciekały, a na dachach domów wciąż leżał śnieg. Śnieg zaglądał do mieszkań i jaśniej było w izbach i weselej.

Cylka patrzy na biały świat, a oczy jej kryją w sobie jakieś pytanie, szukają jakiejś pociechy...

Ucieszyła się, gdy Iwan, dozorca szosowy przyszedł w odwiedziny.

Pójdzie z nim do lasu, spojrzy na domek...

— Jaki tam las? Wycięto prawie wszystkie drzewa, a domki zamknięte i przysypane śniegiem. Uprosiła jednak ciotki, aby jej pozwoliła pójść. Zobaczy, jak wygląda strumyk zmarznięty, co słychać na szosie.

Dobrze. Lecz jak tu wybrać się w drogę w trzewiczkach miejskich. Śnieg jest po kolana.

— Ciotko, a gdzie stare buty ojca?

— W butach pójdziesz? Myślisz, że to dawne czasy?

Lecz Cylka szuka już butów po wszystkich kątach. Znalazła, probuje je włożyć, ale ręce jej

opadają: buty są ciężkie i niezgrabne, a Cylka przecież już przywyknąć zdążyła...

Lecz po chwili już nosi buty ojcowe. Otulona w grubą chustkę poszła z Iwanem. Cylka szła raźno przed siebie. Otworzyła szeroko oczy bo zdało jej się, że tu już bardzo dawno nie była. Jasność dnia napełniała ją radością. Chciało się śpiewać, skakać. Iwan patrzał na nią wzruszony. Łączyło go z Cylką pokrewieństwo lasu. Nie dziwił się, że uciekła od Lurjów: natura ciągnie wilka do lasu i Cylka nie mogła sobie miejsca znaleźć w mieście. Rozumiał to Iwan, lecz sądził, że miłość do Saszy zabije w Cylce tęsknotę do lasu.

Po drodze przerywa nagle ciszę Iwan:

— A za nim tęsknisz, Cylko?

— Za kim?

— Nie chcesz powrócić do Saszy? Kochaliście się, jak gołąbki, tego lata.

— Nie mówmy o tem? Iwanie, opowiedz mi lepiej jak las wygląda...

— Zaraz wejdziemy w las, sama zobaczysz...

Wokół ciągną się nagie, białe pola. Cylka patrzy przed siebie. Zwykle stojąc na tym miejscu, można było dojrzeć las, w którym się urodziła, trzy domki w lesie, oborę. Teraz lasu nie widać. Nagle potknęła się o pierwszy pień drzewa, o drugi... Długie, dłngie, okrągłe, napół pokryte śniegiem wyciągnęły się w poprzek drogi. Owdzie kupa chróstu, wyglądająca niby gniazdo

wielkiego ptaka. Zdaleka dostrzegła Cylka dom. A oczy jej biegną wciąż naprzód i oglądają pobojowisko, jakie tu uczyniła ręka ludzka. Idzie Cylka, przyspiesza kroku, na lewo, na prawo i oto już stanęła obok trzech domków w lesie, zamkniętych i przysypanych śniegiem. Wokół cisza. Na pozostałej jedynie sośnie piszczy jakiś ptaszek zimowy, na sąsiednim drzewie pozostał kawał sznura — pamiątka po bieliźnie, którą suszyła tu ciotka Necha.

Nigdy nie było tu tak jasno. Lecz ta jasność padła kamieniem na serce Cylki. Chce jej się płakać. Uderza grubym butem o pień, póki śnieg nie opadnie i ukaże się złota kora drzewa...

Wszystko tu zmieniło swój wygląd, zbiedniało, opustoszało, tylko przybyło światła i śniegu. Boi się Cylka, że zbłądzi... Nie poznaje swojego lasu.

Wraca do domu. Wraca pełna smutku. Ciążą jej buty ojca, śnieg przywarł do cholew. Jest zmęczona i taka biedna...

Niedaleko od Mścibowa wychodzi ciotka na jej spotkanie...

Zaniepokoiła się nieobecnością „dziecka"

— Czy warto było Cylko? — — wlec się aż do lasu?

— Wyrąbany jest zupełnie, ciotko...

— Więc co? Nie pierwszy to raz wyrąbują las...

— Ale moje drzewa, wyrastały razem ze mną..

Wracały do domu zziębnięte i milczące. Za niemi, w pewnem oddaleniu, szedł Frojke. Zdawało się, że ich nie widzi, Patrzy, niby na domy, na niebo, zachmurzone, które zawisło nad miasteczkiem.

W sercu pielęgnował jedno życzenie, jedną myśl:

— Niechaj nie wraca do Grodna. Niechby została pomiędzy małemi domkami Mścibowa.

Ożył na nowo, Podniósł dumnie głowę. Ma przecież pewne szanse: uciekła Cylka z Grodna od bogacza. Dlaczego? Nie interesuje go to. Wystarcza, że mieszka w Mścibowie, tuż obok niego i że często słyszy jej śpiew przez ścianę.

Cylka wróciła z lasu, dziwnie nieswoja.

— Zamknięty nasz dom, belkami zabite okna.

— A tu Cylko, czy nie jest dobry dom? Ciepło, jasno czysto!

Ciotka starała jej się za wszelką cenę dogodzić. A kiedy Cylka nieco się uspokoiła, wyciągnęła ją ciotka na rozmowę:

— Pojedziesz chyba niedługo do Grodna...

Cylka zaprzeczyła ruchem głowy.

— Dlaczego?

— Bo Sasza gniewał się na mnie: wściekły jest, nie kocha mnie...

Ciotka przysunęła się do Cylki:

— Od tego mąż, żeby czasami krzyczał. To nic wielkiego. Pokrzyczy i przeprosi.

Wyprostowała się naraz Cylka i dumnie spojrzała ciotce w oczy:

— Nie pozwolę krzyczeć na siebie... Na rękach mnie nosił, tygodniami nie opuszczał lasu.. Wszystko dla mnie... A potem uciekał przedemną, krył się, w bilard grał, nie widziałam go całemi dniami... Nie ciotko, koniec wszystkiego...

— Co to znaczy koniec?

— Nie pojadę więcej do Grodna. Powiedz ojcu i staremu Lurje i wszystkim, że Cylka nigdy do Grodna nie wróci.

Na sobotę przyjechał Isar. Kilka słów wyrzekł zaledwie i spędził dzień nad księgą. A po zapaleniu światła, w sobotę wieczór podszedl do Cylki, głęboko zajrzał jej w oczy:

Drgnęła. Zrozumiała, że ojciec chce powziąść jakąś ważną decyzję.

— Czy będziesz mi posłuszna, Cylko?

— Tak.

Położył rękę na jej głowie.

— Sasza powrócił już z Petersburga, Lurjowie czekają na twój powrót, nie rób ojcu wstydu...

— Czego chcesz ojcze?

— Chcę, żebyś jutro pojechała do Grodna.. Odprowadzę cię...

Wstała, podbiegła do okna i stanęła przy nim, jak skamieniała. Ojciec odezwał się po chwili:

— Więc Cylko?

— Nie pojadę. Nie mam tam nikogo, nikt mnie tam nie kocha.

Stary Isar postanowił użyć ostatecznego środka.

— Jeśli nie pojedziesz — nie ujrzysz mnie tu więcej. Zginę gdzieś w lesie, a tu nie wrócę. Nie ujrzycie mnie; ani ty, ani ciotka...

— Ojcze!

Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Cyłka odezwała się pierwsza.

— Jeśli nie przyjedziesz do Mścibowa, jeśli będziecie mnie nadal męczyć, — wiem już co uczynię,

Izbę zaległa cisza.

— Co uczynisz? — przerwał ciszę ojciec.

— Jeszcze zostały drzewa w lesie, postaram się o sznur...

Ciotka podbiegła do niej:

— Wstyd ci, takich słów używać. Oszalałaś chyba.

I niespokojnym wzrokiem jęła wodzić po pokoju.

Zna już ciotka te historje ze sznurami i lasem. Kiłka lat temu powiesiła się w lesie dziewczyna z Mścibowa i także przez narzeczonego.

Isar stał bez słowa. Potem, kiedy znów powrócił do księgi, odezwał się do ciotki, ale tak cicho, aby Cyłka nie słyszała:

— Niechaj czyni, co zechce. Niech jedzie lub nie jedzie.

— — — — — — — — — — — —

Zdarzyło się pewnego dnia, że Frojke wszedł do izby Isara. Przyszedł, aby zawołać siostry, które często odwiedzały Cylkę. Innym razem, znalazł drugi pretekst. Cyłka przypatrywała mu się ciekawie. Jak to raz w sankach całował wszystkie dziewczęta, a Cylka nie pozwoliła się pocałować, bo lękała się Frojki! Teraz nie lękała go się wcale. Odżyło w niej także wspomnienie owego wieczora, kiedy Frojke tańczył z cyganką w lesie i kiedy serce Cylki biło tak mocno... Potem śnił jej się wiele razy,..

Spoważniał nieco Frojke, rozrósł się w barach, lecz oczyma wciąż, jak dawniej szukał Cylki. Zdaje jej się, że pragnie jej coś powiedzieć. Lecz nigdy nie pozostają we dwoje. Ciotka nie opuszcza izby, a siostry Frojki śmieją się i gadają bez ustanku.

Pewnego dnia wpadło Cylce do głowy, że gdyby Frojke zechciał...

— Co? Pochwyciły siostry.

— Zaprzegnąłby konia do sanek i pojechalibyśmy trochę przez pola...

Roześmiały się dziewczęta. A Frojke zapłonił się cały. Nie pojęła Cylka przyczyny tego zmieszania. Nie wiedziała, że przed miesiącem Frojke zabrał konia i bryczkę do Wołkowyska i przepił...

I to właśnie z przyczyny Cylki. Dlatego, że wzięła ślub z Saszą.

Jedna z sióstr odezwała się wreszcie:

— Nie mamy konia, sprzedaliśmy go dawno — lecz w jaki sposób został sprzedany, nie śmiała objaśnić Cylce,

I dlatego, że wówczas oblał się ponsem, a także dlatego, że patrzał na nią oczyma pełnemi oddania — Cylka poczęła baczniej przyglądać się chłopcu. A do ciotki już otwarcie mówiła.

— Wiesz ciotko, rażniej mi na sercu — gdy Frojke przychodzi...

— Frojke? Czy sądzisz, że z tego nicponia coś wyrośnie?

— Dlaczego nicpoń, ciotko?

— Bo nie jest podobny do innych młodych ludzi...

I ciotka odchodzi zagniewana do kąta. Frojke przychodził teraz codziennie, prócz soboty, kiedy Isar bywał w domu.

Stawał przy piecu i rozpoczynał rozmowę. Stawał się coraz śmielszy. A ciotka mruczała niezadowolona:

— Jakgdyby w domu nie miał pieca...

— Do Cylki przychodzi.

— Ona nic przeciw temu nie ma...

— Śmieje się razem z nim, figluje..'

— Tak ich ciągnie coś do siebie...

Znowu wypadały naczynia z ręki, tak jak latem kiedy Sasza zbyt długo przesiadywał w lesie.

Frojke stał się częstym gościem, Cylka

przyjmowała go z radością — stara ciotka nie wiedziała co począć.

Isar przyjeżdża ponury,, nie mówi ani słowa, na Cylkę nawet spojrzeć nie chce.

Nie chciała się ze swego zmartwienia zwierzać przed obcymi. Może pomówić z Cylką? Niech pomyśli o swym mężu w Grodnie. Wszak nawet w okolicznych miasteczkach wciąż tylko o niej mówią.

O tem, jak biedna dziewczyna wyszła za syna bogacza i po miesiącu porzuciła go bez żadnej widocznej przyczyny.

Lecz Cylka jest uparta i nikt na nią wpływu niema. I przeto ciotka nie mogła zaprotestować nawet, kiedy pewnego wieczora, Frojke zajechał przed dom saneczkami. Sanki pożyczył u sąsiada. Zajechał przed dom i zaprosił na spacer Cylkę. Pojechali sami i do tego wieczorem:

Cylka, mężatka, która porzuciła męża i Frojke — pijak. Chciała stanąć wpoprzek drzwi i nie wpuścić Cylki, lecz Cylka otulona w chustkę — nawet nie spojrzała na nią i wyszła z domu.

Biała noc. Koń, kilka razy podcięty batem, ruszył kłusem i oto zniknęło im miasteczko z przed oczu. Przed nimi pola, pola i zagwiezdżone pole niebieskie. Sanki jakgdyby im skrzydeł przypięto, pędziły poprzez wzgórza i doliny. Cylka kilka razy już bezwolnie prawie przylgnęła do pleców Frojki i poczuła, że chciałaby, aby sanki przechyliły się na bok, aby jeszcze raz zbliżyć się do niego.

A ile razy przechylały się sanki, śmiał się Frojka, śmiał swemi pięknemi zębami do Cylki i do nocy.

Ale gdzież to podziała się jego odwaga?

Dawniej, puściłby lejce i objął dziewczynę obok siedzącą, ale jakaś obawa przed Cylką wstrzymuje jego pragnienie. Patrzy jej w oczy, pochłania jej słowa...

Czy zapomniała już o Lurjem?

Czy podoba jej się Frojke?

Kiedy sanki płyną po powierzchni białej przestrzeni, opowiada o różnych rzeczach, a nic nie powie o sobie:

Dziwi to Frojke, lecz nie śmie ją o nic zapytać.

— Frojke — nagle odzywa się Cylka.

— Co?

— Kiedy przyjdzie lato, pójdziemy razem na spacer, po lasach które jeszcze nie wycięto. Ja zdejmę trzewiki, a ty włożysz twoje piękne buty z cholewami... Tak jak z cyganką poszedłeś... pamiętasz?

Patrzy mu śmiało w oczy... Frojke puści lejce... Zaraz... Lecz migają już światełka miasteczka: wracają już do domu.

Cylka wpada do izby, mróz ubarwił jej policzki. Ogląda się: ciotka śpi, albo udaje, że śpi. Cylka już ma przyszykowane posłanie. Rzuca się na łóżko i zamyka oczy. W żyłach jej przelewa się krew. Serce wali mocno i w pamięci przesuwają się dziwne, oderwane obrazy. Lasy,

lasy, szosa Frojke i cyganka, Sasza i stary Lurje. Chciałaby wyrwać z pamięci te obrazy, niechaj zostanie tylko wspomnienie Frojki.

Ma takie wielkie, mocne bary i obrośnięty jest włosami na piersi. A gdyby jej nie zechciał, obejmie go mocnemi ramionami i zaciągnie do lasu. do strumyka: do sosen bliźniaczych.

Otwiera oczy. Dziwi się, że obok niema Frojki, a zamiast Frojki na pościeli jej siadła ciotka i patrzy prosto w oczy Cylce. Nie wie Cylka, czemu ciotka tak na nią patrzy i czemu serce jej tak mocno bije... Spojrzały na siebie. Cylka pierwsza nie wytrzymała surowego wzroku. Potrząsnęła głową, schowała się pod kołdrę. Nazajutrz przyszły siostry Frojka, a Cylka opowiada im o swoim spacerze wczorajszym. Było cudownie! Jechali jak po lodzie, a gdy wróciła do domu, spała tak smacznie.

Siostry Frojki roznoszą po sąsiadach wieść, że Cylka jest coraz bardziej wesoła i w miasteczku ten i ów przebąkuje, że Frojke ma szczęście...

Zbliżało się święto Purym. Śnieg padał i padał bezustanku. Słońce oświecało jedną połowę dachu, roztapiało na niej śnieg, a druga połowa leżała jeszcze pod watą. Za miastem były już jednak kałuże i błoto mieszało się ze śniegiem. Ziemia nasiąkła wilgocią i spacery do lasu stały się już niemożliwe. Wiaterek przynosił zapach świeżo rąbanego drzewa i zapach zgniłych, zeszłorocznych liści i igieł

Iwan odwiedził ciotkę. Spędził kilka tygo-

dni w Petersburgu, gdzie syn jego służył w wojsku. Opowiadał, że źle mu się wiodło w dużem mieście.

Było co patrzeć — ale tak mnie oszołomiło, żem nic nie widział. Prosty człowiek jestem: muszę kilka razy dziennie choć spojrzeć na niebo, które rozłożyło się nad szosą. A i bez lasu trudno żyć...

Cyłka potakiwała mu:

— Prawda, Iwan. W lesie jest lepiej nam— którzyśmy się tu urodzili. Gdy nadejdzie lato pójdę z Frojką po lasach. których jeszcze nie wycięto...

— Z Frojką? — zapytał Iwan.

A Cylka opuściła zawstydzone oczy.

Właściwie nie zdawała sobie z tego sprawy, co przeżywała w ostatnich czasach. A Iwan śmieje się w oczy:

— Jak z Frojke, niech będzie z Frojke. Przyjdziesz do lasu — pokażę ci, jakiego lisa schwytaliśmy.

I Iwan idzie do drugiej izby, do ciotki, pogadać z nią o sprawach domowych.

W jedną z ostatnich sobót nie przyjechał Isar do Mścibowa. Przysłał jeno wiadomość, że interesy zatrzymują go na miejscu.

Ucieszył się Frojke tą wiadomością. Będzie sobota wolna. Ciotka nie zwraca już uwagi na obecność Frojke. Tylko od czasu do czasu westchnie głęboko, A niechaj tam ciotka gniewa się — ile zechce.

Zbliża się piątek. Zapalono już świece i mężczyżni udali się na modlitwę. Dwa razy przypominała już ciotka chłopcu, że należy pójść za ojcem do bóżnicy. Lecz Frojke stoi sobie spokojnie przy piecu, grzeje się i uśmiecha.

— Modlić się? Jak będę stary, to się będę modlić.

Jarzą się świeczki. Z ciemnej ulicy wieje spokojem i odpoczynkiem sobotnim. Cylka stanęła także przy piecu. Ciotka zagląda do modlitewnika i coraz to złym spojrzeniem, obrzuca parkę... A Frojke błądzi ręką po ciepłym piecu, póki nie znajduje palca Cylki.

Tylko jeden paluszek... A jemu zdaje się, że podbił świat, że odniósł wielkie zwycięztwo, bowiem Cylka nie wyrywa palca z jego ręki.

Ściska go w swej mocnej dłoni, bawi się nim... I naraz czuje wyraźnie, że Cylka, która tyle razy dumnie odrzucała jego umizgi, Cylka która poślubiła innego ta Cylka...

Należy teraz zupełnie do niego, jak ten mały paluszek, który trzyma mocno w swojej dłoni.

A potem, gdy ciotka na kilka minut znika, gdy wchodzi do sąsiedniej izby do Baraszów — spojrzał Frojke na Cylkę a ona na niego.

Odstąpił od pieca i pociągnął za sobą Cylkę. Zamiast jednego palca, uwięził teraz jej obie ręce. Przez chwilę tylko rozpalonym objął ją spojrzeniem.

Przypadli jedno do drugiego. Wgryzł się w jej usta, a ona z bólu i roskoszy przymknęła po-

wieki. Zdawało się obojgu, że coś rozśpiewało się, rozdzwoniło w izbie, na całym świecie i w ich sercach.

A potem usłyszała, ledwie usłyszała, co Frojke mówił, co szeptał jej do ucha:

— Napisz mu, niech ci przyśle rozwód, niech przyśle rozwód...

— — — — — — — — — — — —

Otworzyły się drzwi, wróciła ciotka Necha. A Frojke powitał ją na progu:

— Spieszę do bóżnicy, ciotko Necho —

Zadziwiona zapytała tylko:

— Nagle taki pobożny...

A Frojki już niema w izbie. Cylka stała pośrodku izby uśmiechnięta i zadumana, a kiedy ciotka zawołała: — Cylko! drgnęła z przestrachu. Rozsypały się ledwie spięte włosy. Złotym potokiem opadły na Cylki ramiona.

KONIEC.